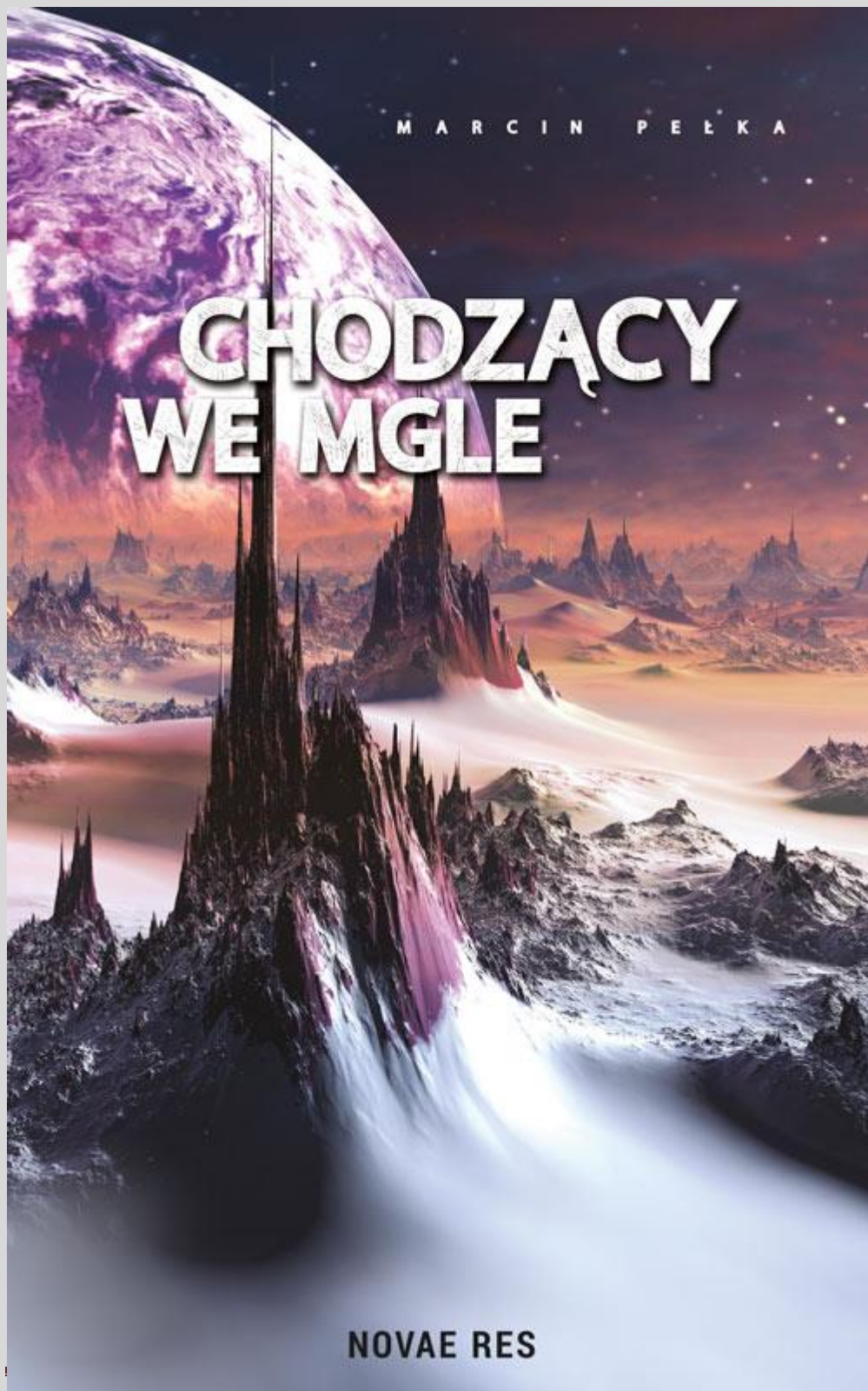


CHODZĄCY WE MGLE

CHODZĄCY WE MGLE



MARCIN PEŁKA

CHODZĄCY WE MGLE

NOVAE RES

Marcin Pełka

CHODZĄCY WE MGLE

1.

Wstający powoli świt był blady i zimny. Wydawało się, że przegania ciemności nocy resztkami wątych sił. Zamglone słońce mozolnie i jakby od niechcienia wspinało się po nieboskłonie, a jego niemrawe promienie dawały światło, ale nie ciepło. Początek dnia nie należał więc do najprzyjemniejszych. Mokre od porannej rosy wrzosowiska zniechęcały do spacerów, a snująca się tuż przy ziemi mgła spowijała wszystko tajemniczym całunem.

– Mogłoby choć trochę powiać! – mruknął Pierwszy Strażnik, obserwując ponury krajobraz przez panoramiczne okno wartowni.

– No nie wiem... – Drugi nie był entuzjastą tego pomysłu. Biorąc pod uwagę fakt, że na Haasgardzie wiatr był albo w ogóle nieodczuwalny, albo iście huraganowy, trudno było dziwić się jego rozterce.

– Nie lubię tej cholernej gęstej zasłony – ponownie odezwał się Pierwszy, zzymając się na mgłę. – Człowiek nie widzi, gdzie stawia kolejny krok. Pół biedy, gdy okaże się to tylko dziurą i spowoduje zwykłe skręcenie nogi. Będzie bolało, ale można zacisnąć zęby i jakoś przeżyć. Gorzej, gdy wdepnie się w norę pieprzonych tarczaków.

Drugi Strażnik wzruszył nieznacznie ramionami i spojrzał na towarzysza z lekkim pobłażaniem.

– Daj spokój! – odrzekł. – Tych wrednych potworków nie widziano w okolicy od dobrych kilku lat. Zapomnij o nich! Chodząc we mgle, rzeczywiście można skręcić kostkę. Wolę jednak zaryzykować i wyjść na zewnątrz, gdy jest cicho, niż uginać się pod razami tutejszego wichru.

CHODZĄCY WE MGLE

– W sumie masz rację – mruknął dowódca wartowni, a jego obdarzony sumiastymi wąsami podwładny pokiwał w zamyśleniu głową.

– Ostatnim razem gotów byłem napchać kieszenie kamieniami, żeby mnie jakiś silniejszy podmuch nie obalił na ziemię i nie poturlał nie wiadomo dokąd.

– Ja tak zrobiłem!

Na krótko w zimnej, spartańsko urządzonej wartowni zabrzmiał śmiech. Wesołość spowodowana lekkim żartem skończyła się jednak dość szybko, a niespokojne spojrzenia znów powędrowały ku zamglonym wrzosowiskom. Na twarze rozmówców powróciło napięcie, a w ich wyrazie łatwo dało się zauważyć także niepokój. Nikt nie kontynuował niezobowiązującej rozmowy sprzed chwili.

– Szykuj się! – powiedział Pierwszy Strażnik, przerywając przedłużającą się ciszę. – Obudzę Trzeciego i przekażę mu obowiązki. Widzimy się za kwadrans przy wyjściu.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami znów pokiwał głową, tym razem jednak się nie odezwał. Nie odrywał wzroku od ponurego widoku, który rozciągał się za oknem. W zasadzie był już prawie gotowy. Wyczyszczona i naładowana broń czekała na stojaku od dobrej godziny. Włożenie ciężkich butów i narzucenie na ramiona maskującego płaszcza zajmowało tylko chwilę, mógł więc jeszcze trochę postać i popatrzeć.

„Nigdy nie przywyknę do tej planety!” – przemknęło mu przez myśl. Wiele razy wcześniej zastanawiał się, dlaczego Haasgard w ogólnym rozrachunku był taki odpychający, wręcz złowrogi. Jak dotąd nie doszedł jednak w tej kwestii do satysfakcjonującej odpowiedzi. Może winne temu było blade, zimne słońce? Może huraganowe, całkowicie nieprzewidywalne wiatry? Albo wszechobecna, gęsta jak mleko mgła pojawiająca się w bezwietrznych okresach? Kombinacja tych elementów w

CHODZĄCY WE MGLE

obrębie jednej planety rzeczywiście mogła działać przygnębiająco, jednak Drugi odrzucił takie wytłumaczenie. Było zbyt proste. Bywał już w gorszych światach – o wiele groźniejszych, brzydszych i ze znacznie mniej korzystnymi warunkami pogodowymi. Tu z pewnością chodziło o coś innego. Tylko o co? Bardzo chciał wiedzieć.

Kiedyś zastanawiał się, czy za całą sprawą nie stoi haasgardzka cisza. Dni, z wyjątkiem tych wietrznych, kiedy gwałtowne podmuchy wygrywały świszczące i jęklive melodie na pobliskich skałach, były prawie idealnie ciche. Na planecie nie było ptaków. Żaden skowronek, kos czy zwykły wróbel, żaden z ich bliższych lub dalszych krewnych nie zagwizdał, nie zakwilił i nie zaćwierkał. Nie ryczały też jelenie o poranku, o zmierzchu nie rechotały żaby, a o północy nie zawył przeciągle żaden wilk. Nad wrzosowiskami nie brzęczały jakiegokolwiek owady. Jedyne żyjące tu zwierzęta miały postać morderczo usposobionych, ryjących w ziemi tarczaków, a te były nieme z natury. Nie licząc wiatru, głównym źródłem dźwięków na Haasgardzie był więc człowiek.

Ten fakt również nie przyczyniał się do poprawy nastroju. Wręcz przeciwnie – wyraźnie wiązał się z jego obniżeniem. Mimo to Drugi Strażnik odrzucił także i ten powód jako potencjalne wyjaśnienie nurtującego go problemu. Uznał go za zbyt osobiste, zbyt subiektywne doznanie, aby brać je pod uwagę. Rozmawiał kiedyś o tym z towarzyszami służby. Im cisza w ogóle nie przeszkadzała. Za to zgodnie stwierdzili, że działa wręcz uspokajająco i że za żadne skarby świata nie zamieniliby jej na jakiegokolwiek odgłosy przedstawicieli ewentualnej miejscowej fauny. Nie widzieli w ciszy niczego złowrogiego. Równocześnie obaj przyznawali, że powyższe określenie wprost idealnie pasuje do Haasgardu rozpatrywanego jako całość, w skali planety. Oni również nie potrafili sprecyzować

swych nieprzyjemnych doznań. Taki już był ten świat. Mężczyzna z sumiastymi wąsami wzruszył lekko ramionami. Tym razem także nic konkretnego nie udało mu się wymyślić w tej kwestii. Jeżeli rozwiązanie zagadki w ogóle istniało, musiał na nie jeszcze poczekać.

Zbliżał się zapowiedziany przez przełożonego czas wyjścia na patrol. Szybko i wprawnie założył buty. Chwilę potem zarzucił na ramiona płaszcz, a ze stojaka wziął broń. Dwukrotnie sprawdził ogniwo energetyczne i położenie przełączników ognia. Całą sekwencję powtarzał wcześniej setki razy, więc czynności te stały się dobrze wyrobionym odruchem. Wykonywał je prawie jak automat, z idealną precyzją i zawsze w tej samej kolejności.

Przy wyjściu z wartowni czekali pozostali członkowie załogi. Pożegnanie było skąpe i równie rutynowe jak poprzedzające je przygotowania.

– Szczęśliwego patrolu! – życzył Trzeci Strażnik.

– Spokojnego czuwania! – odpowiedział Pierwszy.

Drugi bez słowa skinął głową.

Szczęknęły magnetyczne zasuwy, zdjęto rygle z podwójnych drzwi i przejście łączące wartownię ze światem zewnętrznym zostało otwarte. Przez wąską szczelinę precyzyjnie się dwóch mężczyzn. Ledwie to uczynili, pancerne płyty zatrzasnęły się za nimi z przyprawiającym o dreszcz głuchym łoskotem. Zaraz potem cała okolica ponownie pograżyła się w objęciach idealnej ciszy.

Temperatura powietrza na Haasgardzie oscylowała w okolicach kilku stopni Celsjusza, rzadko sięgając dziesięciu, tylko wyjątkowo przekraczając tę wartość w okresie letnim. Jesienią trudno było liczyć na więcej niż pięć. Tak też było i tego dnia. Wydychane z ust powietrze zmieniało się błyskawicz-

CHODZĄCY WE MGLE

nie w kłęby pary, a chłód wywoływał zimne dreszcze, biegnące wzdłuż kręgosłupa.

– Szczęśliwego patrolu! – powiedział pierwszy Strażnik, uaktywniając maskującą płaszcz.

Drugi kolejny raz skinął głową w odpowiedzi.

– I dla ciebie! – mruknął, zamykając elektroniczne obwo-
dy własnego okrycia.

Jeśli ktoś obserwowałby tę scenę z boku, stwierdziłby, że jej bohaterowie w jednej chwili stali naprzeciw siebie i rozmawiali, w drugiej zaś już ich nie było. Zaawansowane techniki maskowania, które wykorzystywali, sprawiły, że idealnie zli się z tłem. O fakcie ich istnienia świadczyły teraz jedynie kołyszące się krzaki wrzosów, roztrącanych niewidocznymi stopami, i zawirowania mgły, tworzące się w miejscach przejścia. Początkowo ten specyficzny ślad był szeroki, potem jednak rozdzielił się na dwa mniejsze. Niewidzialni mężczyźni ruszyli własnymi, ustalonymi wcześniej ścieżkami. Kołysania kęp wrzosów i ruchy mgły oddalały się coraz bardziej. Rozpoczął się rutynowy patrol na nieprzystępnej, złowrogiej i zimnej planecie.

Drugi Strażnik szedł dobrze znaną trasą. Przemierzył ją dotąd wiele razy i można było powiedzieć, że znał na pamięć każdy jej metr. Mógłby trafić tam, gdzie chciał, z zamkniętymi oczami, choć ze względów bezpieczeństwa nigdy nie odważył się na taką lekkomyślność. Mimo dobrej znajomości ścieżki i tak co chwila spoglądał na wyświetlacz umieszczony na wewnętrznej stronie gogli, który wskazywał właściwy kierunek marszu. Gdyby zboczył z wyznaczonej trasy, znajdująca się w lewym, dolnym rogu kreska zmieniałaby kolor na czerwony i zaczęłaby rytmicznie pulsować. Wiedział o tym jedynie z teoretycznego szkolenia, przebytego jeszcze przed przylotem na Haasgard. Do tej pory taka sytuacja nigdy nie miała miejsca.

CHODZĄCY WE MGLE

Wiedział też, że tarczaki wyniosły się z okolicy już dawno temu. Sam zresztą dopiero co uspokajał w tej kwestii dowódcę wartowni. Mimo to na wszelki wypadek włączył detektory ukierunkowane na ich widmo termiczne i nastawił obszar skanowania na jeden metr w głąb ziemi. Gdyby któreś z krwiożerczych, złośliwych stworzeń pojawiło się znieuacka, ostrzegłby go sygnał elektronicznego alarmu. Tego sygnału również dotąd nie słyszał. Szczęśliwie nie było ku temu ani jednej okazji i prawdopodobieństwo, że zaistnieje właśnie dzisiaj, wahało się w okolicach zera. Ta świadomość uspokajała, jednak wołał się zabezpieczyć. Do tej pory nie mógł wyrzucić z pamięci widoków, jakie ujrzał krótko po przybyciu na mglisto-wietrzną planetę.

Wraz z dwoma towarzyszami zmieniali wówczas podobną do nich trójkę Strażników w zajmowanej aktualnie wartowni. Pierwszy z nich nie miał połowy stopy – nieopatrznie postawiona podczas jednego z patroli uwięzła w norze tarczaka. Szpony z licznymi zadziorami wbiły się w nią błyskawicznie, a ostry jak brzytwa grzbiet w kształcie połowy koła piły tarczowej odciął ją bezlitośnie. Od tamtego wypadku Strażników zaopatrzone w ciężkie, specjalnie wzmocnione buty z grubymi podszwami. Nie uchroniło to jednak Drugiego Strażnika przed stratą czterech palców prawej ręki. Jego wypadek wydarzył się w analogicznych okolicznościach. Jedna ze stóp zaklinowała w podziemnej norze. W mgnieniu oka wczepiły się w nią ostre szpony tarczaka. Mający trudności z ich odczepieniem mężczyzna pomógł sobie palcami. Jego zamiarem było odpięcie zatrzasków obuwia i wysunięcie z pułapki bosej stopy. Plan powiódł się jedynie częściowo – Strażnik uratował nogę kosztem czterech palców.

Widok zgorzkniałych mężczyzn, okaleczonych przez bezrozumne, okrutne zwierzęta wielkości raptem ziemskiego bo-

bra, każdemu mógł wryć się głęboko w pamięć. Ludzie ci kończyli właśnie służbę, lecz nie cieszyło ich to ani trochę. Przygnębieni i mało rozmowni przekazali nowo przybyłym zmiennikom obowiązki i opuścili wartownię bez słowa pożegnania. Dopiero z zapisków prowadzonych w dzienniku patroli mężczyzna z sumiastymi wąsami dowiedział się, że wypadki obu okaleczeń wydarzyły się na początku ich pięcioletniej służby i że dopiero dwa lata później potwory z ostrą tarczą na grzbiecie wyniosły się z okolicy.

Początkowo zastanawiał się nad powodem przygnębienia zmienianych Strażników. Współczesna medycyna dysponowała technikami umożliwiającymi całkowitą i wierną rekonstrukcję utraconych części ciała. Obaj mężczyźni po kilkuletnim okresie kalectwa z pewnością odzyskali dawną sprawność. Poza tym wyszkoleni psychoterapeuci mogli w każdej chwili założyć im blokadę pamięciową, wymazując ze wspomnień traumatyczne przeżycia z Haasgardu. W czym więc tkwił problem?

Dopiero nieco później odpowiedź na to pytanie stała się oczywista. Zimna, nieprzyjazna planeta była dla nich miejscem ostatniej służby. Podczas jej wykonywania ponieśli znaczący uszczerbek na zdrowiu, który, mimo iż był całkowicie odwracalny, eliminował ich z elitarnego grona Strażników. Mogli liczyć na duże odprawy finansowe, tracili jednak bezpowrotnie prestiż i przywileje związane z zawodem. Najprawdopodobniej ten właśnie fakt był przyczyną kwaśnych min, przygnębienia i rozgoryczenia widocznych wyraźnie podczas ostatniego dnia pracy. Haasgard bezlitośnie naznaczył ich nieusuwalnym piętnem.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami nie zamierzał podzielić losów niefortunnie okaleczonych poprzedników. Mimo że jego służba przypadała w znacznie spokojniejszym okresie, obiecał

sobie, że nie zaniedba żadnego z możliwych środków ostrożności. Być może zwiększona uwaga skupiona wokół tego właśnie problemu nie miała z tym nic wspólnego, ale powoli mijał czwarty rok patroli, a żadne nieszczęście się nie wydarzyło. Drugi Strażnik wolał wierzyć, że nie zawdzięcza tego zwykłemu przypadkowi, a jedynie własnej, może nieco przesadnej dbałości o bezpieczeństwo.

Dowódca wartowni wielokrotnie stroił sobie żarty z jego wyjątkowej ostrożności i nazywał ją wręcz obsesją, jednak kiedy dwa razy podczas kolejnych patroli wdepnął w nory tarczaków, wszystkie kpiny, docinki i pobłażliwe uśmiešky raptownie się ucięły. Na szczęście nic groźnego się wówczas nie wydarzyło. Obie nory były puste, a ich niesympatyczni mieszkańcy zdążyli opuścić je dawno temu. Pierwszy raz obyło się bez najmniejszych choćby konsekwencji, za drugim dowódca skręcił nogę w kostce. Udało mu się wyswobodzić stopę z pułapki, nie był jednak w stanie chodzić. Powyższa sytuacja zmusiła go do wezwania pomocy drogą radiową. Miejsca wypadku nie musiał podawać, gdyż każdy wychodzący na patrol Strażnik zaopatrzony był w radiolokalizator. W ciągu czterech lat dotychczasowej służby tylko raz zdarzyło się, że wartownia została pusta. Drugi i Trzeci Strażnik porzucili dotychczasowe zajęcia i prowadzeni urządzeniem namiarowym, prawie równocześnie dotarli do kontuzjowanego towarzysza.

Na szczęście sytuacja okazała się tylko pozornie groźna. Noga ostatecznie nie była poważnie uszkodzona, a obrzęk i ból związany z urazem ustąpiły około tygodnia później. Nauczyło to jednak wszystkich, że nawet jeżeli na co dzień nic się nie dzieje, nie można pozwolić sobie na niefrasobliwość. Po tym wypadku zupełnie znikła także nonszalancja w podejściu do wykonywanych obowiązków, charakterystyczna do tej pory dla postawy Trzeciego, najmniej doświadczonego Strażnika.

CHODZĄCY WE MGLE

Od tego czasu wszystkie powinności służbowe wypełniał skrupulatnie, bez strojenia kwaśnych min i rzucania znaczących spojrzeń. W końcu każdy chciał wrócić do domu żywy i cały.

Niespodziewanie na ścieżce zawirował kłęb mgły. Drugi Strażnik schylił się błyskawicznie i odbezpieczył promiennik. Zaawansowany kilkuletni trening bojowy, jaki przeszedł przed rozpoczęciem pierwszej służby, wpoił mu szereg odruchów, które w chwili zagrożenia miały okazję zaprezentować się w pełnej krasie. Oparty na jednym kolanie, przyczał się z drugą nogą wyrzuconą nieco w bok w celu stabilizacji. Gotowa do strzału broń uniesiona i wycelowana była w kierunku potencjalnego nieprzyjaciela. Jej precyzyjny celownik zsynchronizował się natychmiast po odbezpieczeniu z wyświetlaczem na wewnętrznej powierzchni gogli. Cała bezpośrednia okolica pocięta została cienkimi liniami siatki współrzędnych celu. Ostronięty grubą zaledwie na dwa milimetry, termoizolacyjną rękawicą palec wskazujący przylegał ściśle do spustu, gotów w każdej chwili zacisnąć się na nim i uwolnić zgromadzoną w ogniwie energię. Nie było jednak takiej potrzeby.

Z mgły nie wyłonił się żaden potwór, nie zaistniało jakiegokolwiek materialne zagrożenie. Mężczyzna z sumiastymi wąsami jeszcze przez kilka chwil trwał w pozycji bojowej w oczekiwaniu na nieistniejącego przeciwnika. Sytuacja nie uległa jednak zmianie w żaden sposób. Wstał więc, wyprostował plecy i zabezpieczył ponownie broń. Zły na cały Haasgard, wyartykułował wypełniające go emocje w postaci zaledwie dwóch słów:

– Kurwa mać!

To był kolejny element planety, który przyprawiał go o nieprzyjemne ciarki na plecach. Wiry mgły. Nagłe, niczym nieuzasadnione przemieszczanie się jej gęstych kłębow z jednego miejsca w drugie. W tych niespodziewanych ruchach mleczo-

białego oparu nie dało się zauważyć jakiegokolwiek prawidłowości. Powstawały to tu, to tam, czasem dość często, dosłownie co chwila, innym znów razem tak rzadko, że prawie umykały uwadze. Ich przyczyn nikt nie potrafił wyjaśnić w racjonalny sposób. Mimo że zjawisko to odkryto dawno temu, do dnia dzisiejszego nie doczekało się ono nawet jednej, choć trochę prawdopodobnej teorii mówiącej o tym, czym było spowodowane. Wiry stanowiły wielką zagadkę, w zetknięciu z którą człowiek zaczynał zastanawiać się nad obecnością duchów lub innych paranormalnych zjawisk. W końcu jak inaczej można wyjaśnić coś, co nie ma prawa się zdarzyć, a mimo to ma jednak miejsce? Mgła przemieszczająca się bez najmniejszego podmuchu wiatru trąciła w końcu bliżej nieokreślonymi bytami astralnymi.

Drugi Strażnik wzdrygnął się nieprzyjemnie, czując kilka kropel zimnego potu spływających wzdłuż kręgosłupa. Podobne zjawisko widział już wiele razy wcześniej, a mimo to mocno wątpił, czy uda mu się kiedykolwiek do niego przyzwyczaić. W tej tajemniczej mgle było coś dogłębnie niepokojącego, co nie pozwalało przejść nad tym do porządku dziennego. To coś było złowrogie jak cała planeta.

Szybkim spojrzeniem omiótł wyświetlane na wewnętrznej powierzchni gogli parametry. Temperatura jak zwykle niska, widoczność średnia, prędkość wiatru wynosiła dokładnie zero. W przerwach pomiędzy huraganami były to trzy najbardziej charakterystyczne dla Haasgardu wartości. Praktycznie tylko ostatni parametr był zmienny, zresztą w bardzo dużym zakresie. Kierunek dotychczasowego marszu pokrywał się idealnie z wytyczoną wcześniej trasą patrolu, zieleń kreski na wyświetlaczu lśniła uspokajająco. Detektory skanujące ziemię w poszukiwaniu tarczaków i ich ewentualnych nor były aktywne, nie sygnalizowały jednak obecności żadnych niebezpieczeństw

CHODZĄCY WE MGLE

w bezpośrednim otoczeniu. Małeńkie kółko w prawym górnym rogu było prawie całkowicie wypełnione. Wskaźnik zasilania maskującego płaszcz informował w ten sposób, że energii niezbędnej do wtapiania się w tło jest aż nadto. Nie działa się nic, co powinno zakłócić ani tym bardziej przerwać patrol. Nic z wyjątkiem dziwnego, nieokreślonego, ale zdecydowanie złowrogiego wiru kłębu haasgardzkiej mgły. Tylko tyle i jednocześnie aż tyle.

Drugi Strażnik kolejny raz wzdrygnął się nieprzyjemnie. Jego krótki, niespodziewany postój odnotowany został w wartowni. Czujniki śledzące położenie radiolokalizatora wykryły, że obserwowany obiekt nie porusza się. Automatycznie uruchomiło to alarm, który zaowocował szybką reakcją. Ożyło ciche dotąd łącze radiowe, wypluwając pełne niepokoju pytanie Trzeciego Strażnika:

– Drugi! Dlaczego przerwałeś patrol? Melduj, co się dzieje!

– Patrol kontynuowany od teraz – odpowiedział regulaminowym zwrotem. – Przyczyna postoju nieokreślona, aktualne zagrożenie zerowe.

Krótki, zwięzły meldunek przeszył powietrze na niewidzialnych falach.

– Potwierdzam odbiór. Kontynuuj! – relacja zwrotna była równie precyzyjna. Od czasu zwichnięcia nogi przez dowódcę wartowni Trzeci Strażnik czuwał nad przebiegiem patroli sumiennie i bardzo uważnie. Jego towarzysze czasami nawet żartowali sobie z tego, mówiąc, że mają wrażenie, iż bez chwili przerwy czują na plecach jego przenikliwy wzrok.

– Weź się w garść! – mruknął do siebie mężczyzna z sumiastymi wąsami. – I przestań gonić duchy! – dodał po chwili. Ruszył dalej dobrze znaną trasą. Śledził czujnie parametry wyświetlacza i równocześnie uważnie rozglądał się dookoła.

CHODZĄCY WE MGLE

„Stopień zagrożenia zerowy...” – przemknął mu przez myśl fragment niedawnego meldunku. I bardzo dobrze! Jeszcze nieco ponad rok. Niech nic się przez ten czas nie zmienia! A potem wreszcie nastąpi długo oczekiwana zmiana. Wszystko jedno gdzie, nawet tuż za pierwszą linię któregokolwiek z wojennych frontów. Świszczące bomby implodujące, wizgi raketowych silników i głuche stukanie broni akustycznej były lepsze od dzwoniącej w uszach ciszy Haasgardu. Wszystko było lepsze od Haasgardu!

– Za rok spieprzam stąd tak daleko, jak tylko się da! – mruknął Drugi Strażnik i z kolejnym, ciężkim westchnieniem kontynuował patrol.

Gęsta mgła niepodzielnie władała rozległymi wrzosowiskami. Tu i ówdzie z jej białych objęć wystawały tylko czubki najwyższych krzaków. Nieopodal sterczały ostre krawędzie kilku surowych skał w różnych odcieniach koloru szarego. W statycznym krajobrazie powoli i ostrożnie przemieszczał się zamaskowany, prawie niewidoczny człowiek. Jego lekki krok nawet na moment nie mącił panującej dookoła ciszy. Ranek niespiesznie przeszedł w południe. Blade, zimne słońce weszło wyżej na nieboskłonie, jednak jego promienie nadal tylko oświetlały, nie dając nawet odrobiny ciepła. Chodzący we mgle niespiesznie kontynuował patrol.

2.

Mężczyzna z sumiastymi włosami dotarł do jeziora. Spowijający je całun mgły był w tym miejscu wyraźnie gęstszy i wznosił się wyżej w porównaniu z okolicą. Miał też charakterystyczne, zgnięzione zabarwienie. Ze wstępnych szkoleń pamiętał, że w gęstej błotnistej cieczy, wypełniającej niewiel-

kie zagłębienie terenu, egzystowały miliony toksycznych, wysoce szkodliwych dla człowieka bakterii. Jednym z produktów metabolizmu wielu ich szczepów był cuchnący gaz, przy którym siarkowodór uchodzić mógł za mały, niewinny smrodek.

Jeszcze zanim zbliżył się do brzegu, sprawdził działanie pochłaniaczy zapachów. Bez nich skanowanie akwenu byłoby niemożliwe do przeprowadzenia. Pochylił się na skraju gęstej, lepkiej jak śluz cieczy i stycznie do jej powierzchni ustawił niewielkie urządzenie lokacyjne. Omiótł promieniem lasera cały zbiornik.

Nie wnikał specjalnie, co i na jakiej zasadzie jest badane. Wszystkie zebrane dane drogą radiową przekazywane były automatycznie do głównego komputera wartowni. Miało to ogromną zaletę, gdyż umożliwiała zredukowanie rozmiarów i wagi skanera do minimum. Na tym właśnie zależało mu najbardziej. Wolał uniknąć włączenia się po zdradliwych wrzosiach z dodatkowym obciążeniem na plecach. Przyczyny i zakres badań, które wraz z towarzyszami regularnie przeprowadzał, schodziły wobec względów bezpieczeństwa na dalszy plan. Może kiedyś dowie się wszystkiego na ich temat, a może nie. Mógł spokojnie obejść się bez tej wiedzy, choć nie ukrywał, że bywały okresy, kiedy bardzo go to ciekawiło.

Tuż przed pochyloną ku przodowi, skupioną na pomiarze twarzą, z nieprzyjemnym mokrym mlaśnięciem pękła bańka cuchnącego gazu. Mężczyzna odruchowo poderwał się w górę, by po chwili odetchnąć z ulgą i powrócić do wykonywania przerwanych niespodziewanie czynności. W głębi ducha podziękował gorąco konstruktorom maskujących płaszczy za to, że skutecznie zadbali o izolację ich właściciela także przed zapachami zewnętrznego świata. Zanim skończył skanowanie, jeszcze kilka mniejszych i większych bąbli pękło na powierzchni jeziora. Charakterystyczne dźwięki, które temu to-

CHODZĄCY WE MGLE

warzyszyły, były jednymi z nielicznych naturalnych dźwięków Haasgardu. W zasadzie tylko one oraz zrywający się od czasu do czasu potężny wiatr przerywały idealną, przytłaczającą wręcz ciszę. Drugi Strażnik nigdy nie słyszał zwierzęcych odgłosów podziemnych mieszkańców planety. Po pierwsze, nie miał dotąd okazji ich spotkać. Nie ukrywał, że bardzo go ten fakt cieszył. Po drugie zaś, z tego, co pamiętał ze szkoleń, krwiożercze potwory były z natury nieme. Miał gorącą nadzieję, że nigdy nie przekona się o tym osobiście. W tym akurat przypadku teoria wystarczała mu w zupełności. Natomiast smutnych, przeciągłych melodii, wygrywanych przez wiejący z niezwykłą siłą wicher, oraz specyficznych młaśnień i pyknięć jeziora nasłuchiwał się do woli. „No dobra! – pomyślał. – Czas ruszać w dalszą drogę”.

Nie spieszył się nigdzie, wołał jednak uniknąć kolejnego zapytania o przyczyny zwłoki w patrolu. Kolega w wartowni śledził położenie jego radiolokalizatora z niesłabnącą uwagą. Był tego absolutnie pewien. Schował skaner do jednej z kieszeń płaszcza i bez żalu zostawił błotnisty, cuchnący zbiornik za sobą.

Kontynuował obchód wytyczonych punktów patrolowych, a jedynym widzialnym tego świadectwem było kołysanie się roztrącanych nogami krzaków wrzosów. Mgła przerzedziła się nieco, nie ciągnął więc za sobą jej gęstych pasm i kłębow. Zeszła też nieco niżej, dzięki czemu z białych objęć wyłoniły się kolejne kępy małych, ciemnofioletowych kwiatów. Wyłącznie temu kolorowi zawdzięczały swoją nazwę. Ich pozostałe morfologiczne cechy nie przypominały kwitnących jesienią ziemskich odpowiedników. Drugi Strażnik zerwał kiedyś kilka łodyg i przyniósł do wartowni, ignorując zdziwione, lekko kpiące spojrzenia towarzyszy. Wrzosy okazały się bardzo nietrwałe, poza tym w ogóle nie pachniały. Na tej dziwnej planecie nie

pachniało absolutnie nic, z wyjątkiem wyziewów z jezior pełnych gnilnych bakterii. Mimo obecności na Haasgardzie specyficznego biosystemu z niezbyt obfitą ilością przedstawicieli zarówno fauny, jak i flory planeta cechowała się pewną trudną do sprecyzowania jałowością. Ta cecha również była źródłem nieprzyjemnych wrażeń, uzupełniając szereg innych, które wpływały na ogólny negatywny odbiór mglisto-wietrznego świata.

Pogrążony w zadumie mężczyzna z sumiastymi wąsami szedł przed siebie, nieco mechanicznie rejestrując parametry zmieniające się na wyświetlaczu. Żaden z nich nie budził niepokoju, otoczenie pozwalało więc błędzić swobodnie myślom. Czasami Drugi dumał o rzeczach mało konkretnych, innym znów razem zastanawiał się nad sprawami poważnymi, mającymi istotne znaczenie dla wykonywanej służby i przyszłości bezpośrednio po jej zakończeniu. Tym razem jego uwaga skupiła się nad problemem celowości objęcia Haasgardu gęstą siecią wartowni.

Strażników uczono, aby nie zadawali pytań. Mieli wykonywać powierzone obowiązki skrupulatnie i bez komentarzy, nie bacząc na ich charakter, stopień trudności i jakiegokolwiek inne aspekty. Gdyby ktoś dowiedział się o aktualnym temacie jego rozmyślań, mógłby donieść przełożonym i przysporzyć mu z tego powodu sporych nieprzyjemności. Dawno temu nauczył się jednak skutecznej sztuki ukrywania przekonań i opinii. Spędził w Gildii Strażników ponad dwadzieścia lat. Wypełnił już trzy pełne pięcioletnie kontrakty. Za każdym razem miał wiele zastrzeżeń i pytań, lecz nikt ich nigdy nie poznał.

„I nie pozna!” – postanowił po raz nie wiadomo który. Jak do tej pory bez większych problemów udawało mu się dotrzymać danego sobie dawno temu słowa.

Czym wyróżniał się Haasgard na tle setek odkrytych i skolonizowanych przez człowieka planet w obrębie Drogi Mlecznej? Dlaczego był tak ważny, aby prowadzić na jego powierzchni stały nadzór pewnych tajemniczych parametrów? Co leżało u podstaw decyzji o zbudowaniu na nim gęstej sieci wartowni i obsadzeniu ich członkami Gildii Strażników? Nie wiedział. W trakcie odbytych szkoleń nikt niczego w tym zakresie nie wyjaśnił.

Te oraz wiele podobnych zagadek pozostawało jak na razie bez rozwiązań. Waga brakujących odpowiedzi była tym większa, że zdecydowano się na kolejną zmianę załóg i kontynuację patroli po upływie pierwszej, pięcioletniej zmiany. Po co komu dziesięć lat badań ciągle tych samych parametrów? Z jakiego powodu ciągną się one aż tyle czasu? Nowe niewiadome zastanawiały, intrygowały i, mimo usilnych starań w kwestii poznania odpowiedzi, pozostawały wciąż niewyjaśnione.

Drugi Strażnik doskonale pamiętał czwarty dzień służby. Miał wyruszyć z dowódcą wartowni na swój pierwszy patrol. Dwukrotnie sprawdził gruntownie ekwipunek i gotów był powtórzyć wszystkie czynności po raz trzeci. Zanim jednak zabrał się do tego, Pierwszy Strażnik zaprosił go na nieoficjalną, krótką rozmowę. Jak się później okazało, była to najważniejsza w całej dotychczasowej służbie, choć nie do końca regularna odprawa. Dowiedział się na niej o istnieniu drugiego, półinteligentnego komputera w wartowni. Jego panel sterowania ukryty był za zamaskowanymi pancernymi drzwiami, chronionymi przez wymyślny zamek elektroniczny. W nim znajdowały się wszystkie odpowiedzi, a jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej większość z nich. Teoretycznie Drugi miał dostęp do tajemniczego komputera, dowódca przekazał mu login i sekwencję znaków stanowiących aktualne hasło. Pozostawała

tylko kwestia okoliczności uzasadniających jego uruchomienie.

Pólinteligentną maszynę wolno było uaktywnić tylko w wyjątkowych przypadkach. Mogła być nim śmierć jednego lub dwóch członków załogi wartowni. Z pewnym jednak zastrzeżeniem. Zgon na skutek nieszczęśliwego wypadku lub targnięcia się na życie nie wchodził w rachubę. Instrukcje w tej kwestii wyraźnie sugerowały, że śmierć musi mieć niewyjaśnione okoliczności, sugerujące udział obcych sił. Co należało rozumieć pod pojęciem obcych sił? Tego już niestety nie sprecyzowano. W każdym razie wpadnięcie do nory tarczaków, odcięcie stopy przez wredne stwory i śmierć w następstwie wykrwawienia się nie uzasadniały otworzenia sejfu z superkomputerem. Podobnie jak strzelenie sobie w głowę, jeżeli któryś z towarzyszy w ogóle zdecydowałby się na taki skrajnie drastyczny krok. Jak dotąd mężczyzna z sumiastymi wąsami nie potrafił wyobrazić sobie sytuacji, w której doszłoby do tak definitywnego, brutalnego rozstania się ze światem, nawet tak dziwnym i nieprzyjemnym jak Haasgard.

Kilkustronicowa instrukcja w dalszej części była niestety równie enigmatyczna. Pancerne drzwi skrywające prawdę można było otworzyć w przypadku inwazji wrogiej floty. Niby logiczne założenie, jednak od ostatniej galaktycznej wojny minęło prawie ćwierć wieku. Sytuacja polityczna była stabilna i absolutnie nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie wybuchnie jakikolwiek konflikt zbrojny. Pojedyncze drobne potyczki toczyły się jedynie w kilku gwiazdnych systemach na obrzeżach Drogi Mlecznej. Mocno przetrzebione, wrogie w stosunku do Terrageńskiej Federacji siły obcych i buntowników nie stanowiły żadnego realnego zagrożenia dla pełnego mgły i wiatru świata. Poza tym kto miałby wysłać flotę na planetę taką jak Haasgard? Niektóre rasy teoretycznie były zdolne do

szalonych czynów. W końcu człowiek niejednokrotnie miał okazję przekonać się, że kierujące ich działaniami pobudki umykały racjonalnym wyjaśnieniom. Obcy mogli zatem odważyć się na podobny krok. Po co jednak mieliby to robić? Nie wiadomo. Zresztą jeżeli spojrzano się na trójwymiarową mapę Drogi Mlecznej, trudno było brać powyższą teorię na poważnie.

Zajmowane przez inne rozumne rasy sektory były w większości zlokalizowane na drugim końcu galaktyki. Inwazja na tak odległy świat wydawała się operacją logistyczną na gigantyczną, niespotykaną dotąd i, co by nie mówić, mało opłacalną skalę. Ani jedna ze znanych Drugiemu Strażnikowi rzeczy, żadne hipotetyczne złoża rzadkich minerałów, pierwiastków rozszczepialnych czy czegokolwiek innego, co można było spotkać na terenie Haasgardu, nie usprawiedliwiałyby organizacji i przeprowadzenia tak kosztownych działań militarnych. Zresztą prawdopodobieństwo udanego przelotu wrogiej armady przez całą Drogę Mleczną bez zwrócenia na siebie uwagi było praktycznie równe zeru. Nie istniała więc szansa na podstępna, zaskakującą wszystkich inwazję. Powyższy scenariusz wydarzeń można było rozpatrywać jedynie teoretycznie.

Przez jakiś czas mężczyzna z sumiastymi wąsami zastanawiał się, czy istniała szansa na wystąpienie w roli agresora jakiejś prywatnej floty. Desantu i zajęcia planety mogłaby dokonać na przykład zdesperowana kompania przemysłowa lub zorganizowana grupa przestępcza. To założenie wydawało się trochę bardziej prawdopodobne w porównaniu do scenariusza z udziałem obcych. Mimo wszystko ten pomysł także należało traktować wyłącznie jako czystą teorię. Zarówno kryminaliści, jak i zachłanni kapitaliści kierowali się w swych poczynaniach zyskiem. Tylko odpowiednie profity potrafiły skusić ich do działań wykraczających daleko poza ogólnogalaktyczne normy prawne. Jaki zysk można było czerpać ze świata takiego jak

Haasgard? Zdrowa logika bez wahania podpowiadała, że żaden. I znów wracało podstawowe pytanie – dlaczego nieprzyjazny, złowrogi świat pełen mgły i wiatrów był tak pieczołowicie strzeżony? O co w tym wszystkim, do cholery, chodziło?

Niemożność znalezienia odpowiedzi w tak istotnych kwestiach była frustrująca. Całą sytuację pogarszała świadomość, że za pancernymi drzwiami sejfu stała i kurzyła się półinteligentna maszyna, która mogła ich bez trudu udzielić. Trzeba było jedynie znaleźć odpowiedni powód do jej uruchomienia, a to niestety okazało się cholernie trudne. Szereg uzasadniających takie działanie wymienionych w instrukcji sytuacji charakteryzował się minimalnym prawdopodobieństwem zaistnienia. Na ostatniej stronie znajdował się jednak dość ciekawy punkt. Według niego superkomputer można było uaktywnić w sytuacjach kryzysowych, istotnie zaburzających zdolność placówki wartowniczej do wykonywania powierzonych obowiązków. Określenie „kryzysowych” należało rozumieć w tym przypadku jako takich, których nie opisano w Regulaminie Służby Wartowniczej. Drugi Strażnik próbował kiedyś przebrnąć przez kilkusetstronicową treść wspomnianego dokumentu. Próba zakończyła się kompletnym fiaskiem, któremu towarzyszył silny ból głowy. Lektura monumentalnej biblii Gildii Strażników sprawiała wrażenie, że przewidziano w niej dokładnie wszystko: z uderzeniem meteorytu w wartownię, wybuchem zarówno pobliskiej, jak i odległej supernowej oraz epidemią przewlekłą, wyniszczającą sraczkę włącznie. Ostatni punkt o wiele cieńszej broszury należało więc chyba rozpatrywać wyłącznie jako zabezpieczenie autorów przed ewentualną odpowiedzialnością.

Z drugiej strony zdarzały się jednak chwile, kiedy mężczyzna z sumiastymi wąsami nie był do końca pewien, czy rzeczywiście chciałby stanąć oko w oko z sytuacją kryzysową, ja-

kakolwiek by ona nie była. Uważał, że ma dość duże doświadczenie w wykonywanym zawodzie, a powierzona mu przez Gildię funkcja zastępcy dowódcy wartowni z pewnością potwierdziła ten fakt. Nigdy nie otrzymałby tego stanowiska, gdyby się nie nadawał. Mimo tych budujących wniosków nie mógł być pewien, czy zdołałby poradzić sobie ze wszystkim, stojąc w obliczu hipotetycznego, nieopisanego na kilkuset stronach nieznanego niebezpieczeństwa. Nie przychodziło mu do głowy żadne ewentualne zagrożenie, nie oznaczało to jednak, że nie istniało. I co miałyby wówczas począć? Poradziłby sobie z kryzysem czy nie? A może działania, które zdecydowałby się podjąć w takiej wyimaginowanej sytuacji, miałyby jedynie połówiczny charakter? W końcu zamknięty na głucho w pancernym sejfie komputer był tylko maszyną. Pólinteligentną, co prawda, ale jednak! Mogło się przecież zdarzyć, że i ona zawiedzie, a wówczas żegnaj, Gildio! Żegnajcie, pobory i wizjo spokojnej, dostatniej starości. Opcji własnej śmierci podczas wykonywania służby Drugi Strażnik w ogóle nie brał pod uwagę. Wychodził z założenia, że lepiej o tym nie myśleć, by nie wywołać przysłowiowego wilka z lasu.

Szedł przed siebie, dumając nad Haasgardem i jego niepoznanym z natury, ale – wszystko na to wskazywało – niezwykle cennym bogactwem. Mechanicznie, choć cały czas czujnie, rejestrował parametry wyświetlacza gogli. Pozostałą część uwagi skupiał na obserwacji nieprzyjaznego świata.

Mgła stopniowo opadała coraz niżej, wijąc się i kłębiąc w pierwszych, na razie jeszcze bardzo delikatnych podmuchach wiatru. Nie zwiastowało to niestety niczego dobrego i zawałdął nim niepokój. Z doświadczenia wiedział, że może to być niewinny wstęp do huraganu, który potrafił rozwinąć się z pełną mocą w przeciągu zaledwie niecałej godziny. Jeżeli ktoś choć raz wpadł w jego objęcia, wołał uniknąć ponownego, ma-

ło przyjemnego kontaktu z bezlitosną, brutalną siłą. Niszczycielski żywioł nie uznawał bowiem porażek. Panował niepodzielnie na wrzosowiskach, wył przeciągle wśród nagich skał i złowrogo świszczał, niestrudzenie owiewając wzmocnione ściany wartowni.

Jakby na potwierdzenie mało optymistycznych przewidywań, cicho pisał sygnał połączenia radiowego. Trzeci Strażnik obserwował nie tylko położenie i ruch radiolokalizatorów towarzyszy. Do jego obowiązków należało także równoległe monitorowanie danych meteorologicznych, które nieprzerwanie spływały do wartowni z gęstej sieci czujników. W związku z nadchodzącym huraganem zasugerował natychmiastowe przerwanie patrolu i niezwłoczny powrót do bezpiecznego schronienia. Przewidywana siła wiatru była ogromna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie lekcewał takiego ostrzeżenia. Drugi Strażnik dobrze wiedział, czym może się to skończyć.

Zwiewna, rzedniejąca z każdą mijającą chwilą mgła kołysała się łagodnie, momentami wręcz zalotnie i uwodzicielsko. Jak wyrefinowana striptizerka odsłaniała kolejno, jedno po drugim, rozległe połacie wrzosowisk. Karłowate krzaki przykuwały wzrok intensywnym fioletem mnóstwa drobnych kwiatów. Wówczas Haasgard tracił na moment swój ponury, nieprzyjemny charakter. W dalszym ciągu daleko mu było do miana ładnej planety, jednak rzadkie chwile bez mgły spowijającej jej powierzchnię były miłym dla oka urozmaiceniem. Szkoda tylko, że okoliczności nie pozwalały na ich spokojną i bezpieczną kontemplację.

Podziwianie krajobrazu w nowych, szybko zmieniających się warunkach pogodowych mogło skończyć się nie najlepiej. Tempo, w jakim narastała siła wiatru, było niezwykle. Człowiek mógł oprzeć się jego sile jedynie chroniony murami wartowni. Na otwartym terenie był bez szans. Całkowicie nieprze-

CHODZĄCY WE MGLE

widyalne huragany uniemożliwiały wyrośnięcie na planecie lasów, które mogłyby dać ewentualne schronienie. Wszelkiego rodzaju bruzdy i szczeliny skalne zasypywane były z niezłomną energią krótko po ich powstaniu. Nie było więc gdzie się schować. Nawet jeśli komuś udałoby się znaleźć w miarę bezpieczne schronienie, nie pozostawałoby mu wówczas nic innego, jak biernie czekać na ciszę. Wiatr w końcu przestawał wiać. Mogło to się zdarzyć już następnego dnia, ale równie dobrze dopiero za dwa tygodnie. Drugi Strażnik doskonale pamiętał pełną frustrującej nudy i bezsilności przerwę w patrolach, jaka miała miejsce pod koniec zeszłego roku. Trwała aż osiemnaście dni. Ktoś, kto dałby się zaskoczyć takiemu właśnie wiatrowi, nie miałby praktycznie szans na przeżycie, nawet mimo ewentualnej osłony. Nie zwlekał więc ani chwili dłużej.

Szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w drogę powrotną. Dopiero co ją przemierzył i nie dostrzegł żadnych niebezpieczeństw, mógł więc zwiększyć tempo marszu kosztem czujności i ostrożności. Systemy alarmowe pozostawił jednak nadal włączone. Tarczaki były wyjątkowo wrednymi stworzeniami i nie zamierzał lekceważyć ich kiedykolwiek, bez względu na okoliczności. Zwinnie przeskakiwał przez kępy kołyszących się coraz wyraźniej wrzosów, a jego ciężkie buty z charakterystycznym chrzęstem kruszyły zwietrzałą powierzchnię skał i kamieni. Mgła zanikła prawie zupełnie. Tylko gdzieś tam snuły się jeszcze jej coraz bledsze pasma, jakby z ociąganiem ustępujące miejsca nadchodzącej wichurze. Białe słońce skryło się za grubą warstwą chmur. Stało się to tak raptownie, że mężczyzna z sumiastymi wąsami odniósł wrażenie, jakby ktoś zgasił światło. Odruchowo spojrzął w górę. W jednej chwili chmur nie było, w drugiej gigantyczne, szare zwały zakrywały już połowę nieba. Ich szybki pochód naprzód był widoczny go-

łym okiem. To dodatkowo świadczyło o sile zbliżającego się huraganu.

– Nie ma żartów! – mruknął, jeszcze bardziej przyspieszając kroku. O ile kiedykolwiek były...

Nie miał czasu na podziwianie błyskawicznie zmieniających się układów chmur i powstającej dzięki nim specyficznej gry światła. W normalnych warunkach byłby to z pewnością interesujący widok, godny przynajmniej kilku westchnień z podziwu albo zrobienia pamiątkowej, trójwymiarowej fotografii. Na Haasgardzie jednak nic nie było normalne.

W połowie drogi powrotnej krzaki wrzosów kołysały się już mocno. W zasadzie chyba tylko one czerpały wymierne korzyści z wiatru. Przeprowadzone tuż po odkryciu planety badania ekosystemu wykazały, że nie ma na niej żadnych owadów. Na próżno szukano małych, latających stworzeń, które mogłyby być odpowiednikami ziemskich pszczoł, trzmieli, much czy chociażby komarów. Dzięki temu odkryciu zagadka rozmnażania się kwiatów i karłowatych traw stała się dziecinnie prosta do rozwiązania. Za zapylenie i rozsiewanie nasion odpowiedzialny był ruch powietrza. Matka natura, która w przypadku Haasgardu okazała się wyjątkowo skąpa i mało finezyjna zarówno w formie, jak i treści, wyraźnie zaskoczyła ludzkich biologów. Pokazała, że dysponuje różnorodnymi sposobami na zapewnienie przetrwania własnych, niekoniecznie pięknych czy udanych dzieł.

Drugi Strażnik przeczytał o tej botaniczno-meteorologicznej ciekawostce podczas jednej z pierwszych przerw w patrolach. Zrobiła na nim wówczas spore wrażenie. Podejrzewał, że gdyby dowiedział się o tym teraz, skomentowałby wszystko zwykłym wzruszeniem ramion. Ten świat zubożał i powodował wyraźne spływanie afektu. Momentami był tego wręcz boleśnie świadom. Z drugiej jednak strony zakładał, że wła-

śnie dzięki temu udaje się ludziom przetrwać i zachować na Haasgardzie zdrowe zmysły. W końcu nie odtwarzał jednej z ról w bajce dla grzecznych dzieci. W tym miejscu niejednokrotnie zdarzało się, że najwięksi nawet twardziele mieli kwaśne miny, a gdzieś w kącikach ich ust błąkał się ledwo zauważalny uśmieszek obłędu.

Pierwszy naprawdę silny podmuch uderzył go z boku w chwili, gdy widział już wartownię. Nieustanne, coraz bardziej natarczywe ponaglenia Trzeciego Strażnika zmusiły go do biegu. Przybierający błyskawicznie na sile wiatr spychał go ze ścieżki, jakby chciał, aby dwunożny przeciwnik postawił nieostrożny krok na nieznanym, zdradliwym terenie. Uwięźnięcie stopy w norze tarczaka równałoby się w tym momencie wyrokowi śmierci. Śmierci tym straszniejszej, że rzut beretem od bezpiecznego schronienia. Drugi Strażnik zdwoił swe wysiłki. Maskujący płaszcz wydymał się za nim, ledwo nadążając za upodabnianiem się do mijanego w szalonym pędzie otoczenia. O chroniące oczy gogle stukały miotane wściekle liczne ziarenka piasku.

Ostatnie sto metrów nie sposób było już biec. Wiatr przestał dąć z boku, złośliwie zmieniając kierunek na przedni. Jego siła wciąż rosła. Stanowił jednolitą, odpychającą od azylu barierę. Jej pokonanie wymagało nieludzkiego wręcz wysiłku. Wściekły żywioł, mimo że wciąż się nasilał i przeraźliwie zawodził, ostatecznie przegrał jednak zmagania z dwunożnym rywalem. Spryt i zapobiegliwość zapewniła człowiekowi zwycięstwo w nierównej walce z o wiele mocniejszym przeciwnikiem.

W różnych kierunkach od kamiennych ścian wartowni rozprowadzone były tuż nad ziemią stalowe liny. Każda z nich zaopatrzona została w rozmieszczone w regularnych odstępach, koliste zaczepy. Wystarczyło dotrzeć do któregoś z nich i

CHODZĄCY WE MGLE

zwyczajnie się przypiąć. Dyżurujący w budynku Strażnik uruchamiał wówczas wyciągarkę. Siła wiatru, choć niewątpliwie olbrzymia, musiała ustąpić mocy wysokoprężnego silnika, a niedoszła ofiara pokonywała ostatni odcinek drogi na brzuchu, ciągnięta za pas lub rękę.

W bezwietrzne dni, w które nie wypadały patrole, teren wokół wartowni był regularnie wyrównywany. Starannie niwelowano wszelkie góry i dołki, usuwano kamienie, wrywano krzaki. Sto metrów jazdy na brzuchu nie było więc aż tak mało komfortowe, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Zresztą płacona w ten nietypowy sposób cena za pozostanie wśród żywych i tak była minimalna. Drugi Strażnik w przebiegu dotychczasowej służby już kilkakrotnie korzystał z pomocy wyciągarki.

„Cóż – pomyślał, ciężko dysząc z wysiłku i drżącymi rękoma przypinając się do jednego z zaczepów stalowej liny – lunapark to nie jest, ale choć trochę można sobie pojeździć!”.

Szuranie płaszcza po ziemi zagłuszone zostało przez wściekły wiatr, który sprawiał wrażenie, że nie może pogodzić się z udaną ucieczką człowieka. Pozornie łatwa zdobycz wymykała się z wietrznych objęć. Sypany obficie piasek i ciskane z wielką siłą wyrwane kępy wrzosów były oznakami niezmięrzzonej furii. W żaden sposób nie mogły jednak wpłynąć na losy zmagania. Dawid wygrał z Goliatem.

Kilkanaście minut później Drugi Strażnik wyszedł spod ultradźwiękowego prysznicza. Ubrany w czysty mundur żuł nieśpiesznie kęs sprasowanej racji żywnościowej i z kamienną twarzą wyglądał przez okno. Jego oblicze stanowiło odzwierciedlenie idealnego spokoju. Szare oczy przesuwaly się leniwie od jednego punktu do drugiego, niczego konkretnego nie śledząc. Światem na zewnątrz władał niepodzielnie huraganowy wiatr.

– Możesz mi nadmuchać! – mruknął mężczyzna z sumiastymi wąsami pod adresem szalejącego na zewnątrz żywiołu.

3.

Wiatr wiał z niesłabnącą siłą przez równe trzy tygodnie. To był absolutny rekord w długości trwania huraganu na Haasgardzie. Wielokrotnie zmieniał kierunki, wył i gwizdał pośród skał, miotał się jak szalony. Przez te dwadzieścia jeden dni był jedynym władcą świata na zewnątrz wartowni. Jej załoga przywykła do niego w miarę szybko. W końcu nie była to pierwsza przymusowa przerwa w patrolach. Kilkudniowe okresy, w czasie których nie można było opuścić bezpiecznego lokum, zdarzały się przedtem wielokrotnie. Przeznaczano je z reguły na archiwizację danych. Morze różnorodnych, zebranych dotąd informacji katalogowano, zestawiano i kompresowano. Nikt jednak niczego nie analizował i nie bawił się w statystykę. To nie leżało w gestii Strażników. Ich zadaniem było pilnowanie planety i zbieranie określonych danych z jej powierzchni. Wyciąganie wniosków z efektów tej pracy należało do kogoś innego.

Przyszedł jednak moment, kiedy zabrakło jakiegokolwiek konstruktywnej pracy. Posortowano, spakowano i nagrano na nośniki wszystko, co tylko się dało. W związku z niesłabnącym wciąż wiatrem załoga wartowni stanęła w obliczu nudy, a każdy z jej członków radził sobie z nią na własny sposób. Pierwszy Strażnik zakładał na uszy słuchawki i odizolowany od dźwięków otaczającego świata komponował muzykę. W miarę upływu czasu kolekcja nagrań jego autorstwa powiększała się, lecz nigdy nie zaprezentował towarzyszom żadnego ich frag-

mentu. Drugi Strażnik spędzał przymusowy wolny czas na ćwiczeniach, zarówno ciała, jak i ducha. Naprzemiennie przeżył i napinał mięśnie lub wyciszał się, medytując godzinami w pozycji lotosu. Ostatni członek załogi wartowni czytał. Ustawiał relaksacyjny fotel w pozycji półleżącej, kładł się na nim i zakładał wirtualny hełm na głowę. Lekko niebieskawa poświata sącząca się z jego środka migotała charakterystycznie w regularnych odstępach podczas przewijania stron. Co czytał Trzeci Strażnik, pozostawało jego słodką tajemnicą.

Mimo że trzech mężczyzn od prawie czterech lat mieszkało na stosunkowo niewielkiej powierzchni, każdy z nich miał tyle prywatności, ile potrzebował. Poszanowanie indywidualności drugiej osoby i nieingerowanie w jej zwyczaje w czasie wolnym od służby było podstawą szkolenia wstępnego każdego kandydata na członka Gildii Strażników. Przynosiło to dobre efekty, bo według dostępnych na ten temat raportów konflikty na wszystkich zakontraktowanych placówkach były sporadyczne.

Jak długo można jednak komponować, ćwiczyć lub czytać? Ile czasu potrzeba, aby mimo intensywnych przygotowań i treningów stracić silną wolę i poddać się frustrującej nudzie? Tego nikt nie potrafił przewidzieć. Najprawdopodobniej jednak czas ten był dłuższy niż trzy tygodnie, gdyż przez rekordowy okres trwania huraganu przymusowa bezczynność w wartowni minęła spokojnie, bez spięć czy innych nieprzyjemnych incydentów.

Dwudziestego pierwszego dnia od jazdy na brzuchu zafundowanej przez wyciągarke Drugiemu Strażnikowi dane dostarczane przez meteorologiczne czujniki wreszcie się zmieniły. Huragan wyraźnie słabł. Opierając się na uprzednich obserwacjach, można było nawet pokusić się o ustalenie przybliżonego czasu zupełnego jego ustania. Według komputera ana-

lizującego warunki pogodowe wiatr mógł ucichnąć nawet w ciągu najbliższych dwóch godzin. I tak też się stało.

Wraz z ostatnimi, wyraźnie słabnącymi z każdą minutą podmuchami spadł krótkotrwały, ale za to obfity deszcz. Potem nastąpiła cisza, która wręcz boleśnie kłuła w uszy. Ucichły całkowicie wycia, zawodzenia, gwizdanie, świsty i szum, a w okna i dach wartowni przestał bębnić grad kamieni i piasku. Haasgard zmienił swe oblicze na idealnie statyczne.

– Czas na patrol! – zakomunikował kwadrans później dowódca, podchodząc do olbrzymiego kalendarza wyświetlanego przez holoprojektor na jednej ze ścian głównego pomieszczenia. Przez moment studiował umieszczone na nim znaki, po czym z ciężkim westchnieniem oznajmił: – Idziemy ja i Trzeci. Drugi zostaje na miejscu.

W taki właśnie krótki i rzeczowy sposób rozdzielone zostały zadania. Dwóch mężczyzn ruszyło do swoich pokoi, by przygotować się do wymarszu, trzeci podszedł do kalendarza i beznamiętnym wzrokiem przyjrzał się grafikowi służb. Wszystko się zgadzało. Właściciel sumiastych wąsów był z tego powodu jednocześnie i zły, i zadowolony. Żadne z wypełniających go uczuć nie mogło zdobyć wyraźnej przewagi w niemej, wewnętrznej walce.

Wkurzało go to, że musiał zostać. Kisł w wartowni trzy tygodnie, z utęsknieniem czekając na moment wyjścia. Wiatr wreszcie zupełnie ucichł, jednak dla niego nie wiązało się to z długo oczekiwanym przerwaniem monotonii. Nie mógł postawić nawet jednego kroku na zewnątrz, gdyż tym razem patrolowa kolejka przypadała jego towarzyszom. To oznaczało, że jeszcze dwa dni pozostanie na miejscu: jeden dzień miał zostać spożytkowany na obejście wszystkich punktów obserwacyjnych i pomiarowych, drugi stanowił przerwę przed następnym wyjściem. Nie była to budująca perspektywa, niczego

jednak nie mógł zrobić w kwestii jej ewentualnej zmiany. Służba nie drużba – jak głosiła jedna z najważniejszych i zarazem najbardziej enigmatycznych zasad Gildii Strażników.

Podszedł do panoramicznego okna i wyrzwał na zewnątrz. Ostatnie chmury ginęły gdzieś na styku nieba z ziemią. Białe słońce znów zakrólowało na nieboskłonie, śląc swe zimne promienie skośnie w dół. Po takich huraganach zawsze wszystko się zmieniało. Ogromna siła wiatru wyrwała darń, kruszyła zmurszałe skały, wywoływała kamienne lawiny i osuwiska. Niejednokrotnie krajobraz zmieniał się tak bardzo, że trudno było dostrzec elementy charakterystyczne dla poprzedniego układu. Znikały wydeptane ścieżki, dawne pagórki spłycały się lub przeciwnie – wyrzuszały dzięki naniesionym przez wiatr kamieniom, piaskowi i roślinnym szczątkom. To była ważna, pożądana, warunkująca spokój ducha odmiana w monotonii codziennej służby. Szczególnie wtedy Drugi Strażnik lubił wychodzić na patrol. To nikłe, ale bardzo cenne tchnienie nowości, te wszystkie zmiany w otoczeniu, których musiał się od nowa nauczyć i do których musiał przywyknąć, wyrwały go choć na trochę z typowego na co dzień odrętwienia. Były to nieliczne chwile, kiedy w głębi ducha nie przeklinał Haasgardu i godził się z jego surowym wyglądem, bladym słońcem oraz niskimi temperaturami.

Wszystko jednak miało drugą, zdecydowanie mniej przyjemną stronę. Patrol po huraganie był szczególnie niebezpieczny i wymagał zachowania wyjątkowych środków ostrożności. Wiatr zasypywał stare ścieżki i wytoczył nowe. Nieznane szlaki były pociągające, wiązały się jednak ze zwiększonym ryzykiem wypadków. Na drodze Strażnika mogły stanąć nory tarczaków doskonale zamaskowane przez wyrwane i przeniesione na nowe miejsca kępy wrzosów. Zawsze mogło się okazać, że z pozoru solidne i trwałe odsłonięte powierzchnie skał

niekoniecznie takimi właśnie były. Postawienie stopy w bezpiecznym na pierwszy rzut oka miejscu mogło z równym prawdopodobieństwem przyczynić się do szybkiego, sprawnego wejścia na pagórek, jak i spowodować osunięcie ziemi i lawinę kamieni, które pociągały w dół nieostrożnego śmiałka. Z tego powodu Drugi Strażnik był zadowolony, że pozostaje w wartowni.

Z jednej strony aż rwał się do patrolu w zupełnie nowych sceneriach i cieszyłby się niezmiernie, gdyby to właśnie na niego padła kolej do wyjścia. Z drugiej jednak strony jego racjonalny umysł wyrażał zadowolenie, że to inni przecierają niebezpieczne szlaki. Dodatkowo jego ego zostało mile połaskotane niedawnym, ciężkim westchnieniem dowódcy. Interpretacja tego zachowania nie była trudna. Niezadowolenie Pierwszego Strażnika spowodowane było niepomyślnym dla niego przydziałem służb, widniejącym na wyświetlonym na ścianie grafiku. Dowódca wartowni był w pełni świadom niebezpieczeństw wynikających z patrolu przypadającego po ustaniu wielodniowego, huraganowego wiatru. Od lat cieszył się opinią doświadczonego, odpowiedzialnego pracownika Gildii i nie obawiał się o siebie. Gorzej rzecz się miała z Trzecim Strażnikiem. Nieopierzony młokos z zaledwie jednym pięcioletnim kontraktem na koncie, w dodatku na bardzo spokojnej i bezpiecznej planecie, mógł nie podołać czekającemu go zadaniu. Cechował go entuzjazm, aż rwał się do patroli, i cała jego dotychczasowa służba miała nienaganny przebieg. Brakowało mu jednak doświadczenia i zdolności zachowania zimnej krwi, co w takich sytuacjach mogło być zgubne.

Dowódca wartowni westchnął ciężko, widząc, z kim wychodzi. Wolałby widzieć w tej roli Drugiego Strażnika, licząc na jego spokój i opanowanie wynikające z wielu lat pracy w Gildii. Grafik był jednak rzeczą niepodważalną, prawie świętą. Można

go było oczywiście zmienić, lecz musiałyby istnieć ku temu naprawdę ważne powody. Na chwilę obecną takie nie występowały, a brak doświadczenia najmłodszego wiekiem i stażem członka załogi z pewnością nie usprawiedliwiał jakichkolwiek korekt. Stąd brało się właśnie to ciężkie westchnienie. Każdy w końcu wolałby mieć towarzystwo szczwanego jak lis, starego wyjadacza. Młodzik, który dopiero zdobywał pierwsze szlify, bardziej przysparzał kłopotów, niż redukował ich ilość. Cóż, służba nie drużba...

Krótkie przygotowania zostały zakończone. Dwóch mężczyzn stanęło w pełnym oporządzeniu naprzeciw siebie, lustrując uważnie strój towarzysza. Zasady Gildii były w tej kwestii nieprzejezdane i nikt nie odważyłby się pominąć tej procedury. Wszystko okazało się w jak najlepszym porządku. Płaszcz maskujący miał pełny zasób energii w układach zasilania, elektroniczne gogle ściśle przylegały do twarzy, a broń z zapasowymi ogniwami energetycznymi spoczywała w kaburach na udach, gotowa w każdej chwili do użycia.

– Szczęśliwego patrolu! – życzył Drugi Strażnik.

Wychodzący z poważnymi minami skinęli w podziękowaniu.

– Spokojnego czuwania! – odpowiedział dowódca.

Drzwi wartowni otworzyły się na krótko i po chwili ponownie się zamknęły z głuchym szcęknięciem magnetycznych zamków. Mężczyzna z sumiastymi wąsami został sam. Miał za sobą dwadzieścia jeden dni otępiającej nudy, ale za to w towarzystwie. Teraz czekał go jeszcze jeden, w całkowitej samotności. A potem następny w obecności reszty załogi i dopiero wtedy przyjdzie jego kolej na patrol.

– Wytrzymam! – mruknął, zaciskając zęby. Równie mocno zaciśnięte pięści oparł o dna kieszeni spodni i przeszedł do głównego pomieszczenia wartowni. Usiadł przed rzędem mo-

nitorów i popatrzył na nieaktywne ekrany większości z nich. – No dobra! – westchnął. – Czas wziąć się do roboty!

Wystukał odpowiednie komendy i wszystkie monitory ożyły. Musiał zmrużyć oczy, gdy zalany został intensywnym, emitowanym przez nie światłem. W pierwszej kolejności skupił uwagę na dwóch wyświetlaczach zlokalizowanych centralnie na samej górze. Migwały na nich rytmicznie przesuwające się wolno zielone punkciki. Był to odczyt radiolokalizatorów osób znajdujących się na zewnątrz. Niewielkie plamki systematycznie kierowały się ku pierwszym punktom kontrolnym, których rozmieszczenie w postaci siatki naniesione zostało jak tło na ekran.

Niżej wyświetlane były dane meteorologiczne. Trzy z piętnastu czujników znajdujących się w różnych miejscach wokół wartowni zostały uszkodzone lub zniszczone przez szalejący huragan. W zależności od wielkości awarii należało je naprawić lub wymienić na nowe. To było zawsze główne zadanie patrolu wyruszającego po dłuższej przymusowej przerwie. Bez należycie działającego systemu wczesnego ostrzegania przed nadchodzącym wiatrem życie wychodzących na powierzchnię planety Strażników byłoby poważnie zagrożone. Złowrogi Haasgard gotów był w każdej chwili bezlitośnie wykorzystać jakiegokolwiek potknięcia człowieka.

Regułą pierwszego wyjścia na zewnątrz wartowni po przerwie spowodowanej niekorzystnymi warunkami pogodowymi była również całkowita cisza radiowa. Przerывano ją jedynie w naprawdę wyjątkowych sytuacjach, tak aby błahe sprawy nie odwracały niepotrzebnie uwagi patrolujących. Dwóch kroczących nowymi ścieżkami mężczyzn milczało więc przez cały czas, a obserwujący ich wędrówkę na monitorze Drugi Strażnik również nie przerywał ciszy. Nie miał niczego do zameldowania i nie musiał przed niczym ostrzegać, siedział zatem bez

słowa i bez żadnych widocznych na twarzy emocji obserwował wyświetlane dane. Skontrolował temperaturę, skład powietrza, radioaktywność powierzchni i szereg innych parametrów. Wszystko było w normie i nie odbiegało w jakikolwiek sposób od poprzednich odczytów. Jeżeli tylko któryś z jego towarzyszy nie zrobi czegoś głupiego, czekała go przeraźliwie nudna służba.

Na moment odwrócił oczy od rzędu ekranów i wierzchem dłoni potarł piekące oczy. Nie przyniosło to spodziewanej ulgi, a wrażenie obecności maleńkich ziarenek piasku pod powiekami jeszcze się nasiliło. Jego wzrok prześlizgnął się po głównym pomieszczeniu wartowni.

– Centrum dowodzenia... – mruknął z przekąsem, gdy przypomniał sobie jego regulaminową nazwę. – Kto wymyśla takie głupoty?

Po chwili jednak wzruszył ramionami. Może lepiej nie wiedzieć takich rzeczy. Mogłoby się okazać, że wyrażając głośno niepochlebne opinie pod adresem autora niezbyt lotnego określenia, naraziłby się któremuś z wysokich funkcjonariuszy cechu. Ponownie skupił uwagę na monitorach, ale żaden z wyświetlanych na nich parametrów nie uległ zmianie. Wstał, przeciągnął się i niespiesznie podszedł do zamaskowanych, pancernych drzwi, które skrywały superkomputer. W półinteligentnej maszynie kryły się odpowiedzi na większość dręczących go pytań. Znajdowały się na wyciągnięcie ręki, równocześnie były jednak tak daleko, jakby orbitowały wokół planety w postaci sztucznego satelity. Pozostawały całkowicie poza zasięgiem, dopóki nie zaistnieje sytuacja kryzysowa. Cokolwiek by to określenie oznaczało.

Drugi Strażnik westchnął ciężko i powrócił do wykonywania służbowych obowiązków. Zielone kropki radiolokalizatorów migły bezustannie, przesuwając się od jednego punktu kon-

trólnego do drugiego, zgodnie z wytyczoną uprzednio trasą. Pogoda nie wróżyła niczego złego, nie było najmniejszych powodów do niepokoju. Mężczyzna z sumiastymi wąsami ponownie wyrzał przez panoramiczne okno. Haasgard pogrążony był we mgle. Nie zaskoczył go ten widok. Bardziej zdziwiłby się, gdyby nie ujrzał gęstego oparu snującego się sennie tuż przy ziemi. Jak okiem sięgnąć cała okolica tonęła w nieruchomym białym morzu. Mocno przygięte, zmęczone wielodniowymi wiatrami kępy wrzosów tylko gdzieniegdzie wystawały ponad warstwę mgły, jakby w obawie, że gdy zbyt wysoko podniosą ukwiecone łodygi, huragan powróci i ukarze je za zuchwałość. Mgła i srogi wicher – dwa nieodłączne elementy Haasgardu zamieniły się kolejny raz miejscami na królewskim tronie.

Spokojną kontemplację krajobrazu zakłócił sygnał alarmu. Pojedyncze, niezbyt głośne piknięcie niespodziewanie przerwało panującą dotąd ciszę. Drugi Strażnik podszedł do rzędu ekranów i szybko przebiegł po nich wzrokiem. Coś było nie tak, obwód alarmowy nie uaktywnił się przecież sam z siebie. Tylko co? Przez moment nie mógł przypomnieć sobie, co oznacza usłyszany przed chwilą pojedynczy sygnał. Z pewnością od dawna go nie słyszał i, prawdę mówiąc, wątpił, czy w ogóle miał ku temu okazję. Gonitwa myśli próbujących ustalić przyczynę alarmu wyhamowana została do zera przez kolejne piknięcie. Tym razem mężczyzna z sumiastymi wąsami zdołał zauważyć towarzyszący temu krótkotrwały rozbłysk czerwonej diody. W dalszym ciągu nie miał jednak pojęcia, czego właśnie jest świadkiem.

Z pewnym ociąganiem, jakby nie chcąc do końca przekonać się o naturze zagrożenia, nacisnął klawisz znajdujący się poniżej migającej lampki. Środkowy ekran kilkakrotnie zamrugał, a następnie oczom zdumionego człowieka ukazała się

mapa gęstej sieci czujników rozlokowanych wokół stacji, wzorem przypominając pajęczynę. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Jeden z najbardziej zewnętrznych czujników zajarzył się na moment czerwonym światłem, a chwilę później rozległ się charakterystyczny sygnał alarmu. Kolejny zadźwięczał minutę później, gdy obwód aktywowany został z przeciwległej strony sieci.

Drugi Strażnik otrząsnął się z osłupienia, w jakie wprowadziło go odkrycie przyczyny alarmu. Z kroplami zimnego potu skrzącymi się na czole, pełen złych przeczuć, uruchomił układ łącznościowy. Wbrew wszelkim regulaminom i zalecanym zasadom bezpieczeństwa wywołał patrolujących towarzyszy na ogólnym kanale radiowym.

– Słucham! – niemal natychmiast zgłosił się dowódca wartowni, który ani trochę nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony daleko odbiegającym od zwyczajowych procedur wezwaniem.

– Co jest? – Trzeci Strażnik był natomiast wyraźnie zdziwiony. Trudno było spodziewać się po nim podobnego, jak u przełożonego, opanowania i profesjonalizmu. Trzeba mu jednak było oddać to, że zgłosił się prawie równie szybko.

– Sugeruję niezwłoczny powrót do wartowni – zakomunikował bez żadnych wstępów mężczyzna z sumiastymi wąsami. – Wskazane jest zachowanie wszelkich możliwych środków ostrożności. – I odczekawszy krótką chwilę, dodał poważnym głosem: – Panowie, tarczaki powróciły do swoich dawnych nor. Jest ich tak dużo, że musiałem wyłączyć dźwięk alarmu, bo nie byłem w stanie nawet myśleć od jego nieustannego pikania. I jeszcze jedno! – Zawiesił na moment głos. – Wszystkowskazuje na to, że aktualnie bestie są większe niż te, które wyniosły się stąd kilka lat temu.

CHODZĄCY WE MGLE

Jego towarzysze w milczeniu trawili usłyszane właśnie niewesołe informacje. Nie było jednak czasu do stracenia, a decyzja o kontynuacji patrolu bądź jego zakończeniu i powrocie do wartowni musiała zostać podjęta jak najszybciej.

– Wracamy! – zarządził dowódca.

– Tak jest! – W głosie Trzeciego Strażnika wyraźnie dało się słyszeć napięcie. Do strachu było jeszcze daleko, ale stało się jasne, że dla najmniej doświadczonego członka załogi będzie to prawdziwy chrzest bojowy. Najbliższa przyszłość miała pokazać, czy przebyte dotąd szkolenia wpoily mu wystarczająco wiele odruchów, by mógł przeżyć czekający go kilkunastokilometrowy marsz.

– Tylko ostrożnie! – dodał Drugi Strażnik, choć zdawał sobie sprawę z tego, że w zaistniałej sytuacji powyższy zwrot brzmiał trochę banalnie. – Szczęśliwego powrotu! – życzył towarzyszom i przerwał połączenie radiowe.

Dwie zielone plamki na monitorze drgnęły i skierowały się w stronę punktu wyjścia, nieznacznie się do niego przybliżając. Marsz z zachowaniem szczególnych środków ostrożności po nieznanym terenie z pewnością wpływał znacząco na wydłużenie czasu zarówno patrolu, jak i powrotu. Nie można było jednak nic na to poradzić. W chwili obecnej podstawowe znaczenie miało tylko jedno – zielone kropki radiolokalizatorów musiały rytmicznie migać i być w ciągłym ruchu. Gdyby któraś z nich się zatrzymała, mogłoby to oznaczać wdepnięcie w norę tarczaka. Bliskie spotkanie z małymi krwiożerczymi potworami z ostrą jak brzytwa tarczą na grzbiecie skończyło się nieciekawie dla dwóch członków poprzedniej załogi. Przeżyli je, co prawda, zostali jednak mocno okaleczeni. Kontakt z dwuczy nawet trzykrotnie większymi bestiami, które aktualnie kręciły się licznie w okolicy wartowni, miałby raczej łatwy do przewidzenia, o wiele smutniejszy finał.

Powracający z przerwane go patrolu towarzysze systematycznie zbliżali się do bezpiecznej kryjówki, jednak najtrudniejszy odcinek był dopiero przed nimi. Drugi Strażnik zmusił się, aby na chwilę oderwać wzrok od monitora i spojrzeć na mapę czujników alarmowych. Prawie wszystkie zapalały się i gasły na przemian w szybkim tempie. Widok przypominał szalony taniec świateł w krzykliwym, rozregulowanym neonie reklamowym. Intensywność czerwieni zmuszała do zmrużenia oczu, wyciskając spod i tak już piekących powiek łyzy. Buszujące na zewnątrz budynku stado tarczaków było bardzo liczne.

– Niedobrze! – mruknął Drugi Strażnik, wracając do obserwacji poprzednich ekranów. Jedna zielona kropka tkwiła nieruchomo. – Trzeci! – wrzasnął na otwartym kanale radiowym, czując, jak włos jeży mu się na głowie. – Melduj! Co się dzieje?

Odpowiedziała mu przerażająca cisza.

Zerwał się z miejsca i jak szalony pognął do pokoju przygotowań. Regulamin sugerował w takich sytuacjach zachowanie spokoju i niepodejmowanie pochopnych decyzji.

– Kurwa! – warknął, zakładając w pośpiechu maskujący płaszcz i gogle. Ze stojaka w kącie porwał broń i na wszelki wypadek zaopatrzył się w dwa dodatkowe ogniwa energetyczne. Ledwie szczerknęły magnetyczne zasuwki i uchyliły się ciężkie drzwi, wypadł z wartowni jak burza. W biegu uaktywnił na pełną moc wszystkie systemy skanujące bezpośrednie otoczenie. Nie mógł pozwolić sobie na brawurę. Ktoś w końcu musiał przeżyć akcję ratunkową. Z bronią gotową w każdej chwili do strzału biegł w kierunku miejsca, w którym zatrzymał się Trzeci Strażnik. Jego oczy pilnie śledziły parametry wyświetlane na wewnętrznej powierzchni gogli, oddech stopniowo przyspieszał, a ciężko obute stopy bezlitośnie miażdżyły stojące na drodze kępy wrzosów.

Drugi Strażnik nie był dziś chodzącym we mgle. Redukując środki bezpieczeństwa do niezbędnego minimum, zmienił się w biegnącego we mgle.

4.

To była droga przez koszmar rodem z najgłębszych czeluści piekła. Biegł z duszą na ramieniu, modląc się o to, aby ciężkie buty znalazły przy następnym kroku solidne podparcie. Gdyby wpadł w norę tarczaków, jego szanse na przeżycie w jednej chwili spadłyby do niemal całkowitego zera. Przerażających mieszkańców Haasgardu widział dotąd jedynie na filmach szkoleniowych oraz w muzealnych gablotach Gildii Strażników w postaci spreparowanych, wątpliwej wartości trofeów myśliwskich. Miał też okazję spotkać się z ich ofiarami, choć nie były one skłonne do barwnych opisów swych traumatycznych przeżyć. Więcej o okolicznościach ich nieszczęśliwych wypadków dowiedział się z lektury dziennika patroli. Wszystko powyższe składało się na dość jednoznaczny osąd – tarczaki jawiły się jako niezwykle brutalny, krwiożerczy i bezlitosny wybryk matki natury. Mordercze instynkty podziemnych stworzeń wydawały się nie do zaspokojenia, a czas niepoświęcony na zabijanie przeznaczony był przez nie na wściekłe parzenie się i powiększanie stad. Wszystko, czego dowiedział się o tych potworach, okazało się ogólnie odpychające, dotyczyło jednak osobników przynajmniej dwukrotnie mniejszych od tych, które aktualnie panoszyły się wokół wartowni. Poza tym nowe, większe bestie w niewytłumaczalny sposób uodporniły się na światło bladego słońca. Na krótko, co prawda, ale jednak

opuszczały podziemne kryjówki i wychodziły na powierzchnię. Wolał nie zastanawiać się, do czego jeszcze były zdolne.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami poczuł nieprzyjemne ciarki przebiegające wzdłuż kręgosłupa, gdy ujrzał w dziennym świetle pierwszego osobnika. Znad dywanu mgły wyłonił się najpierw przerażający grzbiet i zaśniły ostre jak brzytwa rogowe twory, które kształtem przypominały zęby piły. Potem na krótko ponad białą zasłonę wychynęła mała, w porównaniu z resztą, głowa. Jego wzrok na ułamek sekundy skrzyżował się z wyłupiastymi, pałającymi bezdennym okrucieństwem oczami potwora. Drugi Strażnik potrzebował kilku głębokich oddechów, żeby dojść do siebie po tym nieoczekiwanym spotkaniu. Upłynęło parę nieznośnie długich sekund, zanim uciszył brzęczący coraz bardziej natarczywie sygnał alarmu. W jednej chwili widział tarczaka, w drugiej zwierzę zapadło się pod ziemię.

Nie miał najmniejszej ochoty iść dalej, mimo wszystko nie potrafił też zawrócić. Gdzieś przed nim czekał na pomoc ranny towarzysz. Być może Trzeci Strażnik nie żył i było już za późno na jakikolwiek ratunek. Jednak nie wiedział tego na pewno, nie mógł więc zrezygnować z udzielenia mu ewentualnej pomocy. Nawet jeżeli wiązać by się to miało ze skróceniem jego cierpień. Wznowił ostrożny bieg, wciąż bacznie obserwując parametry skanerów. Do miejsca zatrzymania się i ewentualnej śmierci Trzeciego Strażnika było jeszcze daleko.

Przyspieszył, odbezpieczając jednocześnie broń. Stwierdził, że skoro raz już widział przeciwnika, za drugim razem nie będzie tracił czasu na przyglądanie się mu. Z mocnym postanowieniem, że w tym układzie sił tylko on może być myśliwym, oparł lekko palec na spuście laserowego promiennika. Przez następne kilkaset metrów biegł w miarę szybko, marząc, aby móc w tym tempie kontynuować bieg aż do samego końca.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że ma zbyt wygórowane wymagania i że to akurat marzenie, choć piękne, nie ma realnych szans na spełnienie. Gdzieś w głębi duszy przeczuwał, że moment kolejnej konfrontacji zbliża się wielkimi krokami. Wiedział też, że przy następnym spotkaniu z naturalnymi przedstawicielami fauny Haasgardu nie obejdzie się bez rozlewu krwi. I nie pomylił się w swych pesymistycznych przewidywaniach.

Zabrzęczał alarm i na wyświetlaczu na wewnętrznej stronie gogli pojawiła się krótka informacja o identyfikacji zagrożenia z prawej strony. Mężczyzna z sumiastymi wąsami nawet nie zwolnił kroku. Skręcił lufę broni we właściwym kierunku, przestawił przełącznik na ogień ciągły i bez zbędnego wahania nacisnął spust. Czerwone promienie poszatkowały mgłę, jakby to właśnie ona była groźnym przeciwnikiem. Laserowe smugi wniknęły w jej głąb bez najmniejszych trudności. Drugi Strażnik odniósł wrażenie, że coś zakwiczało. Było to mało prawdopodobne, gdyż według wszelkich danych tarczaki nie posiadały rozwiniętej głośni. Krwiożercze bestie były z natury nieme. Tamte, zbadane wiele lat temu, z pewnością. A te nowe, większe? Cholera wie!

Nie miał czasu na sprawdzenie skuteczności ostrzału. Poza tym nie bardzo miał ochotę oglądać jego efekty. Zresztą co by mu to dało? Jeżeli zabił, to dobrze. Jeżeli ranił, to też dobrze. Jeśli natomiast nie trafił – trudno! Alarm w każdym razie przestał brzęczeć, co równało się z tym, że niedawne zagrożenie znikło. Tylko to się teraz liczyło. Biegł dalej, czując, jak pot zaczyna spływać mu po plecach.

Pokonał następnych kilkaset metrów, strzelając jeszcze dwukrotnie. Mając wciąż przed oczami obraz tarczaka, który na krótką chwilę wyłonił się z mgły, żywił gorącą nadzieję, że jest dobrym strzelcem. Cel nie był mały, ale trafienie go w peł-

nym biegu po nieznanym terenie, kiedy dosłownie wszystko pozostawało spowite gęstą mgłą, nie należało do najłatwiejszych zadań nawet dla wytrawnego snajpera.

Przebiegł połowę dystansu, w miarę regularnie kierując broń w różne strony i naciskając spust. W duchu modlił się gorąco o to, żeby morderczych potworów nie przybywało na jego drodze, gdyż z niepokojem zauważył, że stan ogniwa energetycznego laserowego promiennika spadł blisko wartości zerowej. Miał, co prawda, dwa zapasowe, ale na razie dotarł zaledwie do połowy drogi. Poza tym stał jeszcze przed perspektywą równie niebezpiecznego i z pewnością wolniejszego powrotu. Żałował, że nie zabrał ze sobą więcej ogniw energetycznych, ale w tej sytuacji był to jedynie płacz nad rozlanym mlekiem. Aż tak niekorzystnego rozwoju wydarzeń nie mógł w końcu przewidzieć.

Po półgodzinie biegu był potwornie zmęczony. Nie wykonał żadnego ekstremalnego wysiłku i w normalnych warunkach nie miałby problemów kondycyjnych. Haasgard pod żadnym względem nie zasługiwał jednak na miano normalnej planety. Ciągłe poczucie realnego zagrożenia, niepewność każdego kroku i narastająca z upływającymi minutami obawa o losy towarzysza skutecznie nadwątlily jego siły. Musiał zwolnić, choć bardzo tego nie chciał. Rzucił krótkie spojrzenie na wyświetlacz i położenie radiolokalizatorów.

„Już blisko!” – ponaglił sam siebie. – „Jeszcze tylko kawałek!”.

Po czterdziestu pięciu minutach od opuszczenia wartowni dotarł wreszcie na miejsce. Okolica nie wyróżniała się niczym specjalnym. Spowijający powierzchnię ziemi jednolity całun gęstej mgły skutecznie ujedynolcał krajobraz. Gdyby nie radiolokalizator, nigdy nie odnalazłby swego towarzysza. Ostatnie dzielące go od niego metry przeszedł ostrożnie, mocno pochy-

lony, prawie po omacku. Trzeci Strażnik żył. Krwiożercze potwory z tarczą na grzbiecie pozbawiły go nogi w połowie podudzia. Zanim stracił przytomność, zdążył założyć sobie opaskę uciskową, co najprawdopodobniej uratowało go od śmierci. Stopa z dolną częścią goleni wystawała z dziury z ziemi. Była ogryziona do kości. Wszędzie wokół rozlane było mnóstwo przyprawiającej o ciarki ciemnej, zakrzepłej już krwi.

Drugi dostrzegł to wszystko jedynie dzięki nałożeniu na siebie odczytów skanerów powierzchni i podczerwieni. Hybrydowy obraz był nieostry, a jego jakość pozostawiała dużo do życzenia, lecz pozwolił w miarę dokładnie zorientować się w naturze sytuacji. Znaczna utrata krwi i zapewne niewyobrażalny ból pozbawiły ostatecznie przytomności Trzeciego Strażnika. Najważniejsze jednak było to, że nadal oddychał, a jego serce wciąż biło, choć słabo i ledwo wyczuwalnie.

Właściciel sumiastych wąsów niezwłocznie przystąpił do akcji. Zdjął prowizoryczną opaskę uciskową i zastąpił ją opatrunkiem pneumatycznym. Nie siląc się zbyt na delikatność, zerwał i tak już mocno podarty płaszcz maskujący i rozpiął bluzę munduru na piersi rannego. Do gołej skóry dokleił automeda na wysokości serca i uruchomił go. Precyzyjne urządzenie zapuściło w głąb ciała cienkie igły, zassało nimi krew i zaczęło charakterystycznie buczeć. W drugą stronę do krwiobiegu popłynęły środki przeciwbólowe i inne medykamenty. Drugi Strażnik nie wnikał jakiego. Nie był lekarzem i kompletnie się na tym nie znał. W tej chwili liczyło się dla niego to, że choć w polowych i daleko odbiegających od normalnych warunkach, jego okaleczony towarzysz uzyskał pomoc medyczną. I to pomoc najlepszą, na jaką kiedykolwiek mógłby liczyć w powyższych okolicznościach. Jeżeli buczący cicho automed nie wystarczy do uratowania jego życia, niczego innego

nie będzie w stanie zrobić. Najeżony elektroniką niepozorny sprzęt stanowił jedyną i tym samym ostatnią deskę ratunku.

Na chwilę obecną Drugi zrobił wszystko, co mógł. Pozostawanie w tym miejscu dłużej, niż to niezbędne, było kuszeniem losu. Nie wahał się więc ani sekundy. Bez większych ceregieli zarzucił ранnego towarzysza na plecy. Ugiął się nieznacznie pod ciężarem bezwładnego ciała i ciężko westchnął na myśl o tym, jak długa jest droga powrotna do wartowni. Nie zwykł jednak rozklejać się z powodu przeciwności losu. Ruszył z powrotem, ostrożnie stawiając każdy krok.

Tym razem nie musiał się aż tak szaleńczo spieszyć, jednak ze zrozumiałych względów nie mógł to też być rekreacyjny spacer. Marsz okazał się mozolny i uciążliwy. Mdały mu ramiona i kilkakrotnie musiał przystawać, żeby odpocząć. Podtrzymywanie jedną ręką przewieszzonego przez bark, nieprzytomnego ciała i ostrzeliwanie się bronią trzymaną w drugiej nie było łatwe. W duchu gratulował sobie pomysłu, żeby wziąć ze sobą jeszcze jedno ogniwo energetyczne z promienika ранnego towarzysza. Pierwsze dwa zabrane z wartowni wyczerpały się już dawno temu, a trzecie coraz częściej migało na żółto, sygnalizując możliwość oddania jeszcze tylko dziesięciu strzałów. Był dopiero w połowie drogi powrotnej, więc z pewnością znajdzie niejedną okazję, aby wykorzystać dodatkowy zapas. Do przeładowania broni zmuszony został zaledwie dwieście metrów dalej. Był cholernie zmęczony. Nogi drżały mu z wysiłku, napięte do granic wytrzymałości mięśnie ramion paliły żywym ogniem. Plecy zaś wściekłym bólem protestowały przeciwko nadmiernemu przeciążeniu. Spojrzał na ziemistoszarą twarz nieprzytomnego i ciężko westchnął:

– Damy radę, stary! Żywcem nas nie wezmą! – sapnął, z trudem łapiąc oddech. – Jeszcze tylko kawałek!

Dobrnął do wartowni ostatkiem sił. Tuż za jej progiem zwałił się na kolana, przygnieciony dźwiganym ciałem kolegi. Z trudem łapał powietrze, bolało go dosłownie wszystko. Jednak nie mógł jeszcze pozwolić sobie na odpoczynek. Wygramolił się spod nieprzytomnego towarzysza i bezceremonialnie złapał go za kołnierz munduru. Nie miał siły, by go podnieść, więc tylko zaciągnął do pokoju medycznego. Wewnątrz przestronnego, lśniącego nieskazitelną bielą pomieszczenia stały zbiorniki wypełnione płynem odżywczym. Podciągnął Trzeciego Strażnika ku najbliższemu z nich i bez zbędnych grzeczności przerzucił go przez obłą krawędź. Następnie zanurzył obie dłonie w ciepłym płynie i zdjął pneumatyczny opatrunek z kikuta odciętej kończyny.

– Jeszcze mi kiedyś podziękujesz za tę kąpiel! – mruknął do nieprzytomnego i poczłapał do głównego pomieszczenia wartowni. Był ledwo żywy ze zmęczenia. Najchętniej sam wszedłby do jednego z pozostałych zbiorników i zanurzyłby się w odżywczym płynie. Dotychczas tylko raz w życiu miał okazję skorzystać z tego dobrodziejstwa medycyny. Było to dość dawno temu, jednak nawet spory upływ czasu nie zdołał wymazać z pamięci niezwykłych wrażeń, jakie temu towarzyszyły.

„Może później...” – pomyślał. Na razie miał obowiązki do wykonania, a pierwszym z nich było zdanie raportu z przebiegu zakończonej dopiero co akcji ratowniczej. Istniał tylko jeden problem. Aby zdać jakikolwiek raport, konieczna była obecność przełożonego. Pierwszego Strażnika nie zastał jednak w centrum dowodzenia. Mężczyzna z sumiastymi wąsami był święcie przekonany, że dowódca dawno zdążył dotrzeć do bezpiecznego schronienia. Zakładał, że wieloletnie doświadczenie nabyte podczas służby w różnych miejscach uchroni go od ewentualnego wypadku. Najwyraźniej jednak tak się nie

CHODZĄCY WE MGLE

stało. Pełen złych przeczuć spojrzął na ekran, aby ustalić położenie zielonej kropki radiolokalizatora.

– A niech to szlag jasny trafi! – westchnął ciężko.

Mała plamka pulsowała rytmicznie w odległości zaledwie jednego kilometra od wartowni.

– A był już tak blisko!

Usiadł na fotelu i potarł piekące oczy. Ciężącą głowę oparł o przyjemnie chłodny zagłówek. Ten przypadkowy ruch spowodował, że jego wzrok ponownie spoczął na umieszczonych w szerokim rzędzie monitorach. Ku olbrzymiemu zaskoczeniu obserwatora zielona plamka drgnęła i przybliżyła się nieco. Jej odległość do wartowni zmniejszyła się do ośmiuset metrów, a to mogło oznaczać tylko jedno – dowódca żył.

Niezwykłe odkrycie spowodowało ponowny wyrzut adrenaliny w ciele Drugiego Strażnika. Po raz drugi tego dnia zerwał się jak oparzony i bez zastanowienia pobiegł ku wyjściu. Po drodze złapał promiennik laserowy. Mimo że droga, którą miał tym razem przebyć, była zdecydowanie krótsza, porwał ze sobą aż cztery zapasowe ogniwa energetyczne. Na wszelki wypadek. Wybiegł na zewnątrz i ruszył w kierunku Pierwszego Strażnika, strzelając po drodze do wszystkiego, co tylko choć trochę wydało mu się podejrzane. Zakładał, że skoro jego przełożony przemieszczał się, to był przytomny. Opcji takiej, że nie żył i że jego ciało ciągnięte było przez tarczaka lub tarczaki w kierunku wartowni, w ogóle nie brał pod uwagę. Jak się chwilę później okazało, powyższe założenia były całkowicie słuszne.

Bez trudu nawiązał łączność radiową i szybko zlokalizował dowódcę, który szczęśliwie nie miał bliskiego kontaktu z przerażającymi mieszkańcami Haasgardu i zachował wszystkie kończyny na właściwych miejscach. Na tym jednak jego szczęście się skończyło. Podczas pospiesznego powrotu do

wartowni intensywnie analizował nowe wydarzenia, które nastąpiły bezpośrednio po zakończeniu wielodniowego huraganu. Próbował znaleźć dla nich racjonalne wyjaśnienie, a to spowodowało częściową utratę koncentracji. Nieopatrznie postawił stopę na zmurszałej skale, która pękła pod jego ciężarem. Spadł z niej tak niefortunnie, że złamał nogę. Mimo usilnych prób i zaciskania zębów z bólu okazało się, że nie mógł iść. Jedynym więc wyjściem z zaistniałej sytuacji było czołganienie się.

Ten sposób poruszania połączony z regularnym ostrzałem, który odstraszał atakujące bestie, był nie lada sztuką, ale i tak ustępował temu, czego dokonał Drugi Strażnik, ratując najmłodszego członka załogi. Pierwszy nie chełpił się więc zbyt swym osiągnięciem. Nie ukrywał też, że gdyby droga powrotna była dłuższa, z pewnością poddałby się i czekał na ewentualny ratunek lub koniec w miejscu, w którym ostatecznie zabrakłoby mu sił. Wspierając się na ramieniu towarzysza, dokuśtykał wreszcie do wartowni. Po chwili niezbędnej na rozebanie się poszedł w ślady o wiele poważniej uszkodzonego kolegi i zanurzył się w zbiorniku z płynem odżywczym.

Drugi Strażnik przez około kwadrans siedział jeszcze w głównym pomieszczeniu, gapiąc się tępo w monitory. Nie potrafił jednak skupić uwagi na żadnym z nich. Potworne zmęczenie, które go wreszcie dopadło, sprawiło, że ciężkie powieki zamykały się same. Z ostrym bólem pleców wstał z fotela i poczłapał w stronę pokoju medycznego.

– A co tam! – Wzruszył ramionami, zdejmując powoli mundur. – Mnie też się należy!

Po chwili unosił się w cudownie delikatnej, relaksującej cieczy, śpiąc w najlepsze. Problemy związane z niezwykłym rozwojem wypadków na Haasgardzie musiały chwilowo zaczekać. Z pewnością były brzemiennie w skutki i powodowały

istotne modyfikacje w schemacie dotychczasowej służby, mimo to schodziły na plan dalszy. Trzech Strażników unosiło się w specyficznej cieczy, która wypełniała przypominające wanny zbiorniki. Przez jakiś czas byli całkowicie obojętni wobec otaczającego ich nieprzyjaznego świata. Aby się z nim ponownie zmierzyć, musieli najpierw powrócić do zdrowia i zregenerować mocno nadwątlone siły. Tę rundę wygrała złowroga planeta. To nie był jednak knock-out, pojedynek jeszcze się nie skończył.

5.

Dyżurny w Centrum Łączności Gildii Strażników spał w najlepsze. Monotonny szum kilkunastu serwerów usypiał, a biorąc pod uwagę fakt, że nie działo się absolutnie nic, pełniący służbę mężczyzna zamiast czuwać, zwyczajnie się zdrzemnął. W pewnym momencie przestał po prostu zmagać się z ciężarem powiek, które ostatecznie opadły i nie podniosły się więcej. Drobną w założeniu drzemka przerodziła się w coś głębszego. W Centrum Łączności rozległo się chrapanie, a jego sprawca pół leżał, pół siedział rozparty w fotelu operatora. W pewnej chwili z jednego z podłokietników zsunęła się ręka i pozbawiona oparcia zakołysała się bezwładnie z boku, jednak nawet to go nie obudziło. Liczne ekrany jarzyły się spokojnym niebieskawym światłem. Ustawione w kilku rzędach zajmowały większą część ściany na wprost wejścia do Centrum. Dwa z nich były czarne, nieaktywne. Jeszcze do niedawna czujnie śledziły przekazy z Valcona i Hyrii. W zeszłym miesiącu Gildia Strażników opuściła jednak oba światy. Wygasły pięcioletnie kontrakty, a kompanie przemysłowe, będące prawnymi wła-

ścicielami znajdujących się na obrzeżu galaktyki planet, nie wykazały zainteresowania ich przedłużeniem. Cech wycofał się więc z wartowni, pozostawiając pozbawione sprzętu, puste budynki jako nieme świadectwo swego pobytu. W Centrum Łączności na Cerberze, macierzystej planecie Gildii, w szeptanych na korytarzach plotkach coraz częściej powtarzały się informacje o zakończeniu negocjacji i podpisywaniu nowych lukratywnych kontraktów. Wielce prawdopodobne było więc, że w najbliższym czasie dwa czarne ekrany ożyją ponownie i zaczną śledzić kanały radiowe w nowych światach.

Śpiący smacznie dyżurny chrapnął nieco głośniejszym niż dotychczas, mlasnął bezwiednie i przekręcił głowę w bok. Nie obudził się jednak i w dalszym ciągu wykazywał karygodny stosunek do służbowych obowiązków. W gruncie rzeczy mógł pozwolić sobie na taką niefrasobliwość. Prawie nigdy nic złego się nie działo i nieraz już w podobnych okolicznościach odsypiał wszelkie zaległości. Dzięki zażyłej znajomości z Głównym Informatykiem Gildii dysponował napisanym specjalnie dla niego programem alarmowym. Wprowadzał go do systemu na początku służby i potem mógł robić wszystko, co tylko mu się żywnie podobało, ze spaniem włącznie. Prosta aplikacja czuwała bowiem za niego. W razie pojawienia się niestandardowej transmisji, w przypadku szczególnego wzrostu aktywności radiowej na którejś ze strzeżonych planet, wezwania na pomoc i jeszcze w kilku innych sytuacjach uruchamiał się alarm. Program był użyteczny tym bardziej, że od razu zmieniał kolory wyświetlania odpowiedniego ekranu. Dzięki temu wyróżniał się z otoczenia i pozwalał na szybkie zorientowanie się w lokalizacji problemu. Po wszystkim zaś wystarczyło odinstalować aplikację i schować nośnik do kieszeni.

Główny Informatyk Gildii był nieoceniony zarówno w pracy zawodowej, jak i w sferze łóżkowej. Dyżurny niejednokrotnie

podczas spokojnych nocnych służb marzył o swoim przystojnym, piastującym wysokie stanowisko kochanku. Wymyślał wówczas najróżniejsze sposoby na to, aby go osiąść, oraz sytuacje, w których z kolei on byłby posiadany. To były szczególnie przyjemne godziny spędzone w Centrum Łączności, a wiele pomysłów, które naszły go w powyższych okolicznościach, zostało później wcielonych w życie.

Na jednym z monitorów pojawiło się niespodziewanie kilka rzędów liter i cyfr. Przez chwilę pulsowały rytmicznie w całkowitej ciszy, a następnie na ich miejscu pojawiła się mapa systemu gwiazdowego. Jedna z jego planet zaznaczona była innym kolorem niż pozostałe. Dobrych parę minut nic poza tym się nie działo. W końcu jednak uaktywnił się program czuwający za człowiekiem. Rozległ się przenikliwy, głośny sygnał alarmu, który wyrwał dyżurnego z objęć erotycznego snu.

Wystraszony nagłym hałasem mężczyzna ze zdziwieniem omiótł wzrokiem zestaw monitorów. Na jego oczach jeden z nich zmienił barwę wyświetlania z niebieskiej na czerwoną. Jarzył się teraz ostrym, rażącym blaskiem, zdecydowanie wyróżniając z otoczenia. Dyżurny rozbudził się całkowicie. Wyłączył fonię i odruchowo odinstalował program, który dotąd czuwał za nim. Wolał nie przyznawać się nikomu do tego, że dysponuje tego typu ułatwieniami, a tym bardziej nie chciał narazić się na pytania o źródło, z którego je uzyskał. Służba służbą, ale gorący romans z Głównym Informatykiem Gildii musiał pozostać w tajemnicy. Dopiero po usunięciu z systemu nośnika z aplikacją skupił się ponownie na krwistoczerwonym monitorze.

Według wyświetlanych danych aktywność radiowa na planecie Haasgard obecnie pięciokrotnie przewyższała standardowy poziom. Niewątpliwie coś się tam działo. Na chybił trafił wyizolował z ogólnego pasma kilka transmisji nadawa-

nych przez różne wartownie. Następnie rozkodował sygnał i odfiltrował szумы. W odsłuchanych komunikatach roiło się od pytań zadawanych na temat tarczaków. Skąd się wzięły? Dlaczego były takie wielkie? Dlaczego nie bały się dziennego światła? To były najczęstsze z nich. Przewijały się w różnych kombinacjach w co drugiej transmisji i wszystko wskazywało na to, że nikt na miejscu nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Dyżurny również nie. Wzruszył ramionami. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim lub czym są tarczaki. Dzikie ptaki? Gady? Owady? A może to banda zwyrodnialców napadająca na spokojnych obywateli z antycznymi piłami tarczowymi używanymi jako broń? W zasadzie było mu wszystko jedno. Fakt, że ktoś lub coś zagraża Strażnikom na nie wiadomo jak odległej, zapomnianej przez wszystkich planecie, gównu go tak naprawdę obchodził. W końcu przecież nikt nie obiecywał, że praca Strażnika będzie lekka i przyjemna. Członkowie Gildii doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że realizacja pięcioletnich kontraktów niesie za sobą różnorakie ryzyko, z utratą życia włącznie. Skoro jednak zdecydowali się zarabiać na chleb w taki właśnie sposób, niech zarabiają. Zaatakowały ich tarczaki? Niech więc odeprą atak!

Powyższa zasada była prosta i gdyby treść przechwyconych wybiórczo komunikatów dotyczyła wyłącznie wyraźnego, choć nie do końca sprecyzowanego zagrożenia, dyżurny z Centrum Łączności machnąłby na cały incydent ręką. Odnotowałby fakt zwiększenia transmisji radiowych na Haasgardzie w dzienniku raportów i powróciłby do raptownie przerwanej drzemki. Była jednak druga część komunikatów radiowych z Haasgardu. Ich złowrogi wydźwięk nie pozwalał potraktować sprawy z lekceważeniem. Chodziło bowiem o straty w ludziach. Wiadomo było nie od dziś, że podczas służby, przy pracy z bronią, w dodatku w niebezpiecznych miejscach, zdarzają

się różne nieszczęśliwe wypadki. Oprócz mniej lub bardziej poważnych zranień i okaleczeń stwierdzano także przypadki śmierci Strażników. To ryzyko od zawsze wkalkulowane było w wykonywany zawód. Wszystko jednak mieściło się w ściśle określonym przedziale liczbowym. Na Haasgardzie, w ciągu zaledwie jednego dnia, w trudnych do wyjaśnienia okolicznościach zginęła prawie jedna trzecia pracowników Gildii. To z pewnością odbiegało od statystycznych norm i dyżurny z Centrum Łączności nie mógł zbagatelizować dokonanego dopiero co odkrycia.

Pospiesznie zredagował krótką notatkę służbową o ogólnej naturze problemu, poparł ją szacunkowymi danymi odnośnie do strat w ludziach i dołączył koordynaty przestrzenne planety, której dotyczył problem. Spojrzał na zegarek. Minęła druga czterdzieści w nocy. Zdawał sobie sprawę, że to była kiepska pora na budzenie przełożonych. Z pamięci podręcznego komunikatora wywołał listę dyżurów przypadających na aktualny tydzień i odszukał właściwą datę. Po chwili na jego twarzy zagościł złośliwy uśmiech. Dzisiejszej nocy dyżurował szczególnie chamski i wredny oficer. Dyżurny nie cierpiał reprezentowanej przez niego skrajnej homofobii. Od dawna miał po dziurki w nosie licznych obraźliwych uwag, które miał okazję usłyszeć od przełożonego pod własnym adresem.

„A dobrze ci tak, grubasie!” – przemknęło mu przez głowę. Z wyraźnym uśmiechem triumfu i satysfakcją w każdym wykonywanym ruchu, nadał wiadomości wszelkie możliwe priorytety. Dzięki temu zyskał pewność, że nielubiany oficer zmuszony zostanie do odczytania służbowej notatki bez względu na to, czego by akurat nie robił.

– Mam nadzieję, że przerwę ci głęboki słodki sen, tłusta świnko! – mruknął zadowolony z siebie i wysłał wiadomość. Do końca nocnej służby śledził wzmożoną aktywność radiową,

która miała miejsce na Haasgardzie, jednak z wyłapywanych wybiórczo transmisji nie dowiedział się niczego nowego. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie wpisać nazwy planety do bazy danych Gildii i nie dowiedzieć się czegoś konkretnego o tajemniczym świecie gdzieś z obrzeży Drogi Mlecznej. Doszedł jednak do wniosku, że nie będzie zaśmiecał sobie głowy nieprzydatnymi do niczego informacjami, i ostatecznie nie zrobił tego. Aż tak bardzo mu się nie nudziło.

6.

Inwazję olbrzymich tarczaków potwierdziło kilka sąsiednich wartowni. W ich bezpośredniej okolicy również zaobserwowano pojawienie się nie do końca już podziemnych, agresywnych stworzeń. Liczne wiadomości przekazywane drogą radiową i elektroniczną naszpikowane były mnóstwem pytań. Najczęstsze z nich dotyczyły tego, skąd wzięły się krwiożercze bestie, co spowodowało, że są tak duże, i z jakiego powodu wychodzą na powierzchnię. Mimo wymienianych na szybko obserwacji i opinii nikt nie potrafił udzielić rozsądnej odpowiedzi. Gubiono się w domysłach, snuto mniej lub bardziej prawdopodobne teorie, jednak żadna z nich nie została ogólnie zaakceptowana. Część załóg bardzo dotkliwie przekonała się o nieprzyjemnym charakterze naturalnych mieszkańców Haasgardu. Najbardziej smutne okazało się zaś to, że nie obyło się bez ofiar śmiertelnych.

Drugi Strażnik opuścił pomieszczenie medyczne po dwunastu godzinach snu w płynie odżywczym. Czuł się znakomicie, jakby wyczerpujące misje ratunkowe w ogóle nie miały miejsca. Nie odczuwał już bólu pleców i ramion, a parę zlokaliz-

zowanych w różnych miejscach zadrapań, otarć naskórka i siniaków znikło bez śladu. Nie zwlekając, przyłączył się do ogólnej dyskusji o tarczakach i uzupełnił ją w kilku momentach o własne spostrzeżenia.

Dowódca wartowni wyszedł ze zbiornika regeneracyjnego po siedemdziesięciu dwóch godzinach. Złamana noga była już zrosnięta. Z powodzeniem mógł oprzeć na niej ciężar ciała, choć nie odbywało się to całkowicie bez bólu. Uleczona kończyna musiała być oszczędzana jeszcze przez okres przynajmniej dwóch najbliższych miesięcy.

Pierwszy Strażnik zapoznał się z całością sytuacji, która podczas jego nieobecności dalej rozwijała się w niekorzystnym kierunku. Olbrzymie, niebojące się światła słonecznego tarczaki stały się niekwestionowanymi nowymi władcami planety. Patrole ustały praktycznie całkowicie. Te pojedyncze, których się podjęto, zostały błyskawicznie przerwane i zakończone. Nieliczni śmiałkowie zmuszeni byli do poniesienia działań po bezpośrednich konfrontacjach stopy, ręki lub innej części ciała z ostrymi jak brzytwa grzbietami bezlitosnych bestii.

Przez chwilę rozważano opcję wysyłania w teren patroli dwuosobowych, ale powyższy pomysł został szybko odrzucony z przyczyn technicznych. Zdecydowana większość wartowni dała się zaskoczyć tym, że tarczaki powróciły. Po okresie spokojnej, bezpiecznej stagnacji ich niespodziewany i gwałtowny atak okazał się dla Strażników bolesny i niezwykle kosztowny. Tylko pojedyncze załogi przetrwały bez szwanku. W przeważającej części przynajmniej jeden z członków został okaleczony, często poszkodowanych było aż dwóch.

Propozycja opuszczenia wartowni w sytuacji, gdy nikt nie kontroluje urządzeń pomiarowych i nie śledzi wskazań czujników meteorologicznych, równoznaczna była ze zwiększeniem i tak już dotkliwych strat. Dwie osoby patrolujące wspólnie ten

sam teren byłyby bezpieczniejsze w obliczu zagrożenia ze strony bestii z morderczą tarczą na grzbiecie. To była niewątpliwie duża zaleta pomysłu. Na nic jednak zdałaby się w sytuacji, gdy wychodzący zwycięsko ze starć z tarczakami podwójny patrol zostałby zaskoczony przez szybko powstający i przybierający na sile huragan. Nie było nikogo, kto mógłby go przed nim ostrzec. Pograżony w regeneracyjnej wannie, półprzytomny, okaleczony towarzysz nie wchodził przecież w rachubę. Wobec takiego obrotu sprawy patrol praktycznie zanikł, a ilość uzyskanych dzięki nim danych drastycznie zmalała. Haasgard nadal był strzeżony, choć od czasu niewytłumaczalnej inwazji tarczaków tylko w teorii.

Gildia Strażników wypełniała jednak swoje obowiązki do samego końca. Nikt nawet nie myślał o porzuceniu służby i ucieczce z nieprzyjaznej planety. Być może takie zamysły pojawiły się w głowach kilku osób, jednak żadna z nich nie zdecydowała się na oficjalną ich werbalizację. Górę znów wzięło doświadczenie zawodowe i lata odpowiednich szkoleń. Rekordowo długi huragan i wydarzenia dziejące się bezpośrednio po nim bezsprzecznie zasługiwały na miano co najmniej kryzysowych. Załogi wartowni były jednak przygotowane do radzenia sobie w ekstremalnych warunkach, a wielu spośród Strażników służyło w przeszłości w miejscach znacznie gorszych niż Haasgard. Zaskakująco szybko niecodzienna sytuacja zaczęła zwyczajnie powszednieć.

Pojedyncze osoby wychodzące na rzadkie patrole były szczególnie ostrożne i uzbrojone ponad standardową konieczność. Jak się później okazało, wzięte ze sobą dodatkowe ogniwa energetyczne uratowały niejedno ludzkie życie. Grafiki służb został mocno zmodyfikowany, ale liczył się efekt końcowy. Gildia Strażników przeżyła na Haasgardzie poważny kryzys, jednak śmierć części jej członków i okaleczenie kolejnej grupy

nie zakłóciły ostatecznie w skali globalnej wykonywanego zadania. Żaden z intensywnie patrolowanych dotąd obszarów nie został całkowicie pozbawiony kontroli.

Zawsze jednak znajdzie się ktoś, kto odbiegnie od ogólnie przyjętych norm i wbrew całemu otoczeniu nie będzie chciał wpasować się w sztywne ramy ustalonych schematów. Problemy Gildii w skali makro gówno obchodziły jednego z jej pracowników. Mężczyzna z sumiastymi wąsami miał w nosie szerzoną propagandę oraz słowa uznania i otuchy płynące przez kosmiczną przestrzeń z głównej siedziby cechu. Odnajdywał w nich jedynie puste, wyświechtane, pozbawione jakiegokolwiek bagażu emocjonalnego i nic nieznaczące frazesy. Co w końcu może wiedzieć o tej cholernej planecie jakiś urzędnik spędzający trzy czwarte życia na moszczeniu dupska w wygodnym fotelu za firmowym biurkiem? Co upoważniało go do przesyłania pełnych nieszczerzego smutku kondolencji rodzinom zmarłych i okaleczonych oraz wyrazów współczucia towarzyszom z wartowni? Absolutnie nic! Nikt, kto nie postawił stopy na Haasgardzie, nie zobaczył jego bladego słońca i gęstych mgieł, nie poczuł na własnej skórze siły jego wiatru oraz nie stanął oko w oko z żywym tarczakiem, nie miał prawa wymądrzać się w tej kwestii. Niestety wielu pracowników pionu administracyjnego Gildii tak właśnie robiło, zwiększając w ten sposób frustrację Drugiego Strażnika. Najgorsze zaś było to, że załogi rozlokowanych na Haasgardzie wartowni nie mogły liczyć na wzmocnienia. Do końca ich pięcioletniego kontraktu zostało zbyt mało czasu, aby uzasadniało to wysłanie uzupełnień personalnych. Nieprzyjemna, złowroga planeta miała cholernie duży minus na swoim koncie – leżała na peryferiach ludzkiej cywilizacji i w jej pobliżu nie przebiegały żadne regularnie uczęszczane szlaki komunikacyjne. Dotyczyło to zarówno tras pasażerskich, transportowych, jak i wojskowych.

„Po prostu jedno wielkie zadupie! – pomyślał mężczyzna z sumiastymi wąsami. – W dodatku wcale nie takie cenne, jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać”. Członkowie Gildii musieli więc poradzić sobie z narzuconymi w kontrakcie zadaniami w okrojonym i mocno osłabionym składzie. Sytuacja daleka była od normalnej, lecz narzekanie na nią i tak niczego nie zmieniało. Zresztą każdy Strażnik już chyba dawno zdążył się zorientować, że na świecie, na którym przyszło mu aktualnie pełnić służbę, niczego normalnego nie ma.

Czwarty dzień od zakończenia rekordowego huraganu był wyjątkowo przygnębiający. Coś dziwnego stało się z mgłą, która zgęstniała jak nigdy dotąd. Jej poziom sięgał zazwyczaj kolan. Równy, biały dywan przykrywał całą powierzchnię, wypuszczając ze swoich objęć jedynie samotnie stojące skały i pojedyncze kępy najwyższych wrzosów. Tego ranka z niewyjaśnionych powodów gęsty opar uniósł się wyżej. Dotarł aż do dolnego brzegu panoramicznego okna wartowni, powodując wrażenie, że jakikolwiek materialny świat na zewnątrz przestał istnieć. Wszystko znikło w mlecznobiałym puchu. Kolor nieba zbliżał się do barwy mgły, sprawiając, że linia horyzontu była niemożliwa do określenia. Ziemia płynnie przechodziła w nieboskłon i w ujednoliconym ze wszech miar krajobrazie na zewnątrz wartowni dawało się zauważyć wyłącznie jeden wyróżniający się element. Było nim słońce. Błada, anemiczna kula wspinała się niespiesznie w swej drodze ze wschodu na zachód, a jej niemrawe promienie dawały mdłe światło. Jeżeli ktoś liczyłby na związane zazwyczaj z nimi ciepło, musiał się bardzo rozczarować. Słońce Haasgardu nigdy nie grzało, jedynie świeciło.

Ostatecznie jednak to nie anomalie pogodowe wpłynęły na szczególnie przygnębiający odbiór tego dnia. Miały na niego

oczywiście wpływ, lecz stanowiły zaledwie tło dla wydarzeń o zupełnie innej naturze.

Krótko przed południem zmarł Trzeci Strażnik. Obrażenia, których doznał w bezpośrednim kontakcie z tarczakami, były poważne, ale z pewnością nie śmiertelne. Jego zdrowie mocno ucierpiało na skutek utraty sporej ilości krwi po amputacji kończyny. Fakt ten istotnie wpłynął na znaczne osłabienie organizmu, ale w miarę szybka i sprawnie przeprowadzona akcja ratunkowa sprawiła, że nie doszło do najgorszego. Najpierw zadziałał automed, potem pałeczkę przejął zbiornik z płynem odżywczym. Zdawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze do względnie szczęśliwego zakończenia dramatycznych wydarzeń. Pozostali członkowie załogi nie mieli nawet najmniejszych wątpliwości co do tego, że ich towarzysz, choć okaleczony, przeżyje ostatecznie pięcioletni kontrakt na Haasgardzie. Czekał go raptem rok, góra półtora, nieprzyjemnych doznań i ograniczeń związanych z byciem niepełnosprawnym. Po zakończeniu pechowej służby mógł powrócić do bardziej cywilizowanych pod względem medycznym światów. Tam z kolei mógł liczyć najpierw na wyhodowanie, a następnie przeszczepienie brakującego fragmentu ciała. Straciłby automatycznie prestiżowy status członka Gildii Strażników, jednak jego młody wiek i odzyskana w pełni sprawność fizyczna rokowały duże nadzieje na znalezienie innego, w miarę intratnego zajęcia. Perspektywy miał więc w sumie nie najgorsze. Jakiegokolwiek by jednak nie były, żadna z nich nie miała najmniejszych szans na wcielenie w życie.

Nie pomógł płyn odżywczy, a wcześniejsza akcja ratunkowa okazała się jedynie połowicznym sukcesem. Najmłodszy członek załogi wartowni zmarł, nie odzyskując przytomności. O ustaniu jego czynności życiowych powiadomił buczący sygnał i miganie czerwonej lampy nad drzwiami prowadzącymi do

pomieszczenia medycznego. Nadzieje na uzdrowienie rozmięły się z rzeczywistością tak bardzo, jak to tylko możliwe. Załoga wartowni straciła najmłodszego towarzysza, zupełnie się tego nie spodziewając. Cios był dotkliwy tym bardziej, że absolutnie nic go nie zapowiadało.

Trzeci Strażnik miał wstać ze zbiornika regeneracyjnego najpóźniej za trzy dni. Najdalej za tydzień powinien przejąć na stałe obowiązki czuwającego. Pozostała dwójka zamierzała kontynuować przerwane patrole, modyfikując grafik służb tylko w nieznacznym stopniu. W zamierzeniach wszystko wydawało się proste i łatwe do zrealizowania. Od powrotu do normalności albo prawie normalności dzielił ich zaledwie jeden mały krok. Jak się niestety okazało, o jeden krok za dużo.

Detektory czynności życiowych zanotowały najpierw brak pulsu, a potem zanik potencjałów elektrycznych kory mózgowej. Uruchomiony został alarm. Chwilę później rozpoczęła się procedura automatycznego zamrażania. W przeciągu niespełna kwadransa na oczach pozostałych płyn odżywczy uległ krystalizacji pod wpływem niskiej temperatury. Standardowe w takich przypadkach postępowanie zakładało hibernację zwłok do czasu zmiany załóg. Następnie martwe ciało zabierane było do specjalistycznych laboratoriów

Gildii, gdzie wykonywano sekcję. Powyższy schemat zawsze ściśle przestrzegano i praktycznie nigdy nie było od niego odstępstw. Ustalenie szczegółowej przyczyny zgonu stanowiło jednak marne pocieszenie, zarówno dla rodziny zmarłego, jak i dla jego towarzyszy. Poza tym tak naprawdę niczego nie zmieniało.

Dowódca wartowni nadał krótką wiadomość o smutnej treści do centralnej siedziby cechu, zaś w dzienniku służb skrupulatnie opisał przebieg ostatnich wydarzeń i okoliczności śmierci podwładnego. Datę i godzinę zgonu najpierw wytuścił,

a potem podkreślił dwukrotnie. Wypełniającą go frustrację wyładował na grafiku patroli, który musiał ponownie zmienić. Tym razem diametralnie. Rozkład został pokreślony i pomazany zamaszystymi krechami, a następnie całkowicie zniszczony. Od mocnego uderzenia pięścią wyłączył się holoprojektor, który na ścianie głównego pomieszczenia wyświetlał kalendarz. Kwestia nowych przydziałów służb odłożona została tym samym na przyszłość. Choć nie ulegało wątpliwości, że trzeba się tym zająć, na razie problem zszedł na dalszy plan i można było stwierdzić, że zawieszony został na przysłowiowym kołku.

Zamrożony zbiornik z ciałem zmarłego przemieszczony został do piwnicy, którą zamknięto na głucho. Trzeci Strażnik ostatecznie zakończył swój udział w wypełnianiu pięcioletniego kontraktu w mglisto-wietrznym, nieprzyjaznym i, jak się niestety okazało, śmiertelnie groźnym świecie.

W trakcie kilku następnych dni nie zdarzyło się, co prawda, nic wyjątkowo dramatycznego, niemniej one również nie należały do przyjemnych. Atmosfera panująca w wartowni daleka była od normalnej, a przyczyny tego stanu nie rokowały raczej nadziei, że kiedykolwiek do normalności powróci. Mężczyzna z sumiastymi wąsami kolejny raz przekonał się, jaki jest Haasgard. Planeta odciskała się na ludzkiej psychice za uważalnym piętnem. Jej jedynymi pewnymi elementami były wiatr i mgła, walczące nieustannie o dominację. Cała reszta wymykała się z racjonalnych ram. Ujmując rzecz inaczej – wszystko inne było nienormalne.

Zgłosił się na ochotnika do pierwszego patrolu po zaskakującej śmierci towarzysza. Wiedział, że na zewnątrz wartowni grasuje liczne stado krwiożerczych potworów i że dużo ryzykuje, spotykając się, jak by nie było, na ich gruncie. Nie obchodziło go to. Musiał opuścić duszne cztery ściany i poczuć w płu-

cach świeże, chłodne powietrze. Poza tym wzbierająca w nim coraz bardziej frustracja musiała wreszcie znaleźć ujście.

I znalazła. Nie zdążył oddalić się od bezpiecznego schronienia na odległość większą niż sto kilkanaście metrów, a pierwsze ogniwo energetyczne było już prawie całkowicie wyczerpane. Posłał ostatnią serię i ponownie załadował broń. Strzelał jak opętany, szczerząc bezwiednie zęby w grymasie niepohamowanego gniewu. Nie sprawdzał celności prowadzonego ognia. Ciemne smugi dymu wzbijającego się ponad kłęby mgły dobitnie świadczyły o tym, że strzały promiennika sięgnęły żywego celu i że zwęgliły stojące im na drodze organiczne tkanki. Sygnał alarmu nigdy nie brzęczał dłużej niż dwie sekundy. Pojawiał się, powodował zwrot lufy w odpowiednim kierunku, doprowadzał do naciśnięcia spustu i chwilę później raptownie się urywał. Gdyby nie pracujące pełną parą pochłaniacze zapachu, chodzący we mgle siewca zniszczenia z pewnością czułby ciężką woń spalonych ciał snującą się w promieniu wielu metrów. Drugi Strażnik był istną maszyną śmierci. Tego dnia nikt i nic nie mogło go zatrzymać. Co chwila wymieniał zużyte ogniwa energetyczne na zapasowe, a jego gniew nie malał ani trochę. Nie liczył, ile tarczaków zabił podczas tego patrolu. Na późniejsze pytania w tej kwestii odpowiadał zawsze, że „stanowczo za mało” albo po prostu „niestety nie wszystkie”.

Siejąc śmierć, dotarł do jednej z uszkodzonych przez huragan sond meteorologicznych. Wymienił ją na nową, podłączył do zasilania i uruchomił. Zajęło mu to zaledwie trzy minuty. W tym czasie populacja morderczych, naturalnych mieszkańców planety zmniejszyła się o kilka trafionych laserem osobników. W podobnych okolicznościach Drugi Strażnik wymieniał kolejno wszystkie wadliwe urządzenia, a potem zawrócił w stronę wartowni. Cały czas musiał torować sobie drogę

wśród równie wściekłych jak on tarczaków. Prymitywne, podziemne do niedawna zwierzęta przestały ostatecznie bać się słonecznego światła. Coraz śmieiej wychodziły na powierzchnię i mrużąc wyłupiaste, złośliwe ślepie, stroszyły przerażające grzbiety. A potem bez namysłu atakowały kroczącego przez wrzosowiska człowieka. Bezlitośni drapieźnicy zaczęli wykorzystywać mgłę jako osłonę dla morderczych szarż. Ich małe, proste mózdzki traktowały gęsty całun jako przewagę. Z pewnością była to przewaga, ale tylko wówczas, jeżeli rozpatrywało się ją pod kątem ewentualnej walki z innym tarczakiem. Chodzący we mgle człowiek był jednak poza ich zasięgiem.

Zaopatrzony w niezwykle czułe systemy detekcyjne i płaszcz maskujący, skutecznie lokalizował każdego potencjalnego agresora w promieniu dwudziestu pięciu metrów. Jego pozycja wyświetlana była w postaci czerwonej kropki na wewnętrznej powierzchni gogli. W przypadku Drugiego Strażnika od momentu jej wyświetlenia i uruchomienia związanego z tym alarmu dźwiękowego do oddania strzału z laserowego promiennika upływała zaledwie chwila. Mimo krępej budowy tarczaki były zaskakująco szybkie i zwinne. Ich silnie umięśnione, zakończone ostrymi szponami nogi nadawały ciału znaczne przyspieszenie w chwili rozpoczęcia ataku. Czego by jednak nie mówić o ich prędkości, żaden nie potrafił pokonać dwudziestu pięciu metrów w wystarczająco krótkim czasie. Ścieżka pomiędzy miejscami wymiany uszkodzonych sond meteorologicznych usłana była mnóstwem zwęglonych ciał. Ich ilość wzrosła jeszcze dodatkowo ze względu na fakt, iż Drugi wracał do wartowni tą samą drogą. I nie spieszył się zbyt.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami najpierw przez wiele pozornie takich samych dni był „chodzącym we mgle”. W krótkim czasie przemienił się w „biegnącego we mgle”. Podczas

pierwszego po tragicznych wydarzeniach patrolu najbardziej pasujące do niego określenie brzmiało jednak „zabijający we mgle”. Zanim dotarł do wartowni, zużył całkowicie osiem ogniw energetycznych. Nigdy wcześniej i nigdy później nie było potrzeby podejmowania aż tak drastycznych działań. Tego dnia ustanowiony został absolutny, choć ze zrozumiałych względów, nieoficjalny rekord.

Nie było żadnych zawodów ani wyścigów w uśmiercaniu tarczaków. Niemniej żaden z wychodzących na patrole członków Gildii nie wahał się w kwestii użycia laserowej broni. Zawziętość człowieka równa była prezentowanej przez naturalnych mieszkańców Haasgardu. Mimo że populację zwierząt mocno przetrzebiano podczas każdego kolejnego patrolu, ilość drapieżnych stworzeń nie malała. Nikt nie potrafił wytłumaczyć natury tego faktu, ale też nikomu zbytnio na tym nie zależało. Strażnicy byli na ogół ludźmi czynu, a nie nauki. Kwestie przyczyn, zależności i ich następstw na poziomie ekosystemu zostawiali specjalistom w odpowiednich dziedzinach. Na co dzień woleli zaś akcję i kierowali się prostymi zasadami ujętymi w Regulaminie Służby. Gildia nie była organizacją zgłębiającą wiedzę w imię przyświecających jej szczytnych celów. Stanowiła paramilitarny cech zawierający i wypełniający korzystne dla siebie kontrakty. Wywiązywanie się z nich było więc priorytetem działania. Jeżeli realizacja podjętego zobowiązania mogła zaistnieć dzięki unicestwieniu „kilku” tarczaków, nikt z jej władz zbytnio nie oponował. Tym bardziej że owe bestie uszczupliły wcześniej dość istotnie zasoby ludzkie Gildii.

Wobec takiego obrotu sprawy i dość jednoznacznego stanowiska władz cechu można było zaryzykować stwierdzenie, że sytuacja na Haasgardzie ustabilizowała się. Rzadsze niż dotychczas patrole wciąż wychodziły w teren, a uzyskiwane dzie-

ki nim cenne i jednocześnie wciąż tak samo tajemnicze dane nadal płynęły do komputerów. Złość i frustracja uszczuplonych liczebnie załóg znajdowały ujście w seriach czerwonych smug zagłębiających się w kłęby gęstej mgły. Patrolowe ścieżki znaczone były zwęglonymi truchłami tarczaków, których ilość zwiększała się wraz z upływem czasu. Tworzyły się w ten sposób makabryczne aleje śmierci i coraz częściej mówiono o tym, że przydałby się kolejny huragan. Liczono na to, że jego gwałtowne podmuchy uprzątą nieprzyjemne świadectwa przewagi laserowego promienia nad niezwykle ostrym grzbietem w kształcie piły tarczowej.

Podbramkowa sytuacja została ostatecznie opanowana i Gildia ponownie przejęła inicjatywę. Strażnicy w miarę szybko, choć trudno mówić, że bezboleśnie, zaadaptowali się do nowych warunków. Haasgard pokazał, że nie do końca dał się ujarzmić człowiekowi. Wierzgnął jak ujeżdżany mustang i niewiele brakowało, aby dosiadający go jeździec wyrzucony został z siodła. Jak na razie jednak człowiek się w nim utrzymał i ponownie mocno chwycił za uzdę. Proces specyficznego ujeżdżania trwał więc nadal, lecz jego efekty trudne były do przewidzenia. W końcu na tej planecie nie dawało się przewidzieć czegokolwiek, a niedawne dramatyczne wydarzenia były tego najlepszym dowodem.

7.

W wartowni panowała przygnębiająca, wręcz namacalna cisza. Nikt nie kwapił się do tego, aby ją przerwać. Strażnicy jeszcze do niedawna próbowali rozmawiać, ale wypowiedane przez nich zdania były suche, skąpe w słowa, pozbawione

prawie wszystkich niosących jakiegokolwiek emocje przymiotników. Później wszelka konwersacja ograniczyła się jedynie do wynikających ze służbowych obowiązków zwrotów i regulaminowych meldunków. Dawne ustne raporty, zdawane po zakończeniu patroli, zastąpione zostały poważnymi skinięciami głowy lub wzruszeniami ramion. Znaczyły, że nie wydarzyło się nic, o czym warto byłoby wspomnieć, i że sytuacja na zewnątrz nie uległa zmianie w żadną stronę – nie pogorszyła się i nie polepszyła. I nic więcej.

Posiłki mężczyźni jedli w milczeniu, wolne od służby chwile również spędzali w ciszy. Pierwszy Strażnik zaniechał komponowania muzyki. Przesiadywał, co prawda, przy komputerze z uaktywnionym panelem syntezy dźwięków, jednak nie zestawiał ze sobą nut nawet w najkrótsze utwory. Jego palce tkwiły nieruchomo nad klawiaturą, zaciśnięte najczęściej w pięści, zaś wzrok utkwiony był w bliżej nieokreślonym punkcie. Drugi Strażnik ćwiczył. Kiedyś dzielił wolny czas po równo na utrzymanie sprawności fizycznej i medytację. Aktualnie proporcja pomiędzy tymi dwiema aktywnościami była mocno zaburzona, a wysiłek mięśni zdecydowanie górował nad umysłowym. Na przemian napinał i rozluźniał kolejne partie muskulatury, a pot lał mu się po plecach strumieniami.

Każdy w odmienny sposób odreagowywał nieprzyjemne przeżycia ostatnich dni. Jeden w obliczu traumatycznej sytuacji zamknął się w sobie i popadł w odrętwienie, drugi szukał rozmaitych metod, które pozwoliłyby mu pozbyć się przepętlającej umysł złości i frustracji. Żaden jednak nie pozostał obojętny wobec Haasgardu. Piętno nieprzyjaznej planety znacząco odcisnęło się na psychice obu Strażników.

Niecały miesiąc po rekordowym huraganie przyszedł następny. Podobnie jak poprzednio, mgła szybko opadła, a jej resztki rozgonione zostały przez pierwsze poddmuchy wiatru.

Wkrótce wiało z piekielną siłą, a i tak rzadkich patroli zaniechano na trudny do przewidzenia czas. W wartowni zapanowała przymusowa nuda, która w zadziwiający sposób szybko dopasowała się do prawie całkowitej ciszy. Prawie, gdyż przejawy huraganu w postaci szumu, świstów, przeciągłego zawodzenia i pojękiwań dawało się od czasu do czasu usłyszeć. Wcześniej Strażnicy w miarę sprawnie radzili sobie z przymusową bezczynnością. W nowej sytuacji okazało się to jednak wyzwaniem ponad ich siły. Brak jakiegokolwiek konstruktywnego zajęcia powoli i systematycznie niszczył resztki silnej woli.

Rankiem piątego dnia od rozpoczęcia huraganu było najgorzej. Szczególnie gwałtowne podmuchy wiatru wyły upiornie, owiewając ściany wartowni z niesłabnącą siłą. Jęczały gdzieś w okolicach dachu i zawodziły jak piekielny zastęp potępionych dusz. Kakofonię przyprawiających o gęsią skórę dźwięków uzupełniały stukania kamyków i szum piasku miotanego z wściekłą mocą na panoramiczne okno głównego pomieszczenia. Hałas nie słabł ani na chwilę, a wręcz przeciwnie – wydawało się, że jeszcze narastał, że diabelski wiatr przybierał na sile.

Około południa Drugi Strażnik podszedł do dowódcy wartowni i nie siląc się na żadne regulaminowe zwroty, przerwał długie milczenie w niekonwencjonalny sposób:

– Nie masz już dosyć tego gówna?

Przełożony popatrzył na podwładnego z wyraźnym zaskoczeniem. Mogło być ono wywołane równie dobrze treścią zadanego pytania, jak i jego formą. Pierwszy Strażnik był najwyraźniej zbity z tropu i przez dłuższą chwilę nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– O co ci chodzi? – zapytał ostrożnie, próbując wymigać się od przyjęcia konkretnego stanowiska w niesprecyzowanej sprawie.

– O cały ten burdel dookoła! – Stwierdzenie mężczyzny z sumiastymi wąsami było równie dosadne jak dopiero co zadane pytanie. Niestety cechowało się podobnym brakiem precyzji. – Huragany, które zamiast dwa, trzy dni wieją przez dni naście, jakieś zmutowane tarczaki wyłazące na powierzchnię w środku dnia, śmierć Trzeciego – wymieniał. – Rzadkie patrole, zbierające wciąż te same bzdurne dane... – Ostatniemu stwierdzeniu towarzyszyło szerokie rozłożenie rąk i wzruszenie ramion w geście bezsilności.

– O co ci dokładnie chodzi? – powtórzył pytanie dowódca, nie mogąc znaleźć wątku przewodniego w wyliczance towarzysza.

– Przeglądałem Regulamin Służby Wartowniczej. Okazuje się, że w naszej biblii nie wszystko zostało uwzględnione. Uważam, że obecną sytuację można podciągnąć pod coś, co określa się stanem kryzysowym, a to daje nam nowe możliwości działania.

Dowódca wartowni zdążył już ochłonąć po niespodziewanym pierwszym pytaniu. Miał dość czasu, aby dojść do siebie, i teraz patrzył na podwładnego chłodnym, całkowicie spokojnym wzrokiem. Starając się zachować jak najbardziej naturalne brzmienie głosu, raczej stwierdził, niż zapytał:

– Chcesz uruchomić superkomputer...

– Tak! – Reakcja była zwięzła i krótka, dokładnie taka, jaką w tej sytuacji łatwo było przewidzieć. Drugi Strażnik uważnie obserwował oblicze przełożonego. Widział gonitwę myśli odzwierciedlaną w uczuciach malujących się kolejno na jego twarzy. Był w pełni świadom tego, że w tym właśnie momencie ważą się losy tajemnicy Haasgardu.

Dowódca rozważał wszystkie za i przeciw, sprawiając wrażenie, że pomysł uruchomienia półinteligentnej maszyny i poznania odpowiedzi na podstawowe pytania związane z co-

dzienną służbą był interesujący. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wyraźnie się ożywił, a w jego przygaszonych ostatnio oczach pojawił się dawny blask. Być może było to tylko złudzenie, ale Drugiemu wydawało się, że przygarbione ramiona jego szefa wyprostowały się nieznacznie, a jego sylwetka nabrała charakterystycznej sprężystości i dynamiki. Postawione otwarcie pytanie wyrwało go z przygnębienia i marazmu ostatnich dni, stawiając przed koniecznością podjęcia niezwykle ważnej decyzji. Decyzji, która z jednej strony mogła być kluczowa dla dalszego rozwoju kariery w Gildii, z drugiej zaś pozwalała poznać szczegóły, które w krytycznych momentach mogły zaważyć nawet na przeżyciu pięcioletniego kontraktu. Nie można było podejmować jej zbyt pochopnie, gdyż konsekwencje błędnego wyboru mogły okazać się bardzo poważne.

– Muszę odpowiedzieć ci w tej chwili? – spytał i widząc przeczące kręcenie głową, dodał: – Dobra! Wstrzymajmy się z tym do jutra! Pobiję się trochę z myślami i wybadam delikatnie nastroje w innych wartowniach. Jutro w południe usiądziemy i wspólnie rozłożymy problem na części pierwsze. W zależności od tego, co przeważy, podejmiemy decyzję. Może być?

Drugi Strażnik potakująco skinął głową. Od dawna chciał dostać się do schowanego za pancernymi drzwiami komputera. Jeden dzień zwłoki nie robił więc znaczącej różnicy. Był w stanie zaczekać dwadzieścia cztery godziny, aby wreszcie zaspokoić swoją ciekawość. Postawa przełożonego wydawała się być właściwa i trudno było nie dziwić się targającym nim wątpliwościom i rozterkom. Na szalach specyficznej wagi położono naprawdę wiele. W zasadzie można było zaryzykować stwierdzenie, że już jutro wszystko mogło zostać postawione na jedną kartę. Czy będzie to przebijający wszystko dzoker, czy

tylko zwykła blotka? Tego nie dało się w żaden sposób przewidzieć.

Usatysfakcjonowany zaproponowanym rozwiązaniem właściciel okazałych wąsów udał się do swego maleńkiego pokoju. Rozpierała go energia i niecierpliwość. Nie mógł doczekać się jutrzejszego południa. Był przekonany, że drzwi sejfu prowadzące do jego cennej zawartości zostaną otworzone. Od rozwiązań zagadek, nad którymi bezowocnie głowił się tyle razy, dzieliła go zaledwie doba. Nie miał wątpliwości, że aktualna sytuacja w pełni zasługiwała na miano kryzysowej, z którejkolwiek strony by na nią nie spojrzeć. Działo się coś, co nie zostało przewidziane w kilkusetstronicowej biblii Gildii Strażników, a to z kolei przecierało nowe, niedostępne dotąd szlaki.

Nadmiar energii znalazł upust w szczególnie intensywnym wysiłku fizycznym. Zestaw ćwiczeniowy w pomieszczeniu sportowym aż trzeszczał od siły mięśni podnoszących, opuszczających, przyciągających i odpychających ciężary. Trwało to prawie dwie godziny i zaowocowało potwornym zmęczeniem. Tego wieczoru Drugi Strażnik położył się wcześniej spać i prawie natychmiast odpłynął w niebyt.

Przyśniło mu się coś dziwnego. Był na olśniewającej idyllicznym pięknem planecie. Pagórki pokryte soczyście zieloną trawą falowały łagodnie w stronę szmaragdowego morza szumiącego cicho na horyzoncie. Łącząca je cienka nitka plaży była idealnie żółtego koloru. Śnieżnobiałe mewy wołały tęsknie do siebie, a lekko słonawa bryza cudownie chłodziła rozgrzaną słońcem skórę. Krajobraz był wręcz bajkowy. Drugi Strażnik nie rozkoszował się jednak niezwykłymi widokami. Nie miał czasu na kontemplację kołysanych wiatrem traw, żółtego piasku, morza czy czegokolwiek innego.

Uciekał. Gnał przed siebie na złamanie karku, a napędzane strachem nogi niosły go tak szybko, jak tylko były w

stanie. Biegł ile sił, jednak jego przerażający prześladowca zbliżał się nieubłagane. Przepiękna okolica w jednej chwili stała się scenerią dramatu. W swoim śnie mężczyzna z sumiastymi wąsami poniechał skazanej z góry na niepowodzenie ucieczki i odwrócił się w kierunku ścigającego go przeciwnika. Stał pochylony na szeroko rozstawionych, ugiętych nieco nogach i ciężko dyszał, podpierając się dłońmi o drżące z wysiłku kolana. Ścigający również się zatrzymał. Stanął w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Jego twarz skryta była w mroku dużego kaptura, a zwalista, złowroga sylwetka czaiła się do planowanego, kończącego pogoń skoku. Przez moment nic się nie działo.

Niespodziewanie ręka prześladowcy przemieniła się w pętlę, która z szybkością błyskawicy śmignęła w kierunku bezbronnej ofiary. Gruby sznur rzucony został z niebywałą precyzją. Zanim Drugi Strażnik zdołał zareagować w jakikolwiek sposób, pętla zadzierzgnęła się na jego szyi. Gwałtowne szarpnięcie odcięło dopływ powietrza, a po okolicy rozszedł się donośny, przerażający śmiech. Myśliwy dopadł ofiarę, polowanie weszło w finałową fazę. Z każdą chwilą szorstki sznur zaciskał się mocniej, a duszonemu człowiekowi coraz bardziej brakowało tchu.

Zlany zimnym potem, mocno wystraszony Drugi Strażnik obudził się nagle z sennego koszmaru, który ku jego przerażeniu zmienił się w jawę. Miał na szyi zadzierzgnięte coś szorstkiego, co rzeczywiście dławiło go bezlitośnie i uniemożliwiało złapanie najmniejszego nawet oddechu. Prawdziwy zaś przeciwnik przygniatał całym swym ciężarem jego klatkę piersiową. Także w realnym świecie ktoś próbował go udusić.

Mężczyzna natychmiast otrzeźwiał, a instynkt samozachowawczy przejął kontrolę nad dalszymi działaniami. W przeszłości szkolony był do walki wręcz wieloma technikami i wła-

śnie nadszedł moment, aby przekonać się o skuteczności przebytych treningów. Wiedza i umiejętności zdobyte w tym zakresie poparte zostały siłą wytrenowanych mięśni. Złapał dusiciela za przedramiona i zamknął je w żelaznym uścisku. Przez chwilę mocował się z nim bezowocnie, potem jednak udało mu się rozewrzeć ręce przeciwnika na zewnątrz. Zaciśkana na szyi pętla rozluźniła się wystarczająco, aby wreszcie mógł złapać upragniony haust powietrza.

Wraz z ożywczym tlenem, który dotarł do płuc, w Drugiego Strażnika wstąpiła olbrzymia wściekłość. Mimo że cały czas był mocno przygniatany, udało mu się gwałtownie skrócić tułów i unieść zgięte nogi. Oba kolana grzmotnęły przeciwnika w bok. W ciemnościach rozległo się głucho stęknienie oznaczające, że niespodziewany cios okazał się bolesny. Potem w ruch poszedł łokieć, który uniósł się i z impetem opadł na dopiero co wypuszczone z uścisku przedramię, gruchocząc obie jego kości. Tym razem napastnik zawył donośnie, a pętla na szyi rozluźniona została prawie całkowicie.

Niedoszła ofiara przejęła inicjatywę. Drugi cios łokciem wyprowadzony został prosto w ciemność. Zgodnie z przewidywaniami na jego drodze stanęła twarz. Trzasnął złamany nos, z nieprzyjemnym młaśnięciem rozbite zostały wargi. Napastnik stracił całkowicie kontrolę nad rozwojem wypadków, a to umożliwiło Drugiemu Strażnikowi ostateczne wyrwanie się z pułapki. Duszony do niedawna mężczyzna chwycił oburącz stojący obok łóżka metalowy stołek i zamaszystym ruchem posłał go przed siebie. Tym razem także celnie. Mały, ale za to ciężki mebel wyrznął rywala w ciemność. Bezładne ciało osunęło się na podłogę, a zwycięzca stał nad nim mocno pochylony i łapał powietrze z głośnym świstem dobywającym się z obolałej krtani. Dopiero po upływie minuty wyprostował się i włączył światło. Pośrodku niewielkiego pokoju leżał na boku dowódca

wartowni. Czubek jego głowy wgnieciony został do wewnątrz na głębokość kilku centymetrów. Nie ulegało wątpliwości, że Pierwszy Strażnik nie żyje.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami oparł rozgrzane, pokryte obfitym potem czoło o chłodną ścianę i jeszcze długo ciężko dyszał. Powoli dochodził jednak do siebie. Walące jak oszalałe serce wróciło wreszcie do normalnego tempa pracy, uspokoił się świszczący oddech i z każdą mijającą chwilą coraz mniej drżały nogi.

– Kurwa! – westchnął Drugi Strażnik i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Co to się porobiło? – zadał ciche pytanie, ale w wartowni nie było nikogo, kto mógłby na nie odpowiedzieć.

Jeszcze przez moment stał oparty o chłodną ścianę, po czym przeszedł do głównego pomieszczenia. Uznał, że tym razem sytuacja zasługuje na miano kryzysowej bez jakichkolwiek, najmniejszych nawet wątpliwości. Poza tym tylko on pozostał przy życiu, więc nie musiał z nikim konsultować podjętej właśnie decyzji. I tak nie miał nic do stracenia, a pozostali członkowie załogi nie żyli. Jeden z nich zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. W świetle wydarzeń sprzed kilku raptem minut można było mieć wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście był on nieszczęśliwy. W końcu akcja ratunkowa przeprowadzona została w miarę szybko i sprawnie, a rana Trzeciego Strażnika, choć poważna, z pewnością nie była śmiertelna. Płyn w zbiorniku odżywczym powinien sobie z nią łatwo poradzić. Dlaczego więc tak się nie stało? Ostatnie poczynania dowódcy wartowni rzucały na całą sprawę zupełnie nowe, zaskakujące światło.

Zresztą to i tak był drobiazg w porównaniu z faktyczną, na szczęście nieudaną, próbą zabójstwa. O co chodziło Pierwszemu Strażnikowi? Dlaczego chciał pozbyć się swych pod-

władnych? Jaki mógł mieć motyw, aby zdecydować się na aż tak drastyczne posunięcia?

– Następne pieprzone zagadki! – mruknął właściciel sumiastych wąsów. „Czas na rozwiązanie przynajmniej kilku z nich!” – dodał w myślach, wchodząc dogłównego pomieszczenia wartowni. Nie zamierzał robić niczego, dopóki nie pozna paru odpowiedzi. Nie zgłosił śmierci kolejnego członka załogi w centralnej siedzibie cechu ani nie napisał raportu o jej niecodziennych okolicznościach. Wielce prawdopodobnym wydawało się, że pomimo tego, że był zupełnie niewinny, w najbliższej przyszłości i tak pożegna się z Gildią. Nie czuł się już zobowiązany do realizowania jakichkolwiek powinności służbowych. Właśnie dobiegł końca jego ostatni, pięcioletni kontrakt.

– A to skurwysyn! – wymknęło się Drugiemu Strażnikowi, kiedy stanął w progu centrum dowodzenia. Jego wzrok od razu powędrował ku ciężkim, pancernym drzwiom, za którymi ukryto superkomputer. Dotychczas zamknięte były na głucho, a zamaskowane, migające na zielono diody elektronicznego zamka dawały się zauważyć dopiero wówczas, gdy wiedziało się, gdzie ich szukać. Tym razem było jednak inaczej. Oba pancerne skrzydła stały szeroko otwarte, ukazując skrywane dotąd wnętrza w całej okazałości. Przed nimi walały się po podłodze szczątki zniszczonej półinteligentnej maszyny. Nie zostało nic, co choćby w niewielkim stopniu nadawało się do rekonstrukcji. Ktoś zapamiętale i skrupulatnie rozbił, zgniótł, pociął lub w inny sposób uszkodził praktycznie każdy element skomplikowanego systemu. Komuś szczególnie zależało na tym, aby zawarte wewnątrz tajemnice Haasgardu nie ujrzały światła dziennego. Nietrudno było się domyślić, kto spowodował brzemienne w skutki destrukcję. Sprawca jednak nie żył, nie mógł więc podać przyczyn swego zachowania. Zresztą były

na tyle przejrzyste, że nie budziły wątpliwości. Wszystko wskazywało na to, że dowódca wartowni od samego początku był doskonale zorientowany w każdym aspekcie specyficznej służby wartowniczej na mglisto-wietrznym świecie i najwyraźniej miał dodatkowe instrukcje.

Drugi Strażnik służył z nim kilka lat jeszcze przed obecnym, feralnym kontraktem i miał wrażenie, że poznał przełożonego dość dobrze. Przynajmniej na tyle dobrze, aby nie mieć wątpliwości w kwestii jego zdrowych zmysłów. Z pewnością więc nie był to przyływ szaleństwa ani też niespodziewane ujawnienie się skrywanej dotąd skrzętnie ciemnej, psychopatycznej strony charakteru. Bardziej wyglądało na to, że dowódca wartowni postępował zgodnie z otrzymanymi wcześniej zaleceniami. Z drugiej jednak strony: czy można było mieć co do tego absolutną pewność? W końcu przecież zaledwie kilka godzin wcześniej mężczyzna z sumiastymi wąsami dał się zwieść doskonałej grze aktorskiej przełożonego. Za dobrą monetę wziął jego zainteresowanie przedstawioną propozycją dobrania się do superkomputera i pozorne wahanie w tej kwestii. W konsekwencji niewiele brakowało, żeby stracił życie. Od wszelkich odpowiedzi zaś został skutecznie odcięty. Problemy, zamiast zostać ostatecznie rozwiązane, znacznie się komplikowały.

Co teraz zrobić? To pytanie zdominowało bez reszty umysł Drugiego Strażnika. Czy powinien zameldować o całej sprawie szefostwu Gildii? Każda wartownia dysponowała wysokiej mocy przekaźnikiem, za pomocą którego teoretycznie mógł wezwać pomoc z samej góry. Wiedział, jak go obsługiwać, choć zazwyczaj leżało to w gestii dowódcy placówki. Mógłby nadać na Cerbera pilną wiadomość z prośbą o niezwłoczną interwencję. Tylko jaką mógł mieć nadzieję na to, że na miejsce rzeczywiście przyleci ktoś z misją ratunkową, a nie zespół szyb-

kiego reagowania z zadaniem sprzątnięcia go? Pojawienie się plutonu egzekucyjnego było nawet w obecnej sytuacji bardziej prawdopodobne. Ze względu tym razem nie ogólnego, lecz własnego bezpieczeństwa bez zastanowienia zrezygnował z kontaktu z władzami cechu. Nie miał absolutnie żadnych gwarancji na uzyskanie prawdziwej pomocy, wołał więc nie ryzykować.

– Myśl, człowieku! – ponaglił siebie. W zasadzie był prawie pewien, że wyrok śmierci został już na niego wydany. Widział lub wiedział zbyt wiele, choć osobiście wcale tak nie uważał. Z jakiegoś wciąż niejasnego powodu stał się dla Gildii niewygodnym pracownikiem. Na tyle niewygodnym, że jego przełożony postanowił pozbyć się go definitywnie. Jeżeli nie uda mu się przejąć w najbliższym czasie inicjatywy, ostatecznie wypadnie z gry. Nieudana próba realizacji wyroku jedynie odraczała egzekucję. Do chwili obecnej wyłącznie reagował na zmiany sytuacji i przeciwdziałał, kiedy owe zmiany okazywały się niekorzystne. W końcu przyszedł najwyższy czas na aktywne działania. Musiał przestać być zwykłym pionkiem i stać się którąś ze znaczących figur w skomplikowanej rozgrywce. Problem polegał jednak na tym, że nie miał bladego pojęcia, co powinien w takiej sytuacji zrobić.

Nie posiadał podstawowych informacji, a to w istotny sposób ograniczało pole manewru. Jeszcze do niedawna superkomputer był osiągalny i wystarczyło jedynie znaleźć pretekst do jego uruchomienia. Teraz pretekst się znalazł i był bardzo dobry. Mężczyzna z sumiastymi wąsami nie miał jednak czego uruchamiać. Wszystkie zagadki, całe aktualnie mocno powiększone morze pytań i domysłów, sprowadzone zostały ponownie do punktu wyjścia. Drugi Strażnik ciężko usiadł na jednym z foteli głównego pomieszczenia wartowni.

Pneumatyczny mechanizm obciążonego gwałtownie mebla zasyczał cicho, amortyzując dźwigany aktualnie ciężar.

– Kurwa! – zaklął jedyny żywy członek trzyosobowej niegdyś załogi i chwilę później oparł głowę o zagłówek. Odchylił się mocno do tyłu i bez żadnego więcej słowa gapił się w sufit, usilnie próbując znaleźć sposób na wybrnięcie z sytuacji, w której się znalazł. Problem, w obliczu którego stanął, jedynie niepoprawni optymiści mogliby nazwać trudnym. Był arcyskomplikowany i chwilami właściciel sumiastych wąsów miał wrażenie, że zwyczajnie go przerastał. Mimo późnych godzin nocnych na zewnątrz wciąż hulał srogi wicher. Świszczał, gwizdał i zawodził na przemian. Jego siła nie słabła ani trochę, a wskazania meteorologicznych sond jednoznacznie sugerowały, że w najbliższym czasie nie można spodziewać się jakichkolwiek zmian w tej kwestii.

Nad ranem Drugi Strażnik coś wreszcie wymyślił. Świeżo opracowany plan miał wiele luk i mnóstwo ważnych, żeby nie powiedzieć krytycznych, szczegółów, które wymagały doprecyzowania. Dawał jednak cień szansy na skuteczną realizację, a to było lepsze od pustki. Zwłaszcza że poszukiwania jakiegokolwiek alternatywy okazywały się w miarę upływu czasu bezowocne. O świcie, gdy przeganiane bez chwili odpoczynku grube chmury nieco pojaśniały na ciemnoszarych brzuchach, Drugi Strażnik zaczął wcielać w życie swój niebezpieczny, wręcz szalony plan.

8.

W wartowni niewiele było do zrobienia. Bez większych emocji, traktując to jako konieczność, Drugi Strażnik wrócił do

swojego małego pokoju. Złapał ciało dowódcy za nogi i powlókł za sobą w kierunku pomieszczenia medycznego. Wklęśnięta od uderzenia stołkiem głowa obijała się najpierw o mijane progi, potem o kilka schodków, które ciągnący musiał pokonać. Nie wzruszało go to ani trochę. Parę uderzeń mniej czy więcej w żaden sposób nie zmieniało faktu, że Pierwszy Strażnik nie żył. Mógłby go, co prawda, złapać za ręce i unikać nieprzyjemnego, głuchego stukania czaszki o kolejne przeszkody. Zdecydowanie bardziej wolał jednak kontakt z szorstkim materiałem nogawek spodni niż z zimną skórą przedramion martwego człowieka. W pomieszczeniu medycznym zwłoki przerzucone zostały przez krawędź zbiornika z płynem odżywczym. Dołączone do niego detektory czynności życiowych buczały przez moment głucho i zamilkły. Nie wykryły pracy serca, nie stwierdziły oddechu i nie zarejestrowały potencjału elektrycznego kory mózgowej. Wobec powyższych faktów pozostawała tylko jedna procedura do wykonania. Po chwili rozpoczął się proces szybkiego obniżania temperatury płynu i jego krystalizacji. Martwe ciało ulegało w ten sposób utrwaleniu poprzez zamrożenie, czemu towarzyszyły charakterystyczne, suche trzaski.

Drugi Strażnik nie słyszał ich jednak. Jego palce biegały jak szalone po klawiaturze roboczego komputera w głównym pomieszczeniu wartowni. Ich pozornie chaotyczna gonitwa zakończona została kilka minut później. Na największym w szeregu ekranie wyświetlona została mapa Haasgardu z nanieśionymi na nią, jasno świecącymi punktami. Mężczyzna z sumiastymi wąsami obrócił ją i parokrotnie powiększył zaznaczony uprzednio obszar. Odszukanie na nim własnej wartowni zajęło mu zaledwie chwilę. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów w różnych kierunkach znajdowały się inne placówki Gildii. Od najbliższej dzieliło go siedemdziesiąt, położona była

jednak pod wiatr. Powyższy fakt automatycznie wykluczał ją z planu. Drugi Strażnik uważnie przyglądał się pozostałym punktom, eliminując, z najróżniejszych powodów, kolejne z nich. Jego wzrok przesuwiał się co chwila z głównego ekranu na dużo mniejsze, wyświetlające aktualną sytuację pogodową i prognozy na najbliższe godziny. W końcu decyzja została podjęta.

Punkt docelowy oddalony był o prawie sto kilometrów. Według przewidywań systemu meteorologicznego znajdował się dokładnie na linii, z którą pokrywał się kierunek szalejącego na zewnątrz wiatru. To było podstawowe kryterium wyboru i bezsprzecznie zostało ono spełnione. Drugi Strażnik upewnił się w tym raz jeszcze, po czym, w pełni usatysfakcjonowany dokonanymi dopiero co obliczeniami, oderwał się wreszcie od komputera.

Raźnym krokiem przeszedł do pomieszczenia, w którym jeszcze do niedawna szykował się wraz z towarzyszami do wyjścia na patrole. Dobrze pamiętał, jak uważne i skrupulatne były to przygotowania. Każdą rzecz sprawdzano przynajmniej trzykrotnie, wszystkie suwaki, zatrzaski oraz magnetyczne złączki rozpinano i zapinano tyle samo razy. Tłumaczył sobie wówczas, że nie jest to marnowanie czasu, że od takich drobiazgów zależy może życie zarówno jego, jak i wychodzącego wraz z nim towarzysza. Teraz o mało nie roześmiał się na samo wspomnienie poprzedzających opuszczenie wartowni, ściśle przestrzeganych procedur. W porównaniu z tym, co zamierzał zrobić, patrol był błahostką, czymś wprost dziecinnie łatwym do wykonania i nieróżniącym się od zwykłego spacerku po słonecznej plaży na całkowicie przyjaznych człowiekowi turystycznych światach.

Odszukał maty transportowe. Od dawna nikt ich nie używał, więc leżały pokryte grubą warstwą kurzu w jednym z rogów pomieszczenia. Pozornie proste urządzenia bazowały na

skomplikowanym mechanizmie napędu, który wykorzystywał zjawisko antygravitacji. Służyły zazwyczaj jako pomoc w przenoszeniu szczególnie ciężkich rzeczy. Mata razem z ładunkiem unosiła się w górę i cicho bucząc, przepływała wraz z zawartością do wskazanego miejsca. Tam zaś lądowała po uprzedniej dezaktywacji. Do jej użycia potrzebna była zgoda dowódcy wartowni. Pierwszy Strażnik nie żył, więc Drugi nie miał żadnych obiekcji, że postępuje wbrew ogólnie przyjętym zasadom. Aktualnie i tak wszelkie regulaminy oraz obowiązki związane z byciem członkiem Gildii miał w głębokim poważaniu. Krótką myśl o tym, że powinien dokonać wpisu w raporcie służby wartowniczej o wykorzystaniu wysoce specjalistycznego urządzenia, skwitował lekceważącym prychnięciem i wzruszeniem ramion.

– Teraz ja tu rządę! – mruknął, mając w nosie służbowe powinności. Sprawdził stan akumulatora, który był na wykończeniu. Ładowanie do stu procent mocy mogło potrwać kilka godzin, ale nie zmartwiło go to zbytnio. Miał czas. Według danych przekazywanych z sond meteorologicznych i opartych na nich prognozach miał mnóstwo czasu.

Podłączył matę do generatora i zajął się poszukiwaniem czegoś, co nadawałoby się na maszt. Wkrótce znalazł grubą, polimerową rurę, którą do tej pory z podziemnych zbiorników płynęła woda do pomieszczenia kuchennego. Odciął dopływ, wyrwał ją z zamocowań, a następnie skrócił do pożądanego rozmiaru. Wykorzystując szybko schnący klej molekularny, zespolił prowizoryczny maszt z matą w jednej trzeciej jej długości. Nie pozostawało mu nic innego, jak rozejrzeć się za odpowiednim materiałem na żagiel. Z tym było gorzej i poszukiwania trwały znacznie dłużej. W końcu jednak znalazł to, o co mu chodziło.

Olbrzymie statki transportowe, które dostarczyły materiały na budowę i wyposażenie wartowni, nie były przystosowane do lądowania na powierzchni planety. Zdecydowana większość ich ładunku przetransportowana została na dół przy wykorzystaniu konwencjonalnych wahadłowców. Część jednak trafiła na miejsce na zasadzie zdalnie sterowanego zrzutu. Aby mogło się to odbyć bez ryzyka uszkodzenia zawartości wielkich skrzyń tudzież zbombardowania wartowni przy braku celnego oka operatora, potrzebny był spadochron, który spowalniał lot ładunku w jego końcowej fazie. Właściciel sumiastych wąsów aż uśmiechnął się na jego widok. Używając ultradźwiękowego noża, sprawnie wykroił z olbrzymiej czaszy potrzebny trójkąt. Za pomocą tego samego, co uprzednio, kleju zespolił grube płótno z masztem i ładującą się wciąż matą. Prymitywna żaglówka była prawie gotowa. Musiał jedynie poczekać, aż jej akumulatory wykażą stan pełnej mocy.

Szykując się dalej do szalonej wyprawy, zgarnął na wszelki wypadek kilka sprasowanych koncentratów spożywczych i poupychał je w wolnych kieszeniach munduru. Parę chwil spędził też na kompletowaniu broni. Po namyśle zdecydował, że weźmie ze sobą dwa promienniki i łączny zapas dziesięciu ogniw energetycznych. Nie przewidywał konieczności prowadzenia ostrzału podczas planowanej podróży. Prawdopodobieństwo, że przy huraganowym wietrze jakiś tarczak wyjdzie z nory na powierzchnię, było tak nikłe, że nie brał go w ogóle pod uwagę. W późniejszych etapach realizacji niecodziennego planu użycie broni było jednak kluczowym elementem. Wolał więc być dobrze przygotowany na wszystkie ewentualności.

Kiedy wreszcie staranne przygotowania dobiegły końca, po raz ostatni zajrzał na chwilę do głównego pomieszczenia wartowni i do swego pokoju. Spędził tu kilka ładnych lat życia i o mały włos tego życia nie stracił. Kierując się ku wyjściu, mi-

nał znajdujące się po prawej pomieszczenie medyczne. Gdzie jak gdzie, ale tam akurat nie zamierzał wchodzić. Martwe, zamrożone ciała niedawnych towarzyszy spoczywały w ciemnej piwnicy i nie musiał ich oglądać. I całe szczęście, gdyż, pomijając nawet sam fakt ich śmierci, jedno było niekompletne, a drugie miało solidnie wgniecioną czaszkę. Widok pustych miejsc po dwóch zbiornikach z płynem odżywczym, choć zdecydowanie mniej traumatyczny, także nie należał do zbyt przyjemnych. Drugi Strażnik nie miał najmniejszej ochoty na tego typu wrażenia.

Mata została wreszcie w pełni naładowana. Odłączył ją od generatora i przemieścił ku wyjściu. Następnie wskoczył na nią, przywiązał się do masztu w połowie wysokości i założył gogle. Był gotów. Westchnął ciężko. Nadszedł właściwy czas na przejście choć w części kontroli nad rozwojem tajemniczych wydarzeń na Haasgardzie. Nie odwołując tego, co i tak zamierzał, odblokował elektroniczne zamki, zrzucił na podłogę wewnętrzną sztabę, po czym wykopał drzwi na zewnątrz.

Huragan jakby tylko na to czekał. Obiekt zaciekłych ataków żywiołu był do tej pory monolitem i stał niewzruszony nawet wobec najsilniejszych podmuchów. A tu proszę – nagle pojawiło się coś do wyrwania! Trzasnęły zawiasy, a drzwi, mimo że masywne, odfrunęły jak mały listek i szybko zniknęły gdzieś w oddali. Gwałtowny wiatr wtargnął do środka wartowni, syjąc dookoła piaskiem i kępami wydartej darni.

– Raz kozie śmierć! – mruknął Drugi Strażnik. Uaktywnił matę i z mocno bijącym ze strachu sercem, zaciskając bezwiednie zęby, wyprowadził ją na zewnątrz. Chwilę później stanął oko w oko z bestialską siłą żywiołu. Mężczyzna z sumiastymi wąsami odleciał w pełnym tego słowa znaczeniu.

9.

To była najbardziej szalona rzecz, jaką zrobił w dotychczasowym życiu. Wściekły podmuch wiatru szarpnął jego prozorycznym pojazdem tak nagle i mocno, że niewiele brakowało, a złamałby maszt. Na szczęście pełniąca jego funkcję rura po niebezpiecznym wygięciu się wróciła do poprzedniego kształtu. Gdyby Drugi Strażnik nie przywiązał się do niej wcześniej, nietypowa podróż zakończyłaby się zaledwie kilka sekund po rozpoczęciu. Zaadaptowane na żagiel płótno spadochronowe wydeło się do granic możliwości, jednak zespalający je z matą i masztem molekularny klej wytrzymał naprężenie. Akumulatory zasilające napęd antygravitacyjny buczały głucho, obciążone dużym poborem mocy niezbędnej do stabilizacji specyficznego pojazdu. Mogłyby pracować nawet bardzo głośno, ale przy szalejącym wietrze i tak były niesłyszalne.

Mężczyzna aż do bólu zaciskał dłonie na brzegach maty, to znów z całych sił przywierał do rurowatego masztu. Żeglował przez huragan. To było czyste wariactwo! Dał się bezwolnie nieść nieprzewidywalnemu żywiołowi. Masa jego żaglówki była niewielka. Razem z nim nietypowy środek lokomocji ważył góra sto kilogramów. Siła wiatru pchała go jednak przed siebie bez większych trudności, jakby był piórkiem lub suchym liściem. Gnał na złamanie karku, walcząc z przechyłami, czując każdy wściekły podmuch na plecach.

Pod matą z zawrotną prędkością przemykały pagórki i zagłębienia terenu, a mocno przygięte do ziemi kępy wrzosów sprawiały wrażenie, jakby kłaniały się nadlatującemu człowiekowi. W bębniącym nieustannie o płaszcz i żagiel deszczu piasku i drobnych kamyków Drugi Strażnik leciał ponad nimi niczym pan i władca dokonujący inspekcji swych rozległych wło-

ści. Mimowolnie uśmiechnął się na tę myśl. Może rzeczywiście był panem i władcą? Przecież nikt nigdy wcześniej nie dokonał tego, co on. Nie było dotąd śmiałków, którzy odważyliby się pożeglować przez huragan. Chodzących we mgle było wielu. Znalazłoby się pewnie także kilku, którzy mieli okazję we mgle biegać, lecz tylko on jeden był żeglującym w wietrze. Spodobało mu się to określenie. Gdyby ktoś wcześniej powiedział Drugiemu Strażnikowi, że odważy się na tak szalony krok, on nie dałby temu wiary. Teraz jednak śmigał na skrzydłach wiatru z matą transportową pod sobą, pchany niesłabnącą nawet na moment siłą żywiołu. Wariactwo!

Po kilkunastu pierwszych, mocno nerwowych minutach lotu zdołał nieco ochłonąć. W dalszym ciągu musiał być bardzo czujny i szybko reagować na każdy podmuch, ale jak dotąd zarówno mata, jak i przyklejony do niej żagiel spisywały się bez zarzutu. Jego serce uspokoiło rytm przechodząc z cwału najpierw w galop, a potem w normalny kłus. Zwolnił też i wyraźnie pogłębił się jego oddech, dzięki czemu założona na twarz maska tlenowa przestała pokrywać się od środka parą. Krótkie spojrzenie na wyświetlacz gogli upewniło go, że leci w pożądanym kierunku. Jego plan, choć szalony, był obecnie w decydującej fazie realizacji i z każdym mijanym metrem zyskiwał większe prawdopodobieństwo powodzenia.

Wrzosowiska mijane w zawrotnym pędzie zlewały się w wielkie, falujące fioletowe morze, które rozciągało się jak okiem sięgnąć. Aż po horyzont nie było widać niczego innego. Pokonywał jeden pagórek za drugim, zostawiając kolejne łąki za sobą. Momentami miał wrażenie, że lata w kółko, jednak kontrolny rzut oka na zmieniające się na wyświetlaczu dane szybko przywracał poczucie kierunku. Zgodnie z przewidywaniami niestrudzony wiatr popychał jego matą żagłówkę do-

kładnie tam, dokąd zamierzał dotrzeć. Systematycznie przybliżał się do celu.

W połowie drogi przeleciał nad dużym jeziorem. Wiatr przegnał spowijający je zazwyczaj żółtawy opar, ukazując w całej okazałości zmarszczoną falami, ciemnozieloną powierzchnię. Mężczyzna z sumiastymi wąsami mocniej przyłgął do masztu. Upadek w gęstą, oleistą toń nie dawał mu praktycznie żadnych szans na przeżycie. Szczęśliwie przemknął nad zbiornikiem bez szczególnych problemów i zostawił go za sobą bez żalu. Chwilę później dwa kolejne, wyraźnie mniejsze, także umknęły w tył.

Znów leciał nad wrzosowiskami. Widok przygiętych podmuchami krzaków przywitał z niekłamaną ulgą, choć zdawał sobie sprawę, że przy obecnej prędkości upadek na nie również mógłby się źle skończyć. Pewnie nie zginąłby od razu, ale niewątpliwie musiał liczyć się z ryzykiem doznania kilku złamań. Wolał jednak taką perspektywę niż powolne opadanie na dno w błotnistej, cuchnącej brei.

Odegnął ponure myśli, koncentrując się maksymalnie na locie. Wolał zbytnio nie rozpraszać się dumaniem o niewesołym końcu niezwyklej podróży. Śmigał nad chłostaną wichrem powierzchnią planety, pokonując kolejne kilometry, a wyświetlane na wewnętrznej stronie gogli wskaźniki systematycznie zmieniały wartości. Po niecałych dwóch godzinach szaleńczej podróży minął pierwszą sondę meteorologiczną należącą do obszaru patrolowego docelowej wartowni. Był coraz bliżej celu, a jego plan wchodził w najbardziej niebezpieczną i nieprzewidywalną fazę.

W pierwszej kolejności musiał zmniejszyć prędkość lotu. Wcześniej długo myślał, jak tego dokonać. Idealne rozwiązanie powyższego problemu być może istniało, nie wystarczyło mu jednak czasu na jego znalezienie. Postanowił wdrożyć w

życie pomysł, który ze wspomnianym wcześniej idealnym rozwiązaniem niewiele miał wspólnego. Odbezpieczył promiennik i ściskając go ze wszystkich sił w celu zmniejszenia drżenia rąk, nacisnął spust. Czerwona smuga błyskawicznie oddzieliła część żagla i masztu w jednej czwartej ich wysokości. Odcięta powierzchnia nośna okazała się jednak zbyt mała, gdyż prędkość lotu zmniejszyła się tylko nieznacznie. Przyszła więc kolej na bardziej drastyczne posunięcie.

Drugi promień lasera skrócił maszt do połowy. Wolny koniec żagla załopotał wściekle, jakby w proteście przeciw tak bezceremonialnemu traktowaniu. Mata transportowa jednak wyraźnie zwolniła, zmniejszył się też pułap jej lotu. Mimo redukcji tych dwóch parametrów mężczyzna w dalszym ciągu nie był zadowolony ze swoich dokonań. Nadal śmigał nad wrzosowiskami zbyt szybko i na zbyt dużej wysokości, żeby zeskoczenie z nietypowego środka lokomocji okazało się w miarę bezpieczne. Prawdę mówiąc, niezwykle okoliczności podróży nie rokowały nadziei na to, aby w jakimkolwiek momencie zeskok obył się bez przykrych konsekwencji. Niżej zaś lecieć nie mógł. Generowane przez urządzenie pole antygravitacyjne miało swoje ograniczenia i był to czynnik całkowicie od niego niezależny. Pozostawała więc dalsza redukcja prędkości.

Ryzykując utratę równowagi, ściał laserem kolejną część masztu i żagla. Powierzchnia nośna prowizorycznego pojazdu stała się dzięki temu niewiele większa od jego mocno przygiętych ku przodowi pleców. Zwolnił, choć wciąż nie tak bardzo, jakby tego pragnął. Minał drugą sondę meteorologiczną. Oznaczało to, że jest zbyt blisko celu, aby pozwolić sobie na jakąkolwiek zwłokę. Spojrzał w dół. Wrzosowisko przemykało pod nim w tempie przyprawiającym o oczopląs. Musiał zeskoczyć z maty. To był najłabszy punkt jego planu. Od tego, jak

zniesie upadek, zależało powodzenie całej reszty. Powodzenie, a więc i jego przeżycie. Nie miał czasu na ponowne rozważanie wszystkich za i przeciw.

Dojrzał zbliżające się szybko zagłębienie terenu i podjął decyzję. Rozciął opasujący go dotąd na wysokości bioder sznur i puścił obejmowany kurczowo, mocno skrócony maszt. Chwilę później zsunął się z maty. Z całych sił starał się zamortyzować upadek zarówno rękoma, jak i nogami. Odruchowo podkurczył kończyny i napiął wszystkie mięśnie, mimo to siła uderzenia o ziemię była ogromna. Głucho jęknął, gdy jego ciało z impetem gruchnęło o twardą powierzchnię. Uderzył głową o kamień i stracił przytomność. Wściekle poddmuchy wiatru przeturlały bezwładne ciało kilkakrotnie, zsuwając je ostatecznie w płytką bruzdę pomiędzy dwoma pagórkami.

Zauważone wcześniej niewielkie wklęsnięcie terenu uratowało mu życie. Zaległ w nim na brzuchu z szeroko rozrzuconymi rękoma. Z głębokiego rozcięcia na czole przekrzywionej na bok głowy spływała obficie krew. Spychane wiatrem krople utworzyły na całej twarzy szybko zasychający, makabryczny wzór.

Haasgard nie był łatwym przeciwnikiem. Człowiek rzucił mu wyzwanie i przez długi czas prowadził wyrównaną walkę. W końcu jednak szalejący wokół żywioł zdobył przewagę. Drugi Strażnik leżał nieprzytomny, zdany całkowicie na jego łaskę. Wiatr bezsprzecznie wygrał zmagania, a w jego zawodzeniu dawały się słyszeć nuty szyderczej ironii i naśmiewania się z pokonanego właśnie śmiałka. Aby udokumentować zwycięstwo, kolejne poddmuchy ciskały w nieprzytomnego człowieka piaskiem, kamykami, kępami wrzosów i wydartej darni. Wkrótce leżący na brzuchu mężczyzna przykryty został ich cienką warstwą. Na Haasgardzie znów był tylko jeden prawowity pan i władca. Huraganowy wiatr udowodnił swe odwiecz-

ne prawa do tronu, zaś mały i kruchy w porównaniu z nim uzurpator odpłynął w niebyt.

W oddali znikąca bezlitośnie tarמושona na wszystkie strony antygrawitacyjna mata transportowa. Będąca na wy-czerpaniu akumulatory nie mogły sprostać zadaniu stabilizowania toru lotu. Zabuczały przejmująco w ostatnim zrywie mocy, po czym skotłowane zupełnie urządzenie zmieniło się w mknący po niebie z zawrotną prędkością, bezwładny latający dywan.

10.

Nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny. Mogła to być zaledwie godzina, ale równie dobrze cały dzień. Pierwsze wrażenia po powrocie do rzeczywistości nie były przyjemne. Bolała go każda część ciała, a w uszach szumiało głośno i przejmująco. Dopiero po chwili zorientował się, że słyszy wiatr wiejący wciąż z niezmordowaną siłą. To było dziwne. Słyszał szalejący huragan, ale nie czuł żadnego z jego podmuchów. Jak to możliwe? Chwilowo nie potrafił wyjaśnić niezwykłego zjawiska.

Miał duże trudności ze skupieniem uwagi, a wolno przepływające przez umysł nieskładne myśli nie dawały się okiełznać i ukierunkować. W nieustannym hipnotyzującym szumie wichru błędził duszą po innych planetach i nieistniejących światach, zarówno w przeszłości, jak i w czasie, który mógłby nadejść za tysiąc lat. Jego jaźń wielokrotnie rozpadała się i mozolnie scalała z powrotem, a łańcuch tych procesów wydawał się nie mieć końca. Po trudnym do sprecyzowania czasie Drugi Strażnik ponownie zasnął.

Kiedy znów odzyskał przytomność, jego myśli były bardziej jasne i przejrzyste. W przeciwieństwie do poprzedniego razu, który pamiętał jak przez mgłę, teraz nie miał problemów ze skupieniem uwagi. W pierwszej kolejności zajął się sobą. Poruszył palcami rąk i stóp. Udało mu się, choć miał wrażenie, że przy wykonywaniu tej czynności musi pokonać trudny do określenia zewnętrzny opór. Spróbował unieść głowę. Z tym było o wiele gorzej. Koszmarne zawroty, będące konsekwencją nieudolnych poczynań, na jakiś czas skutecznie odebrały mu chęć do dalszych prób. Nie potrafił też otworzyć oczu. To było najbardziej niepokojące ze wszystkiego. Co z tego, że przeżył szaleńczy lot na zaopatrzonej w prowizoryczny żagiel macie transportowej? Co z tego, że udało mu się zrealizować najbardziej niebezpieczną część planu, skoro stracił wzrok? A może wcale nie stracił?

„Kurwa!” – zaklął w duchu, chwytając się nikłej nadziei. „Rusz się, człowieku!”.

Zmobilizował się najbardziej, jak potrafił, i zaczął działać. Zaciskając ze wszystkich sił zęby, starał się ignorować kolejne fale upiornych zawrotów głowy i towarzyszący im nieustannie ból, docierający praktycznie z każdej części ciała. Najpierw przyciągnął do głowy szeroko dotąd rozrzucone ręce. W trakcie tej czynności coś przesypywało mu się pomiędzy palcami. Było suche, drobne i znajome.

„Piasek!” – nagłe olśnienie wlało w mężczyznę nowe siły, które prawie zupełnie uspokoiły zawroty, a dolegliwości bólowe odsunęły na dalszy plan. – „A więc udało mi się dostać do tej bruzdy pomiędzy pagórkami!” – pomyślał, nie pamiętając, że bardziej spadł, niż zeskoczył z maty. Nie był świadom faktu, iż obecność w płytkim zagłębieniu terenu zawdzięcza jedynie sile wiatru.

„Jestem przysypany!” – to była kolejna myśl. Mocno wystraszony tym odkryciem, pomacał dłońmi okolice głowy. Nerwowo gmerające palce trafiły na gęstą sieć splątanych krzaków wrzosów. Nie potrafił wymacać jej granic. Przykrywała go szczelnie, niczym całun. Wszystko wskazywało na to, że to właśnie przez nie został kompletnie zasypany. Pod specyficznym pokryciem pozostała wąska przestrzeń wypełniona powietrzem. Jego jakość pozostawiała wiele do życzenia, ale mężczyzna z sumiastymi wąsami nie wybrzydzał. Haust najgorszej nawet stęchlizny zawsze był lepszy od braku możliwości wykonania oddechu.

Szcęście najwyraźniej mu sprzyjało. Najpierw zwycięsko wyszedł z nieudanej próby uduszenia w wartowni. Potem, wbrew wyjątkowo niekorzystnemu rachunkowi prawdopodobieństwa, przeżył szalony lot i upadek z prowizorycznej żaglówki antygravitacyjnej. Był pierwszym i najprawdopodobniej jedynym człowiekiem, który żeglował pośród huraganu na Haasgardzie. Przyszedł jednak moment, aby po ochłonięciu ze wstępnych, pozytywnych wrażeń zorientować się w cenie, jaką przyszło mu zapłacić za to niezwykle doświadczenie.

Powoli i ostrożnie, posykując często z bólu, poruszał nogami, wyswobadzając je z naniesionego przez wiatr piasku. Mając w miarę wolne kończyny, spróbował wyczołgać się spod przykrywającej go wrzosowo-ziemnej kołdry. Wbrew pozorom nie było to łatwe zadanie. Stracił dużo czasu, klnąc co chwila w myślach na czym świat stoi. Mozolne zmagania zwieńczone zostały wreszcie pełnym sukcesem. W dalszym ciągu nie mógł jednak otworzyć oczu. Usiadł, krztusząc się wzbitym kurzem i pyłem, kuląc głowę w ramionach przy każdym silniejszym podmuchu wiatru. Ostrożnie, zarówno z wielką obawą, jak i nadzieją, dotknął palcami twarzy. Poczuł, że pokrywa ją szorstka skorupa, która kruszyła się nawet przy niewielkim ucisku.

„Krew!” – doszedł do jedyne go w tej sytuacji, logicznego wniosku i głośno odetchnął z nieklamana ą ulgą. Znał już przyczynę swej ślepoty. Fakt, że okazała się ona tak prozaiczna, tak łatwa do usunięcia, sprawił, że zachciało mu się płakać ze szczęścia. Odwrócił się plecami do szarpiących jego podartym w wielu miejscach płaszczem podmuchów wiatru i czym prędzej przetarł oczy. Dzięki temu wszechobecny pył wraz z resztkami zakrzepłej krwi dostały się pod powieki. Mężczyzna z sumiastymi wąsami zaczął łzawić tak mocno, jakby rzeczywiście płakał. Siedział tak blisko kwadrans, patrząc na ciemne od grubej warstwy brudu ręce i nie lepiej wyglądający mundur. Spływające po policzkach łzy żłobiły jasne bruzdy w pokrywających je krwi i pyłe, przy okazji nadając jego twarzy upiorny wygląd.

Czynnikiem, który wreszcie wyrwał go z przedłużającego się otępienia, był wiatr. Jego gwałtowne dotąd podmuchy wyraźnie zmniejszyły natężenie, stawały się coraz mniej dokuczliwe, a ich siła systematycznie słabła. Zestawienie tych spostrzeżeń stanowiło bardzo optymistyczny prognostyk. Szalejący huragan skutecznie blokował możliwość przejścia do realizacji następnej fazy planu i stawiał Drugiego Strażnika w bardzo niekorzystnej sytuacji. Był o krok od celu, nie mógł jednak niczego zrobić. Wyjście z prowizorycznej kryjówki w zagłębieniu pomiędzy pagórkami równało się samobójstwu. Pozostawało więc czekanie, aż żywioł zmęczy się, wyciszy i wreszcie ustanie. Obok zeskoczenia z maty transportowej był to niestety następny bardzo słaby punkt szalonego planu. Czas przymusowej bezczynności w żaden sposób nie dawał się przewidzieć nawet w przybliżeniu. Huragan potrafił wiać bardzo długo. Najlepszym tego przykładem był brzemienny w skutki atak żywiołu, który trwał aż trzy tygodnie. Jednak kolejny raz w

krótkim czasie szczęście uśmiechnęło się do właściciela sumiastych wąsów.

Wiatr wyraźnie słabł. Coraz mniej podmuchów docierało do zagłębienia i wszystko wskazywało na to, że w przeciągu godziny, może dwóch, po nieokiełznanym żywiole nastanie upragniona cisza. Ta świadomość spowodowała kolejny napływ sił. Po niedawnych nieprzyjemnych zawrotach głowy nie było nawet śladu, a ból, choć wciąż obecny, nie dokuczał aż tak bardzo. Drugi Strażnik ponownie przystąpił do działania.

Wygrzebał z naniesionego przez wiatr piasku jeden z większych krzaków wrzosu i używając sztywnych, grubych łodyg, zaczął ryc w ziemi. Przerzucał zwały suchych, sypkich kamyków i kęp darni w poszukiwaniu elementów wyposażenia. Od efektów poszukiwań zależało jego przeżycie. Po pierwsze, musiał odnaleźć promiennik. Ustanie wiatru było równoznaczne z powrotem aktywności tarczaków. Wobec zagrożenia z ich strony nie uszedłby bez broni nawet stu metrów. W drugiej kolejności zależało mu na zapasowych ogniwach energetycznych. Krwiożercze stworzenia były w ostatnim czasie wyjątkowo agresywne i przede wszystkim liczne. Jedno ogniwo, używane nawet najbardziej oszczędnie, stawało się wobec tej perspektywy niewystarczającym zabezpieczeniem. Dopiero na trzecim miejscu wśród poszukiwanych elementów wyposażenia znalazły się sprasowane racje żywnościowe. Mężczyzna nie był w stanie określić, jak długo leżał nieprzytomny, niemniej czas ten musiał być spory, bo ssanie odczuwane w żołądku dokuczało mu jak nigdy dotąd. Wszystkie decydujące o powodzeniu rzeczy przywiązał zawczasu do siebie, a koncentraty spożywcze powtykał w kieszenie munduru. Mimo tego, że były one rozdarte i puste, a poprzecierane troki smętnie powiewały w podmuchach słabnącego wiatru, był dobrej myśli co do

ostatecznych efektów pospiesznego rycia w ziemi. Cenne zguby nie mogły znajdować się daleko.

Najpierw odkopał gogle. Początkowo bardzo go to ucieszyło, lecz bliższe oględziny wykazały, że urządzenie było bezużyteczne. Jeden okular został stłuczony, a drugi, mimo usilnych starań, nie dawał się uaktywnić. Zniszczony przedmiot odrzucił na bok, po czym jeszcze bardziej intensywnie przekopywał pokłady haasgardzkiej ziemi. Skutkiem tego było odnalezienie promiennika. Mocno zakurzona broń po oczyszczeniu z piasku i pyłu okazała się w pełni sprawna i fakt ten należało potraktować jako kolejny uśmiech szczęścia.

Po kwadransie spod wietrznego nanosu wydobył także kilka racji żywnościowych. To na chwilę przerwało przewalanie piachu z miejsca na miejsce. Drugi Strażnik pospiesznie otrzepał z pyłu brudne ręce, a sprasowaną kostkę spożywczego koncentratu włożył z ulgą do ust. Niejednokrotnie w przeszłości krzywił się niemiłosiernie, mając w perspektywie posiłek składający się ze standardowych racji. Twierdził stanowczo, że pozbawione jakiegokolwiek smaku kostki najlepiej nadawały się na rozpałkę do ogniska i wyłącznie takim celem powinny służyć. Obecnie smak przeżuwanej masy był najwspanialszy na świecie. Przyszła mu do głowy myśl, że kryzysowa sytuacja potrafi diametralnie odmienić gusta. Po chwili wzruszył ramionami. Nie miał czasu na zastanawianie się nad zależnymi od okoliczności zmianami własnych preferencji smakowych. Takie filozofowanie nie mogło mu przynieść żadnego pożytku. Losy pierwszej racji żywnościowej podzieliła druga i na tym zakończył się szybki, skromny posiłek.

Wzmocniony nim mężczyzna zdwoił wysiłki, tym bardziej że wiatr ustał już prawie zupełnie. Gdy wyprostował się, czuł jeszcze jego słabe podmuchy. W zagłębieniu zaś, kiedy na kolanach rył w suchej ziemi, powietrze stało praktycznie nieru-

chomo. Zbliżała się chwila, w której powierzchnia Haasgardu miała spłynąć strugami deszczu. Drugi Strażnik wolał zakończyć poszukiwania w suchych warunkach, zanim wszystko w obrębie niewielkiego zagłębienia zmieni się w błotniste bajoro. Poza tym czas był najwyższy, gdyż po intensywnych, choć krótkotrwałych opadach szybko podnosiła się mgła i powracały tarczaki. Był, co prawda, uzbrojony, ale zdawał sobie sprawę, że niewystarczająco. Przewieszony przez ramię, gotowy do użycia w każdej chwili promiennik bez dodatkowych ogniw energetycznych nie gwarantował bezpieczeństwa na dłuższą metę.

Pesymistyczne przewidywania Drugiego Strażnika sprawdziły się zaskakująco szybko. W założeniach opierał się na dotychczasowych obserwacjach, zapominając, że Haasgard był światem całkowicie nieprzewidywalnym. Powinien domyślić się, że jego rdzenni mieszkańcy z makabryczną tarczą na grzbiecie wymkną się poza sztywne ramy jakichkolwiek reguł. Sądził, że ma jeszcze trochę czasu do pierwszego z nimi spotkania, i to okazało się niebezpiecznie mylnym założeniem. Tarczaki wyszły z podziemnych nor, jeszcze zanim spadł deszcz i uniosła się mgielna zasłona. Do momentu odkopania zapasowych ogniw energetycznych zmuszony był użyć broni trzykrotnie. Za pierwszym razem chybił, wyraźnie zaskoczony tak wczesnym, w porównaniu z oczekiwaniami, pojawieniem się krwiożerczej bestii. Później, pomny nauzki, kopał w ziemi wolniej i bardziej ostrożnie, uważnie obserwując bezpośrednie otoczenie w poszukiwaniu kolejnego zagrożenia. Dwa następne stworzenia, które pojawiły się w zasięgu wzroku, uśmiercił pojedynczymi strzałami, nie dając im nawet najmniejszych szans na atak. Na Haasgardzie nie obowiązywały żadne zasady, o postępowaniu fair play nie wspominając. Nie miał więc

wyrzutów sumienia. Najzwyczajniej w świecie zamierzał przeżyć te nierówne zmagania.

Wreszcie jego palce natrafiły na upragnione, obłe kształty zapasowych ogniw. Przedłużające się poszukiwania miały szczęśliwy finał. Była ku temu najwyższa pora, gdyż o plecy i głowę pochylonego człowieka zabębniły pierwsze ciężkie krople deszczu. Drugi Strażnik, wciąż zachowując czujność, usiadł, podkurczając nogi, i narzucił na siebie mocno sfatygowany płaszcz maskujący. Skomplikowane urządzenie zostało rozdarte w kilku miejscach, a jego całkowicie wyczerpane elementy zasilania uniemożliwiały zlanie się z otoczeniem. Jako osłona przed deszczem sprawdzał się doskonale.

Tym razem zgodnie z przewidywaniami padało mocno, ale krótko. Zaledwie po kwadransie opad ustał, a nad mokrymi wrzosowiskami pojawiły się pierwsze, rzadkie jeszcze pasma mgły. Były lekkie i delikatne, jednak z każdą mijającą chwilą gęstniały w oczach i wzrastała ich ilość. Dopiero teraz zaczęła się naprawdę ostra jazda.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami poradziłby sobie z dodatkowym utrudnieniem, mając na oczach działające gogle. Teoretycznie nawet nieznany teren, przy zachowaniu wszystkich środków ostrożności i uaktywnionych systemach skanowania otoczenia, można było przejść w miarę bezpiecznie i bez większych problemów. Kilku okaleczonych przez tarczaki członków Gildii, których zwiodła ta pozorna łatwość, miało na ten temat zupełnie odmienne zdanie. Drugi Strażnik nie zamierzał lekceważyć zagrożenia, tym bardziej że zniszczone gogle nie nadawały się do użytku. Musiał poradzić sobie bez nich.

W tej sytuacji kluczową sprawą było to, gdzie stawiał każdy następny krok. Pozbawiony elektronicznego wspomaganie mógł liczyć wyłącznie na własny wzrok, a ten nie był w

stanie przebić się przez mgłę. To, że lada moment spowie ona całe wrzosowiska gęstym białym całunem, nie ulegało wątpliwości. Wraz z huraganowym wiatrem mgła stanowiła nieodłączny element Haasgardu.

Właściciel sumiastych wąsów nie zamierzał jednak rozczulać się nad własnym losem. Wiedział, że prędzej czy później stanie przed koniecznością opuszczenia prowizorycznego schronienia w zagłębieniu terenu. Odwlekanie tego momentu nie poprawiało w żaden sposób jego sytuacji. Postanowił więc dłużej nie czekać. Choć można powiedzieć, że niewielkiej bruździe pomiędzy dwoma pagórkami zawdzięczał życie, opuścił ją bez żalu i odszedł, nie oglądając się za siebie nawet raz.

W oddali widniała wartownia. Była bliźniaczą siostrą tej, w której do niedawna odbywał służbę. Zakładał, że wszystkie posterunki zbudowano według tego samego schematu, i właśnie przekonał się, że to podejrzenie okazało się słuszne. Przyglądał się przez moment niewielkiemu, surowemu w wyglądzie budynkowi, upewniając się na wszelki wypadek w położeniu okien i drzwi. Wnikliwa obserwacja nie trwała jednak dłużej niż pół minuty. Po jej upływie zdecydowanie, choć w dalszym ciągu bardzo ostrożnie, ruszył przed siebie.

Przypomniał sobie, że podczas szalonego lotu na transportowej macie minął dwie sondy meteorologiczne. Oznaczało to, że między nim a celem znajdowała się jeszcze jedna. Musiał unieszkodliwić ją zawczasu – im szybciej, tym lepiej. Oczywiście skomplikowane urządzenie mogło ulec uszkodzeniu podczas zakończonego dopiero co huraganu, ale nie mógł mieć w tej kwestii żadnej pewności. Wolał nie ryzykować przekazania do wartowni niecodziennych danych, których byłby źródłem. Nie zamierzał alarmować załogi, a nieopatrzne zbliżenie się do wciąż działającej sondy byłoby dużą nieostrożnością. Niewiele różniłoby się od załomotania w drzwi z głośnym

CHODZĄCY WE MGLE

okrzykiem: „Ho, ho, ho! Z prezentami dla Strażników przyszedł Święty Mikołaj!” i zapytania, czy wszyscy byli grzeczni podczas ostatniego patrolu. Zaszedł już zbyt daleko, aby pozostawić coś przypadkowi. Będąc tak blisko celu, nie mógł pozwolić sobie na pominięcie jakiegokolwiek szczegółu.

Wypatrzył czujnik sto metrów dalej. Jego kulista głowa wsparta była na szerokiej podstawie, niknącej gdzieś głęboko w ziemi. Skierował trzymany wciąż w ręku odbezpieczony promiennik ku nowej, zdecydowanie odmiennej niż dotychczas ofierze. Wąska lufa rzygnęła jaskrawoczerwoną energią, a meteorologiczny przekaźnik przestał istnieć chwilę później, stopiony w bezkształtną masę. Wkrótce po tym jego losy podzieliły dwa tarczaki, których łby wychyły z pobliskich nor i ukazały się nad powierzchnią. Mężczyzna z sumiastymi wąsami bez jakiegokolwiek widocznej na twarzy emocji przekroczył dymiące truchła, kontynuując marsz ku wartowni.

Trasa wędrówki jeszcze w wielu miejscach upstrzona została podobnymi pamiątkami, a w trzech innych wzbogaciły ją porzucone zużyte ogniwa energetyczne. Punkt docelowy był bardzo blisko. Drugi Strażnik dobrze pamiętał, jak wcześniej sam wielokrotnie spoglądał przez panoramiczne okno na otoczenie wartowni tuż po huraganie. Ktoś mógł zachowywać się podobnie. Nie szedł, co prawda, na wprost wielkiej szklanej tafli, był jednak w zasięgu wzroku potencjalnego obserwatora. Nie zamierzał dać się zobaczyć, więc dalszą część drogi postanowił przebyć na brzuchu. Położył się ostrożnie na ziemi i ignorując ból docierający z różnych partii ciała, popętlął do przodu z bronią gotową w każdej chwili do użycia. Tempo przemieszczania się wyraźnie zmalało. Było to o tyle niekorzystne, że z każdą upływającą minutą gęstniała siwa mgła. W nowej pozycji przestawał być dzięki niej widoczny, jednak białawy opar znacząco redukowało także jego bezpieczeństwo. „Jeszcze

CHODZĄCY WE MGLE

chwile!” – błagał w myślach nieprzezierną, rozszerzającą się nieubłagane zasłonę. „Daj mi szansę!”.

Przyspieszył tak bardzo, jak tylko pozwalały na to niezbędne środki ostrożności. Nie mógł w końcu całkowicie z nich zrezygnować. Perspektywa bliskiego kontaktu z morderczym grzbietem tarczaka skutecznie tłumiła wszelką ochotę na jakiegokolwiek brawurowe popisy. Mimo że był środek dnia i na haasgardzkim niebie ponownie zaświeciło blade słońce, pole widzenia pełnącego na brzuchu mężczyzny stopniowo malało. Właściciel sumiastych wąsów był bezsilny wobec powyższego faktu. W pełni zadawał sobie sprawę z tego, że z każdą upływającą minutą stawał się coraz bardziej narażony na atak rdzennych mieszkańców nieprzyjaznej planety. Równie bolesna była świadomość, że krwiożercze bestie czuły się we mgle wręcz doskonale. Stanowiła w końcu odwieczny element ich naturalnego środowiska życia. Gęsty mlecznobiały opar umożliwiał im pełną aktywność i rozwinięcie wszystkich morderczych instynktów. Drugi Strażnik miał już niejedną okazję, by przekonać się, że tych było niemało.

Pełził przed siebie z duszą na ramieniu, widząc coraz mniej i bojąc się coraz bardziej. Kilkakrotnie zamajaczyły niewyraźnie gdzieś z boku cienie, jeżąc mu włosy na głowie. Były cholernie blisko! Wystrzelił ku nim bez żadnego wahania. Trudno stwierdzić, jaka była skuteczność tego panicznego ostrzału, ale przynajmniej raz poczuł swąd zwęglonych dopiero co tkanek. Związane z tym uczucie satysfakcji trwało jednak krótko, bo wobec wciąż gęstniejącej mgły stanowiło jedynie niewielkie pocieszenie. Poza tym zdesperowany człowiek nie mógł pozwolić sobie na to, żeby cokolwiek rozproszyło jego napiętą do granic możliwości uwagę.

W końcu stracił orientację i w obawie przed zabłądzeniem odważył się na ryzykowne posunięcie. Narażając cały plan na

zniweczenie, postanowił wyrzeć ponad spowijający go opar. Ostrożnie i powoli wystawił głowę ze swej nietypowej kryjówki. Wartownia oddalona była o nieco ponad sto metrów. Podczołgał się jeszcze trochę w jej kierunku, po czym przewrócił się na plecy i leżąc z szeroko rozrzuconymi rękoma, głęboko odechnął. Zmęczenie psychiczne ostatnim etapem podróży znacznie przewyższało fizyczne. Dopadło go bezlitośnie chwilę później, powodując, że drżał na całym ciele, a z piersi wydobył mu się trudny do zdefiniowania szloch. Spod powiek popłynęły jedna za drugą łzy. Nie wiedział, dlaczego płacze. Ze szczęścia? Z ulgi? Ze złości? Równie dobrze mógł płakać z powodu wszystkich wymieszanych doznań jednocześnie. Nic jednak nie zmieniało faktu, że chwilowo był bezpieczny. W promieniu zbawczych stu metrów teren wokół wartowni był specjalnie utwardzany. Tarczaki nie zapuszczały się tu nigdy. Nawet nowe, większe i niebojące się dziennego światła bestie omijały tę strefę z daleka. Miał tyle czasu na odpoczynek, ile tylko zapragnął.

Wkrótce po tym, jak trochę się uspokoił i otarł rękawem łzy, przyszła kolej na falę euforii. Chciał krzyczeć z radości, że mimo wielkiego niebezpieczeństwa i różnorodnych przeciwności dotarł aż tutaj. Dokonał czegoś niezwykłego i był w pełni świadom tego faktu. Tym razem był jednak bardziej opanowany i nie pozwolił sobie na werbalne przejawy własnego zadowolenia. Uniósł, co prawda, do góry zaciśniętą w triumfalnym geście pięść, ale nie wydał żadnego zwycięskiego okrzyku i cały czas uważał, aby jego zgięte palce nie uniosły się ponad biały całun. W prawie idealnej ciszy, jaka nastąpiła po huraganowym wietrze, mógłby zostać zarówno usłyszany, jak i zobaczony. Był zbyt blisko celu, aby pozwolić sobie na zdemaskowanie.

Leżał więc dalej na plecach, zagryzając brudną, zaciśniętą pięść, i z wciąż łzawiącymi lekko oczami gapił się w wolno su-

naące nad nim kłęby mgły. Jego wykrzywiona, pokryta zakrzepłą krwią i brudem, poślóbia bruzdami od łez twarz wyglądała upiornie. Nikt jednak w owej chwili nie mógł jej zobaczyć.

Nie pamiętał, ile czasu tak przeleżał. Długo zbierał się do dalszych działań. Napędzający go dotąd wysoki poziom adrenaliny opadł. Wrócił ból, a potworne zmęczenie otępiało. Podniesienie ręki, nawet otworzenie oczu wymagało sporego wysiłku i zaangażowania całej woli. W końcu zmusił się jednak, bo przecież nie mógł w nieskończoność leżeć na plecach. Ponownie przekręcił się na brzuch i zaczął pełznąć dalej. Chwilę później jego palce natrafiły na chłód cienkiej, stalowej liny. Liny, która w razie silnego wiatru umożliwia powracającemu z patrolu Strażnikowi dotarcie do bezpiecznego miejsca. Tym razem miała spełnić podobne zadanie, choć na zewnątrz wartowni nie szalał huragan. Żaden z członków załogi nie spodziewał się też powrotu kogokolwiek ani tym bardziej odwiedzin. Na tej planecie Strażnicy nie chodzili w gości. Nikt nie uruchomił więc wyciągarki, ale mimo to mężczyzna z sumiastymi wąsami wytrwale przesuwał się ku dającym azyl ścianom budynku. Sunął powoli na brzuchu na wzór wielkiego, brzydkiego ślimaka i od czasu do czasu, aby nie zboczyć z właściwego kursu, sprawdzał po omacku położenie stalowego drutu. Otaczające go zewsząd mleczne kłęby zgęstniały tak, że nie widział już niczego. Był ślepcem we mgle. Nawet tak niesprzyjające okoliczności nie mogły przeszkodzić mu w dotarciu do upragnionego celu.

Kiedyś chodził we mgle. Później biegał w niej. Przez krótki, szalony czas żeglował w huraganie. Aktualnie był pełznącym we mgle. Ile jeszcze ról przyjdzie mu odegrać, zanim rozwiąże zagadkę Haasgardu? Nie wiedział. Był natomiast pewien jednej rzeczy – odegra ich tyle, do ilu zostanie zmuszony. Z zaciśniętymi zębami pokonał wzdłuż stalowego przewodnika

ostatnie metry dzielące go od surowych murów obcej wartowni.

11.

Zimna, szorstka powierzchnia muru przyjemnie chłodziła rozgrzane, pokryte potem, brudem i zakrzepłą krwią czoło. Drugi Strażnik oparł się o ścianę wartowni w miejscu, w którym był niewidoczny dla stacjonujących w niej członków załogi. Chwilowo musiał pozostać w ukryciu. Jego dotychczasowe dokonania zasługiwały na miano prawdziwego cudu. Przeżył zamach przełożonego i wyszedł cało, choć poobijany, z szaleńczego lotu na transportowej macie. Potem pełził we mgle pośród tarczaków bez żadnego elektronicznego wspomagania. Mogłoby się wydawać, że wyczerpał całkowicie przydziałowy limit szczęścia. Nie podzielał tej opinii, ale będąc tak blisko celu, nie zamierzał zostawiać czegokolwiek przypadkowi.

Najłatwiej byłoby zapukać do drzwi i wyjaśnić swe przybycie w prawdziwy bądź zmyślony sposób. Nie mógł być jednak pewien, czy dowódca wartowni nie otrzymał rozkazów podobnych lub nawet takich samych jak nieżyjący dowódca. Być może w tej sytuacji on również byłby skłonny zabić swych podkomendnych, aby rozwój wypadków nie wymknął się spod kontroli. Niespodziewane pojawienie się Strażnika z placówki oddalonej o ponad sto kilometrów z pewnością mogło zaalarmować. Wobec takich faktów dość prawdopodobna stawała się perspektywa kolejnego zamachu na życie przybysza. To z kolei skutecznie eliminowało pozornie najłatwiejsze rozwiązanie problemu.

CHODZĄCY WE MGLE

Mężczyzna z sumiastymi wąsami zakładał, że skoro wszystkie wartownie funkcjonowały według tych samych zasad i realizowały identyczne zadania, wyjście Strażników na pierwszy po ustaniu huraganu patrol było kwestią czasu. Wiatr ustał, podniosła się mgła, tajemniczy Haasgard zmienił się z nieokiełznanej bestii w leniwie odpoczywającego, choć wciąż groźnego potwora. W ciągu nadchodzącej godziny, góra dwóch, powinien wyruszyć patrol. W wartowni pozostać miał tylko jeden Strażnik. Wyłącznie jeden przeciwnik, którego należało wywieść w pole. To była optymistyczna wersja wydarzeń.

Właściciel sumiastych wąsów, jeszcze zanim wyruszył w podróż w huraganie, zastanawiał się nad tym, co ma zrobić, gdy uda mu się dotrzeć do celu. Zamienienie się miejscami z patrolującym okolicę Strażnikiem stanowiło kuszącą perspektywę. Miała ona jednak pewną istotną niedogodność – była mianowicie niemożliwa do zrealizowania. Uzbrojony, wyposażony w maskujący płaszcz i monitorujący wskaźniki wszelkich, możliwych alarmów człowiek nie dawał się podejść niezauważenie. Można było go oczywiście zastrzelić z pewnej odległości, ale to z kolei wiązało się z unieruchomieniem martwego ciała przez pewien czas. Zanim potencjalny zabójca dotarłby do swej ofiary i odebrał jej radiolokalizator, dyżurujący w wartowni członek załogi zapewne zdążyłby zauważyć nieplanowany postój kolegi. Bardzo prawdopodobne było też, że w tej sytuacji kategorycznie, wręcz nachalnie domagałby się wyjaśnienia jego przyczyn. Analizując wszystko teoretycznie i zakładając nieprawdopodobny fakt udanego podrobienia obcego, nigdy wcześniej niesłyszanego głosu, pozostawała jeszcze jedna niezwykle istotna kwestia. Po odebraniu radiolokalizatora jego nowy właściciel powinien kontynuować przerwany na chwilę patrol. Jak jednak miał to zrobić i nie wzbudzić podejrzeń, sko-

ro nie znał trasy obchodu? Nie miał przecież najmniejszego nawet pojęcia o lokalizacji punktów kontrolnych. To rozwiązanie, podobnie jak zapukanie do drzwi z prawdą lub wymyśloną uprzednio bajeczką, nie wchodziło w rachubę.

Jedyna korzyść wynikająca z patroli była taka, że dwóch, a przynajmniej jeden z przeciwników oddali się od wartowni i w ten sposób poprawi proporcję sił. To z kolei w istotny sposób wpłynęłoby na wzrost prawdopodobieństwa pomyślnej realizacji planu Drugiego Strażnika, choć nawet wobec takiego założenia nie przekraczało ono dziesięciu procent.

Mężczyzna z sumiastymi włosami siedział oparty o chłodną ścianę i jeszcze raz analizował całą sytuację, czekając cierpliwie na dalszy rozwój wypadków. Do tej pory sprzyjało mu szczęście i miał gorącą nadzieję, że może nadal na nie liczyć w decydującej rozgrywce. Zakładał, że załoga wartowni, do której zamierzał wtargnąć, była w pełni sprawna i realizowała swe zadania zgodnie z Regulaminem Gildii. Przy takim założeniu dwie osoby wychodziły na patrol, a jedna zostawała na miejscu, czuwając nad jego przebiegiem.

Nieco mniej optymistyczna wersja rozwoju wydarzeń uwzględniała małą poprawkę. Biorąc pod uwagę sytuację ostatnich dni i niespodziewany powrót olbrzymich tarczaków po rekordowo długim huraganie, można było przyjąć z pewnym prawdopodobieństwem, że jeden ze Strażników został ranny. Jeżeli jego stan był poważny, leżał zapewne w pomieszczeniu medycznym zanurzony w zbiorniku z płynem odżywczym. Nie zmieniłoby to ostatecznie stosunku sił. Na patrol wychodziłaby wówczas jedna osoba i jedna czuwała na miejscu. Gorzej sprawy mogły się mieć w przypadku, gdyby stan rannego nie okazał się poważny. Wówczas w wartowni pozostawałyby dwie osoby. Obie mogłyby trzymać w rękach promienniki i użyć ich w wiadomy sposób w sytuacji zagrożenia.

Wtargnięcie intruza do ich placówki z pewnością zasługiwało na takie miano. Drugi Strażnik, mimo tylu dotychczasowych uśmiechów losu, mógł nie przeżyć jednoczesnego ostrzału z dwóch laserowych karabinów.

Najbardziej pesymistyczna wersja wydarzeń zakładała, że dowódca wartowni zrealizował sobie tylko znane rozkazy i skutecznie wyeliminował podwładnych. Wówczas za murami na mężczyznę z sumiastymi wąsami czekałby równie bezlitosny jak tarczaki, pozbawiony skrupułów zabójca. Uzbrojony o wiele lepiej od niego przeciwnik miałby dodatkowo olbrzymią przewagę w postaci wiedzy. Znałby odpowiedzi, jeżeli nie na wszystkie, to przynajmniej na część istotnych pytań, a to stawiałoby go w o wiele korzystniejszej sytuacji. Dzięki temu jego działania nosiłyby znamiona celowości, a w porównaniu z nim zdesperowany Drugi Strażnik błędziłby jedynie po omacku. Jak rozwinie się sytuacja za szorstką, chłodną ścianą? Z kim przyjdzie mu zmierzyć się w walce o przeżycie i rozwiązanie tajemnicy Haasgardu? Odpowiedź oddalona była w czasie o godzinę, góra dwie. Biorąc pod uwagę to, ile już przeszedł, żeby się tu znaleźć, można było stwierdzić, że niewiele. Każdy medal miał jednak drugą stronę.

Narastający stopniowo, pulsujący ból głowy sprawiał, że kolejne minuty wlekły się niemiłosiernie w żółtim tempie. Potłuczone, obolałe ciało mozolnie walczyło z ogarniającym je coraz bardziej zmęczeniem, a wygrzebana gdzieś z rozdartej kieszeni munduru zapiaszczona racja żywnościowa nie przechyliła szali zmagania na żadną stronę. Żuty powoli koncentrat miał jednak ważną zaletę – zajmował i dzięki temu nie pozwalał usnąć.

Pod koniec pierwszej godziny jałowego oczekiwania Drugi Strażnik oderwał wreszcie plecy od ściany wartowni. Ostrożnie położył się na brzuchu, trzymając przed sobą broń gotową w

każdej chwili do strzału. Nie bacząc na ból obtartych kolan i łokci, zaczął się czołgać. Okrążył wartownię w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zajął mu to nieco ponad kwadrans. Ostatecznie znalazł płytkie zagłębienie terenu i zaległ w nim, celując pod kątem czterdziestu pięciu stopni w ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi budynku. Czekał. W dalszym ciągu pozostawał w promieniu stu metrów od ścian wartowni, więc nie musiał obawiać się tarczaków. Całą uwagę mógł więc skupić na tym, co działo się bezpośrednio przed nim. Jak do tej pory nie działo się absolutnie nic. Mijał czas, a niewzruszone wobec jego upływu, masywne drzwi wciąż były zamknięte na głucho.

Nikt nie wyszedł przez nie na patrol także w ciągu następnej godziny. Drugi Strażnik jeszcze raz zmusił się do chłodnej kalkulacji i mimo bolącej coraz bardziej głowy znów przeanalizował sytuację. Nie znalazł innych rozwiązań, nie doznał żadnego olśnienia. Nie miał najmniejszych nawet podstaw do tego, aby postawić sobie zarzut, że coś przeoczył, że pominął jakiś istotny szczegół. Wszystko niestety wskazywało na to, że musiał realizować najgorszy z możliwych scenariusz. Limit szczęścia najwyraźniej został wyczerpany.

Na wszelki wypadek postanowił odczekać jeszcze pół godziny. Wolał mieć stuprocentową pewność i pozbyć się z planowanych, radykalnych bądź co bądź, działań cienia fałszywej nadziei, że coś się jeszcze zmieni na jego korzyść. To mogło być niebezpiecznie złudne. Chciał zmierzyć się z rywalem będąc w pełni świadom wszystkich zagrożeń z tym związanych. Niektórych z nich nie potrafił jednak przewidzieć.

Laserowa smuga oparzyła mu boleśnie czubek głowy i zagłębiła się w ziemię tuż obok niego, stapiając piasek i kamienie w jednolitą, parującą masę. Mężczyzna z sumiastymi wąsami zasyczał z powodu nowego, wściekłego bólu i odru-

chowo odturlał się w bok. Lata intensywnych ćwiczeń fizycznych znów wzięły górę. Po fali zaskoczenia i paniki, których świadectwem było przemykające mu przez umysł krótkie pytanie: „Co jest, kurwa, grane?”, do głosu doszły zapewniające przeżycie odruchy.

Zmieniał pozycję w nieprawdopodobnym tempie, skacząc, turlając, a przez moment nawet biegnąc na czworakach. Wiedział, że jest celem, i nie zamierzał ułatwiać przeciwnikowi zadania. Pierwszy strzał chybił, ale tylko nieznacznie. Nie świadczyło to najlepiej o umiejętnościach strzelca. Snajperem z pewnością nie był, bo ktoś taki nie pozwoliłby uciec niczego niespodziewającej się ofierze, mając ją na celowniku. Drugi Strażnik żywił gorącą nadzieję, że tym razem nie pomylił się w swych założeniach. Jego szaleńcza ruchliwość sprawiała wrażenie całkowicie chaotycznej, ale to były jedynie pozory. Nieustanna, gwałtowna zmiana pozycji miała na celu sprowokowanie napastnika do oddania następnych, niecelnych strzałów. To z kolei mogło przyczynić się do ustalenia jego pozycji. Taktyka była ryzykowna i jej powodzenie zależało wyłącznie od jednego czynnika – braku wprawy strzeleckiej atakującego. Mimo tak kruchych podstaw sprawdziła się.

Dwie kolejne smugi laserowe przecięły kłęby mgły w bezpiecznej odległości od ruchliwego celu. Czwarta także szczęśliwie chybiła, choć tylko o przysłowiowy włos. Mężczyzna z sumiastymi wąsami nie zamierzał dać strzelcowi piątej szansy na poprawienie fatalnej jak dotąd skuteczności. Przetawił przełącznik promiennika na ogień ciągły i opróżnił całe ogniwo energetyczne w uprzednio ustalonym z grubsza kierunku, zataczając lufą szerokie półkole. Poszatkował mgłę bez cienia litości, kurczowo zaciskając palec wskazujący na spuście. Mimo iż nie widział przeciwnika, nasilony kontratak przyniósł oczekiwane efekty. Ponad ciche buczenie promiennika przebił

się nieludzki wręcz wrzask bólu. Pozostawała jedynie kwestia, czy rywal zginął od razu, czy też został tylko zraniony.

Drugi Strażnik zamierzał ostrożnie podczołgać się nieco w prawo i z tej właśnie strony podejść powoli przeciwnika. Nie zrealizował jednak tego planu. Kolejny czerwony promień, który sparzył mu ramię, skutecznie zmusił go do zaniechania tego zamiaru. Zaskakujący strzał padł z kierunku, którego w ogóle nie brał pod uwagę. Okazało się, że napastników było przynajmniej dwóch.

Przeklinając w duchu wściekle piekące ramię, pognął co sił do miejsca, z którego dobiegł niedawno wrzask bólu. Dopadł niefortunnego strzelca w kilkunastu susach. Ranny mężczyzna, gdy ujrzał upiornie zakrwawioną, brudną i wykrzywioną w grymasie nieokiełznanej złości twarz, która znienacka wyłoniła się z mgły, pobladł gwałtownie z nieukrywanego przerażenia. Drugi Strażnik runął na niego z całym impetem, przewrócił, a następnie pociągnął na siebie ciało ogłuszonego upadkiem rywala. Użył go jako specyficznej tarczy. Do głębokiej dziury na udzie przeciwnika dołączyły wkrótce potem dwie, jeszcze głębsze, wypalone tym razem na plecach. Zanim ranny zmarł, właściciel sumiastych wąsów zerwał mu z twarzy wirtualne gogle i pospiesznie je sobie założył. Błyskawicznie odczytał wyświetlane dane i z mściwą satysfakcją pomyślał:

„No, skurwysyny! Dopiero teraz zaczyna się prawdziwe polowanie!”.

Napastników było dwóch. Ich sylwetki, oznaczone na wyświetlaczu żółtymi kropkami, zastygły w bezruchu, czekając najwyraźniej na dalszy rozwój wypadków. Drugi Strażnik domyślał się, jakie emocje targały nimi w tej chwili. Ofiara okazała się sprytniejsza, niż zakładali, i najpierw raniła im towarzysza, a potem prawdopodobnie go dobiła. Wiele też wskazywało na to, że jej morderczy zryw był ostatnim, gdyż leżała te-

raz, nie dając znaku życia. Strzały niewątpliwie sięgnęły celu, czy można było jednak mieć absolutną pewność którego? Zasnawający wszystko całun gęstej mgły skutecznie uniemożliwiało dostrzeżenie istotnych szczegółów. Elektroniczne detektory także nie ułatwiały zadania, gdyż ciała leżały jedno na drugim. Skanowanie terenu przy wykorzystaniu termowizji mogło pomóc dopiero za jakiś czas, gdy jedno lub oba ciała wystygną. Na chwilę obecną ich widma w podczerwieni nie różniły się niczym. Nikt też nie próbował nawiązać łączności radiowej. Od samego początku cały atak przebiegał w idealnej wręcz ciszy, zakłóconej tylko pojedynczym wrzaskiem bólu. Zresztą uaktywnienie łączy radiowych niczego nie rozstrzygało. Brak odpowiedzi ze strony towarzysza potwierdzał jedynie i tak wysokie prawdopodobieństwo jego śmierci, a raczej trudno było spodziewać się reakcji ze strony ofiary, nawet jeżeli przeżyła ostatni ostrzał. Sytuacja znalazła się w impasie, jednak nie trwał on zbyt długo.

Przygnieciony martwym ciałem Drugi Strażnik uznał, że nadszedł czas, aby przejąć kontrolę nad rozwojem wydarzeń. Powoli, ledwo zauważalnie przesunął lufę promiennika w taki sposób, żeby jeden z atakujących znalazł się na jej przedłużeniu. Zanim którykolwiek z przeciwników zdołał zorientować się, o co chodzi, padł bezlitosny, precyzyjny strzał. Ludzka głowa w mgnieniu oka zmieniła się w parującą gwałtownie kulę plazmy, która rozprysła się na boki z przyprawiającym o ciarki głośnym młaśnięciem.

Zaskoczony nieprzyjemnym odgłosem drugi strzelec zareagował z nieznacznym opóźnieniem. Skierował broń w stronę ofiary i widząc, że ta podnosi się z ziemi, posłał ku niej serię długich, jaskrawoczerwonych smug. Wszystkie trafiły w cel, masakrując i tak już martwe ciało towarzysza, podparte w pozycji siedzącej użytym promiennikiem. Sprawca tego czynu,

CHODZĄCY WE MGLE

nawet jeżeli zdążył zorientować się w mistyfikacji, nie miał najmniejszych szans na reakcję.

Po raz nie wiadomo który w ciągu zaledwie kilku minut kłęby mgły rozcięte zostały przez laserowe promienie. Mknące z zawrotną prędkością czerwone kreski zagłębiły się jedna po drugiej z przejmującym skwierczeniem w ludzkim ciele, błyskawicznie pozbawiając go życia.

Mężczyzna z sumiastymi włosami wygrał nierówny pojedynek. Niejeden w takiej sytuacji pękałby z dumy, on jednak nie miał czasu napawać się sukcesem. Nikt nie mógł dać mu gwarancji, że lada moment nie nadciągną posiłki, które mogłyby okazać się liczniejsze, lepiej uzbrojone, bardziej zorganizowane i przede wszystkim dysponujące większym doświadczeniem bojowym. O celniejszym oku nie wspominając. Poza tym zakończona dopiero co strzelanina z pewnością zauważona została w pobliskiej wartowni. Bardzo prawdopodobne było też założenie, że wymiana ognia odbyła się za wiedzą i pełnym przyzwoleniem kogoś w środku. Nawet jeśli zakończyła się niespodzianką, Drugi Strażnik nie zamierzał dać ewentualnemu widzowi, bądź widzom, czasu na ochłonięcie z zaskoczenia.

W biegu wymienił zużyte ogniwo energetyczne w zabranym zabitemu przeciwnikowi promienniku. Gnał prosto na zamknięte na głucho drzwi wartowni. Tym razem nie kluczył i nie robił uników. Przełączona na ogień ciągły broń ponownie rzygnęła skomasowaną energią. Z trzaskiem eksplodował elektroniczny zamek, nadtopione zawiasy syczały w głośnym proteście na tak bezceremonialne traktowanie, skwierczała przecięta na pół sztaba, ryglująca wejście od wewnątrz.

Chwilę później drzwi wkopane zostały do środka, a wyglądający jak demon z piekła rodem intruz wtargnął do wartowni. Rzucił się plackiem na podłogę i sunąc po niej na brzu-

chu siłą rozpędu, strzelał jak szalony we wszystkich kierunkach, nie mogąc zlokalizować przeciwnika. Ostry ból niespodziewanie przeszył mu bok. Zapalił się mundur, w powietrzu rozszedł się swąd spalonego ciała. W taki właśnie sposób właściciel sumiastych wąsów przekonał się o miejscu ukrycia rywala. Pokonując mdłości i cisnące się do oczu łzy, skrzył gwałtownie tułów i strzelił. Trafił.

Czarnoskóra mężczyzna z gęstą czupryną z niedowierzaniem przyglądał się dziurze ziejącej mu pośrodku klatki piersiowej. Jego usta przez moment poruszały się bezdźwięcznie, jakby chciał coś powiedzieć. Cokolwiek jednak zamierzał stwierdzić lub zrobić, niczego więcej w swym życiu nie dokonał. Z bezwładnych palców wysunęła się broń i z głuchym stukotem spadła na podłogę. Wciąż zdziwione oczy zaszkliły się, a ich właściciel chwilę później osunął się martwy.

Drugi Strażnik odetchnął głęboko z ulgą, choć zaraz potem pożałował tego odruchu, gdy ból oparzonego boku przypomniiał o sobie z całą mocą. Był ledwo żywy ze zmęczenia. Oprócz boku dokuczało mu zranione wcześniej ramię, a także rozbita i osmalona głowa. Zmusił się jednak do dalszego wysiłku. Przeszukał pomieszczenia wartowni, gotów do kontynuacji walki. Ku jego radości nie okazała się ona konieczna. Następnie podparł czym tylko się dało zniszczone drzwi wartowni, przepychając ku wyjściu kilka lżejszych mebli. Ustawił z nich prowizoryczną barykadę, odcinając się jako tako od zewnętrznego świata. Na zbudowanie porządnej, trudnej do sforsowania zapory nie starczyło mu już sił. Z potwornym, tętniącym bólem głowy poczłapał w kierunku pomieszczenia medycznego. Próbował rozwiązać, a następnie zdjąć buty, jednak wściekle bolący bok skutecznie odwiódł go od jakichkolwiek prób schylania się. Mimo najszczerzej chęci nie był w stanie zebrać się ze zniszczonego i nieziemsko brudnego munduru.

Przed oczami zaczęły mu latać czarne mroczki, a do potwornego bólu głowy ponownie dołączyły zawroty.

– A co tam! – mruknął i tak jak stał, w ubraniu, wgramolił się do zbiornika z płynem odżywczym. Część zawartości przelała się przez krawędź podczas tych niezgrabnych manewrów, ale Drugi Strażnik nawet tego nie zauważył. Po chwili unosił się w cudownie kojącej cieczy. Nie był w stanie skupić uwagi na czymkolwiek, zaprzestał więc bezowocnych prób. Wciąż nierozwiązana zagadka Haasgardu musiała poczekać. Pałaca potrzeba znalezienia odpowiedzi na kilka ważnych pytań i konieczność analizy ostatnich gwałtownych wydarzeń odsunęły się zgodnie na dalszy plan. Mężczyzna z sumiastymi włosami odpłynął w niebyt.

12.

Starszy Naczelnik Gildii Strażników leżał przykryty jedynie prześcieradłem, rozkoszując się ciepłem i miękkością ciała nowej kochanki. Jej szczupłe udo przerzucone było przez jego podbrzusze i gdy tylko uświadomił sobie ten fakt, znów poczuł chęć na miłosne zmagania. Wsunął ręce pod zwiewne przykrycie i bez trudu odnalazł jedwabistą gładkość skóry. Kobieta najpierw mruknęła przeciągle z zadowolenia, po czym westchnęła głęboko, poddając się pieścizocie. Czuła gra wstępna nabierała tempa i namiętności, jednak do wielkiego finału nie doszło.

Odgłosy miłości przerwane zostały bezceremonialnie przez natarczywe brzęczenie komunikacyjnego łącza. Starszy Naczelnik był mocno zdziwiony tym faktem. Głowę by dał, że przed pójściem do łóżka zadbał o to, żeby nikt mu nie prze-

szkadzał. Wydał odpowiednie instrukcje ochronie, a wszystkie systemy komputerowe, które mogły zakłócić planowane od dawna igraszki, przełączył w stan cichego czuwania. Skąd więc ten alarm?

Zdegustowana nim kochanka głośno prychnęła i ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami. Zwiewne prześcieradło zamasyście podciągnęła pod samą szyję. Zakryła w ten sposób swoje wdzięki, dając jasno do zrozumienia, co myśli o całym wydarzeniu.

Wysoki rangą funkcjonariusz Gildii dopiero po chwili zorientował się, jaka była natura niespodziewanego alarmu. Czerwona dioda migiała natarczywie, sygnalizując połączenie, którego w żaden sposób nie mógł wcześniej zablokować. Piastował wysokie stanowisko w cechu, ale nie był na hierarchicznym szczycie. Mimo iż było ich niewielu, w dalszym ciągu miał wyższych rangą przełożonych i właśnie jeden z nich domagał się kontaktu. Przesunął ekran łącza tak, aby rozmówca nie widział rozgrzebanej w łóżku pościeli, po czym, pełen złych przeczuć, uaktywnił go.

Na widok marsowej miny zwierzchnika zameldował się regulaminowo i z niepokojem czekał na rozkazy. Jeden z trzech najwyższych rangą funkcjonariuszy w Gildii oszczędnym skinieniem głowy przyjął krótki meldunek, po czym patrząc podwładnemu prosto w oczy, zapytał bez ogródek:

– W jakim czasie możliwe jest uruchomienie oddziału szybkiego reagowania i wysłanie go w teren?

– Maksymalnie dwadzieścia cztery godziny, Dowodzący! – odparł pospiesznie Starszy Naczelnik, wyraźnie zadowolony z faktu, że znał odpowiedź. Grupa specjalna, składająca się ze specjalistów od mokrej roboty, powołana została z jego inicjatywy i od samego początku sprawował nad nią pieczę. To dzięki temu pomysłowi udało mu się awansować na tak wy-

sokie stanowisko. Siły szybkiego reagowania były jego oczkiem w głowie i wiedział o nich dosłownie wszystko. Osobiście jednak wolał, aby określano je nieco innym mianem. Uważał, że określenie „grupa do zadań specjalnych” brzmiało o wiele lepiej i wiązał się z nim większy prestiż.

Najwyższy rangą funkcjonariusz Gildii także wydawał się zadowolony z uzyskanej odpowiedzi.

– Naczelniku! – powiedział głosem, który nie pozostawiał jakichkolwiek wątpliwości. – Proszę zgłosić się do Sztabu Głównego i zaznajomić z operacją o kryptonimie „Haasgard”. Nie muszę chyba dodawać, że sprawa jest, po pierwsze, ściśle tajna, a po drugie, bardzo pilna? – Wobec takiego postawienia sprawy wszystkie inne dotychczas wykonywane zadania schodziły automatycznie na dalszy plan.

Zapytany odruchowo skinął głową.

– Problem jest pałący i cholernie niewygodny. Trzeba rozwiązać go jak najszybciej wszelkimi możliwymi sposobami. Należy przy tym uniknąć rozgłosu. Nic, absolutnie nic na ten temat nie może przedostać się do wiadomości publicznej! – Przełożony jasno i wyraźnie określił swe wymagania. – Wykonać! – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Tak jest, Dowodzący! – odparł podwładny, choć szybko gasnący monitor nie rokował nadziei na to, że regulaminowy zwrot usłyszany został przez wyższego rangą funkcjonariusza. – Zbieraj się! – burknął do wciąż nadąsanej kochanki.

– No wiesz?! – obruszyła się bezceremonialnie potraktowana kobieta, gwałtownie siadając na łóżku. Prześcieradło zsunęło się z jej ciała, odsłaniając duże, lekko kołyszające się piersi. – Nie tak się umawialiśmy! – W jej głosie wyraźnie słychać było pretensje. Ewentualne dalsze wyrzuty z powodu oschłego traktowania zostały raptownie ucięte jednym dosadnym słowem:

– Wypierdalaj!

Starszy Naczelnik Gildii wiązał z nową kochanką nadzieje na około pół roku. Zdecydowanie zweryfikował te plany, nie miał jednak w związku z tym żadnych wyrzutów sumienia. Służba w Gildii Strażników i związane z tym profity były w tej sytuacji ważniejsze. Zawsze traktował pracę jako priorytet i dzięki takiemu właśnie podejściu do sprawy osiągnął aktualną, wysoką pozycję w cechu. Przed momentem dostał zadanie. Zamierzał wykonać je w stu procentach. Był strażakiem, który miał zgasić ogień w jakimś szczególnie newralgicznym dla Gildii miejscu. Haasgard... Co za beznadziejna nazwa! Trudno! Ugasi ten pożar tak szybko, jak tylko się da. Jeszcze kilka tego typu akcji i być może doczeka się następnego awansu. Na stanowisku Tysięcznika cechu będzie mógł przebierać w kochankach, ile tylko zechce.

Mając takie perspektywy, bez większego żalu odprowadził wzrokiem ubraną już kompletnie kobietę do drzwi. Ich głośnie zatrzaśnięcie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

„Nie pierwszy i nie ostatni raz...” – pomyślał z przekąsem i zasiadł przed osobistym terminalem. Po chwili na olbrzymim ekranie wyświetliła się kartoteka z danymi osobowymi członków podlegającego mu oddziału do zadań specjalnych. Szybko ograniczył liczbę nazwisk, eliminując tych Strażników, którzy akurat wykonywali jakieś misje, oraz tych, którzy byli na przepustkach. Z pozostałych wyselekcjonował pięcioosobową, najbardziej obiecującą grupę. Przez prawie dziesięć minut dokładnie rozważał wszystkie za i przeciw, uważnie studiował historie dotychczasowej, specyficznej służby. Na koniec pozbył się z kandydatów. Najsłabszego wśród wyjątkowo mocnych. Wytypowany na zastępcę Podsetnik sprawiał wrażenie, że wprost idealnie nadaje się do sprawnego rozwiązywania różnego rodzaju skomplikowanych problemów. Widniejąca obok

danych personalnych trójwymiarowa fotografia przedstawiała człowieka w wieku trzydziestu lat, z wysuniętą ku przodowi wydatną żuchwą. W jego niepokojącym spojrzeniu zauważalna była pewność siebie i zdecydowanie. Niewielka domieszka okrucieństwa, wyrażana w nikłym, złośliwym uśmiešku błakającym się w kącikach ust, przywodziła na myśl dziką, nieokiełznaną w swej furii bestię. Tak, to z pewnością był właściwy człowiek do wykonania ważnej misji!

Skopiował dane z numerem łącza komunikacyjnego na pierwszym miejscu i udał się do Sztabu Głównego Gildii Strażników. Zanim przydzielił wybranemu Podsetnikowi zadanie, musiał zorientować się w naturze kryzysowej sytuacji. Kryptonim „Haasgard”... Gdzieś już chyba słyszał to słowo, ale nie potrafił przypomnieć sobie w jakich okolicznościach. Najprawdopodobniej była to nazwa własna, ale na chwilę obecną nie kojarzyła mu się z niczym konkretnym. Zdecydowanym krokiem opuścił luksusową kwaterę i ruszył po stosowne odpowiedzi. Postanowił, że do momentu ich uzyskania nie będzie podejmował żadnych pochopnych i nieprzemyślanych decyzji. Konkretnie działania zacznie dopiero wówczas, gdy dowie się, o co było tyle szumu. Musiał poznać tajemnicę Haasgardu.

13.

Zanim Drugi Strażnik otrzymał pierwszy kontrakt, przeszedł mnóstwo szkoleń na Cerberze, macierzystej planecie Gildii. Przedzierał się przez bagna, rył w pustynnych piaskach, koczował w tropikalnej dżungli i na skutych lodem obu biegunach. Nauczono go walki wręcz, obchodzenia się z wszelaką bronią i elektroniką. Ponadto liczne seanse hipnotyczne spr-

wiły, że władał biegle pięcioma podstawowymi językami cywilizowanego wszechświata. Gildia inwestowała w swoich pracowników, aby byli gotowi do służby w każdym miejscu i każdych warunkach. Cech starał się przygotować Strażników dosłownie na wszystko. Haasgard jednak i tak zaskakiwał. Na tę nieprzyjazną, ponurą, mglisto-wietrzną planetę nie sposób było przygotować się zawczasu. Żadne, nawet najbardziej wyszukane szkolenia na Cerberze nie uczyły, jak skutecznie radzić sobie z tak przytłaczającym światem.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami dobrze pamiętał jeden z dawno przebytych treningów. Łysiejący lekarz z rudą bródką udzielał przyszłym Strażnikom niezbędnej w ich zawodzie wiedzy medycznej. Z przekonaniem twierdził, że życie ludzkie oraz zdrowie są wartościami nadrzędnymi i należy uczynić wszystko, aby je zachować. Brutalna rzeczywistość mocno jednak rozmijała się z jego szczytnymi ideami.

Już drugi kontrakt realizowany na Cyprionie boleśnie obnażył ten dysonans. Więzienna planeta jasno i wyraźnie uzmysławiała, że śmierć jest tania, życie zaś kruche i niewiele warte.

Masowe samosądy skazańców, mające miejsce przy cichej aprobacie Gildii, obniżały znacząco koszty utrzymania systemu penitencjarnego. Dzięki temu Strażnicy mogli zarabiać relatywnie więcej. Obrazy ze skalistej, suchej planety na długo zapadały w pamięć każdemu, kto miał okazję na niej służyć.

W umyśle Drugiego zapisały się również inne informacje podawane przez zgorzkniałego, niejednokrotnie cynicznego w swych wypowiedziach lekarza. Dobrze pamiętał o zasadzie udzielania pierwszej pomocy przede wszystkim sobie, a dopiero potem innym ewentualnym poszkodowanym. Równie cenne i przydatne w praktyce okazały się wiadomości na temat

działania leków zawartych w standardowych zestawach medycznych oraz te dotyczące obsługi automedów i zbiorników z płynem odżywczym. Te ostatnie urządzenia wraz z wypełniającą je cieczą stanowiły jedno z największych i najbardziej przełomowych odkryć w dziedzinie medycyny. Tak przynajmniej twierdził doktor, i mimo licznych dygresji na temat zgnilizny i nepotyzmu panujących ponoć od zarania dziejów w jego profesji sprawiał wrażenie dobrego fachowca. Drugi Strażnik nie miał żadnych podstaw do tego, aby wątpić w jego słowa.

Lekarz z rudą bródką mówił o racjonalnych zasadach i aspektach korzystania z dobrodziejstw pokoju medycznego, głośno podkreślając jedną rzecz. Płyn odżywczy miał niewątpliwie niezwykle, ozdrowieńcze właściwości. Potrafił wręcz zdziałać cuda. Uzależniał jednak jak cholera! Wielu tych, którzy z różnych powodów skorzystali z pobytu w zbiornikach wypełnionych tą cieczą, próbowało wrócić do nich pod byle pretekstem. Wewnątrz nich czuli się tak dobrze, że zwykłe problemy życia codziennego na zewnątrz zaczynały ich przerażać, stawały się niemożliwymi do pokonania barierami. Twardzi mężczyźni, weterani licznych wojen i batalii, miękli jak dzieci, którym złośliwy opiekun zabrał pyszne, zaledwie raz ugryzione ciastko.

Cyniczny lekarz przestrzegał przed takim właśnie działaniem niepożądanym płynu odżywczego i Drugi Strażnik boleśnie przekonał się na własnej skórze, że medyk miał całkowitą rację. Nie tak dawno skorzystał z dobrodziejstw pokoju medycznego we własnej wartowni, krótko po tym, jak uratował jednego członka załogi i pomógł drugiemu. Był wówczas nie-ludzko zmęczony, a niespodziewany powrót olbrzymich tarczaków uniemożliwił normalny odpoczynek. Ktoś musiał czuwać i monitorować niecodzienną sytuację, a z całej trójki tylko on nie był poszkodowany. Wskoczył więc do zbiornika na

krótko, wyłącznie w celu regeneracji mocno nadwątłonych sił. Zanurzony w lekko musującej cieczy przespał zaledwie kilka godzin, mając wrażenie, że odpoczął za wszystkie czasy. Dobrze pamiętał, jak opuszczając specyficzną wannę, ponownie poddał się działaniu grawitacji. Przez okres trwania terapii siła jego mięśni nie zmieniła się ani trochę. Mimo to przyciąganie Haasgardu rąbnęło go zniecacka, jakby jego wartość wzrosła przynajmniej dwukrotnie. Ciężko mu było się wówczas rozruszać. Obiecał sobie wtedy, że ponownie skorzysta z urządzeń pokoju medycznego jedynie w ostateczności. Nie przypuszczał, że nastąpi to tak szybko.

Niemilosiernie poobijany przez wiatr po zeskoku z maty transportowej, z piekielnie bolącymi ranami głowy i ramienia oraz z mocno oparzonym bokiem nie miał innego wyjścia. Stan zdrowia, w jakim znalazł się pod koniec realizacji szalonego planu, nie pozostawiał mu żadnego wyboru. Choć nie chciał, kolejny raz zanurzył się w odżywczym płynie i pograżył we śnie.

Przyszedł jednak czas, żeby powrócić do rzeczywistości. Płyn odżywczy uzależniał jak narkotyk. Drugi Strażnik usiadł niechętnie w zbiorniku i ociekając lepką cieczą, bił się z myślami. Musiał stoczyć prawdziwą, ciężką walkę. Tym razem jednak arena specyficznego pojedynku zlokalizowana była wewnątrz dopiero co uzdrowionej głowy.

– Po co wstawać, skoro nic się nie dzieje? – pytała jedna część jego jaźni.

Druga stanowczo oponowała:

– Przecież jest tyle do zrobienia! Należy wreszcie wszystko wyjaśnić!

– To może poczekać. Te parę dni nie zrobi nikomu różnicy... – padał kolejny argument.

Kontrargument był bardzo precyzyjnie wymierzony:

– W takim razie po co było to całe szaleństwo i poświęcenie? Tajemnica Haasgardu nagle przestała być istotna?

Celność ostatnich pytań ostatecznie przeważyła szalę zmagania. Praktyczna, bardziej racjonalna i zdyscyplinowana część natury Drugiego Strażnika wzięła górę. Mimo wewnętrznych oporów wygramolił się ze zbiornika z płynem odżywczym i zostawiając za sobą mokre ślady na podłodze, z wyraźnym ociąganiem opuścił pomieszczenie medyczne.

Dopiero wówczas zorientował się, że skorzystał z jedyne-go dostępnego w nim urządzenia. Wanny z płynem odżywczym ustawiane były z reguły w trzech rogach pomieszczenia. Co więc stało się z pozostałymi dwoma? Odpowiedź po chwili nasunęła się sama. Dowódca wartowni najwyraźniej uporał się ze swoją załogą. Dwa zamrożone ciała prawdopodobnie spoczywały w piwnicy.

Pierwsze z trudem wykonywane kroki skierował ku magazynowi. Na miejscu zrzucił mokry, rozdarty i wystrzępiony w wielu miejscach mundur, po czym odział się w nowy. Szczęśliwie ktoś z dotychczasowej załogi miał podobne do niego rozmiary, więc kombinezon nie był ani zbyt ciasny, ani za luźny. Drugi cel ociężałej wędrówki stanowiło pomieszczenie kuchenne. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami wartownia, do której bezceremonialnie wtargnął, zbudowana była według takiego samego planu jak ta, w której jeszcze do niedawna służył. Odnalazł niewielki aneks kuchenny bez żadnych trudności. Wszystko było tu identyczne, z pozbawionymi smaku koncentratami spożywczymi włącznie. Wcale nie tak dawno uważał je za niebiańskie wręcz smakołyki. Obecnie znów zmuszał się do żucia sprasowanych kostek, patrząc tępo w ścianę naprzeciw. Jego zęby mechanicznie rozgniatały kolejne kęsy racji żywnościowej, a szkliste, utkwione wciąż w jednym

punkcie oczy sprawiały wrażenie, że ich właściciel nigdy nie otrząśnie się z aktualnego otępienia.

Być może dostarczona wraz z pożywieniem energia, ale równie dobrze nieubłagane upływający czas, sprawiły ostatecznie, że mężczyzna z sumiastymi wąsami wyrwał się w końcu ze specyficznego stuporu. Przytłaczający zew zbiornika z płynem odżywczym stopniowo cichł, aż wreszcie prawie całkowicie zanikł. Umożliwiło to pełny powrót do normalności. Wróciły zregenerowane siły, spojrzenie szarych oczu ponownie stało się przenikliwe. Drugi Strażnik obejrzał poparzone ramię i bok. Uszkodzone laserowymi promieniami miejsca pokrywała normalna, może nieco bardziej różowa niż bezpośrednie otoczenie, skóra. Przeciągnął się, zrobił kilka skłonów i skręcił tułów w obie strony. Nigdzie nie czuł bólu.

Pełen obaw odnalazł lustro i z pewnym wahaniem spojrzął w jego taflę. W miejscu, gdzie czerwona smuga oparzyła mu głowę, połyskiwała skóra cienka i delikatna jak na pupie niemowlaka. Wyglądał śmiesznie z biegnącym przez środek głowy, podłużnym paskiem pozbawionym włosów. Kiedyś czytał o dawno już nieistniejącej staroziemskiej subkulturze nazywanej punk. Z tego, co zdołał zapamiętać, punki też nosiły ekstrawaganckie fryzury, choć miał wrażenie, że w ich przypadku układ włosów był odwrotny – zostawał środkowy pas, a części po bokach były usuwane.

„Z pewnością nikt nie depilował ich bojowym laserem!” – pomyślał z przekąsem, odkładając lusterko na bok. To, jak wyglądał, nie miało w zasadzie żadnego znaczenia. I tak nikt nie mógł podziwiać nowej, nietypowej bądź co bądź fryzury.

Przez krótki czas zastanawiał się nad prawdopodobieństwem odwiedzin innych Strażników, podobnych do tych, którzy zaszli go z nienacka, próbując zabić. Nie potrafił oszacować go nawet w przybliżeniu, co sprawiło, że poczuł się nieswojo.

Prowizoryczna zapora, ustawiona w miejscu ostrzelanych i wkopanych do wewnątrz drzwi, nie zapewniała nawet względniego poczucia bezpieczeństwa. Wkrótce jednak odetchnął z ulgą, bo kwestia ewentualnej wizyty nieproszonych gości o morderczych zamiarach zesłała na dalszy plan za sprawą Haasgardu. Na jego powierzchni ponownie niepodzielnie zakręlował huragan. Siła wiatru skutecznie redukowałą szanse na niechciane odwiedziny praktycznie do zera. Właściciel sumiastych wąsów mocno wątpił w to, aby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach spróbował powtórzyć jego wyczyn. Do lotu na anty-grawitacyjnej macie transportowej zaopatrzonej w prowizoryczny żagiel trzeba było mieć naprawdę wielką odwagę. Prawdopodobieństwo, że ktoś inny wpadnie na podobny pomysł i odważy się na lot podczas huraganu, było nikłe. Nie widział też powodu, żeby niecodzienny cel takiej teoretycznej wyprawy stanowiła akurat jego nowa wartownia. To byłby zdecydowanie zbyt duży zbieg okoliczności. Chwilowo miał więc spokój.

Nie wiedział, ile czasu żywiół będzie szaleć na zewnątrz. Opierając się na dotychczasowym doświadczeniu, mógł założyć, że przynajmniej kilka dni. I choć bardzo prawdopodobne, wciąż jednak były to tylko założenia. Haasgard nie dawał się w żaden sposób okiełznać ani nawet przewidzieć, co zresztą niejednokrotnie boleśnie udowodnił. Mężczyzna z sumiastymi wąsami postanowił, że pomartwi się tym później, gdy powierzchnia planety ponownie spowita zostanie gęstym całunem białej mgły. Chwilowo problem kontaktu z innymi, zapewne wrogo nastawionymi Strażnikami stał się mało istotny. Z gorącym, parującym w chłodnym powietrzu napojem proteinowym opuścił aneks kuchenny i udał się do głównego pomieszczenia wartowni. Musiał wyjaśnić kilka rzeczy, a znajdu-

jący się tam komputer mógł okazać się w tej kwestii wielce pomocny.

Widok wyłamanych pancernych drzwi i zniszczonej półinteligentnej maszyny nie zdziwił go zbytnio. Skoro dowódca zlikwidował członków załogi, miał z pewnością czas, żeby zadbać i o taki szczegół. Zniszczone podzespoły superkomputera walały się na podłodze pośród szklanych odłamków stłuczonego monitora. Obraz był bliźniaczo podobny do tego, jaki Drugi Strażnik ujrział nie tak dawno w swojej wartowni. Główne źródło odpowiedzi na temat tajemnicy Haasgardu zostało kolejny raz wyeliminowane z gry.

Z gry niebezpiecznej, bo wiążącej się ze stale rosnącą liczbą śmiertelnych ofiar. Gry, która z pewnością toczyła się o bardzo wysoką stawkę. W przeciwnym razie życie ludzkie nie byłoby traktowane z taką beztrąską. Nikt lekką ręką i bez istotnych przyczyn nie wydawał rozkazu likwidacji dwóch trzecich załóg we wszystkich placówkach. Strażnik nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Liczył, że rozwikła zagadkę nieprzyjaznego świata w miarę szybko. Może nie łatwo i bezboleśnie, ale w krótkim czasie. Niestety przeliczył się. Ponura planeta nigdy nikomu niczego nie ułatwiała. Wiedział o tym od samego początku i kolejny raz doświadczył tej reguły na własnej skórze w mało przyjemny sposób. Nie żałował jednak przedsięwziętych do tej pory działań. Wyrwał się z długiego, wielomiesięcznego marazmu i ogłupiającego schematu. Wziął wreszcie los w swoje ręce i choć było to niezwykle ryzykowne, cieszył się niezmiernie z tego faktu. Choć na moment odzyskał utraconą dawno temu kontrolę nad biegiem wydarzeń. Uważał więc, że warto było, nawet jeżeli wynikające z tego perspektywy nie jawiły się w różowych kolorach. Wygrał kilka rund z rzędu, teraz jedną

przegrał. Walka jednak jeszcze się nie skończyła i nie zamierzał zbyt wcześnie składać broni.

Nie pozostawało mu nic innego, jak spróbować dowiedzieć się czegokolwiek ze zwykłego komputera. Nie łudził się zbyt w kwestii jakości źródła informacji. Trudno było raczej uwierzyć, że skoro komputer w macierzystej wartowni okazał się bezużyteczny, to jego bliźniaczy odpowiednik przyda się do czegokolwiek. Nie zamierzał jednak odpuścić, tym bardziej że szalejący na zewnątrz huragan i tak uniemożliwiał mu inne działania. W zasadzie mógł stwierdzić, że nie miał większego wyboru.

Zbliżył się do komputera, licząc na to, że dowódca wartowni po zlikwidowaniu pozostałych członków załogi zaniechał zbędnych już środków ostrożności. Zasiadł przed nim z ciężkim westchnieniem, gotów do stoczenia elektronicznej bitwy. Wziął kolejny łyk proteinowej lury, odstawił na bok opróżniony do połowy kubek i wygiął zaplecione o siebie palce, aż chrupnęły głośno w stawach. Pełen złych przeczuć, choć w dalszym ciągu nie do końca pozbawiony nadziei, uruchomił urządzenie i zabrał się do pracy.

Szeroki ekran zabłysł dobrze znanym niebieskawym światłem, a wprawne palce rozpoczęły gonitwę po klawiaturze. Rzędy literek i liczb pojawiały się na moment, by zaraz zniknąć, zastąpione innymi kombinacjami. Złamanie kodu dostępu do ukrytych plików nie było trudnym zadaniem dla odpowiednio przeszkolonego Strażnika, trochę czasu jednak zajmowało. Niecałą godzinę później mężczyzna wyprostował przygarbione dotąd plecy i uniósł w górę ręce w niemym geście triumfu. Udało mu się wreszcie włamać do systemu. Tajemnice obcej wartowni stanęły przed nim otworem.

Żałował, że nie wszystkie, ale i tak lektura niektórych plików była pasjonująca. Bez żadnych wątpliwości mógł stwier-

dzić, że ich treść istotnie poszerzyła jego horyzonty. Dowiedział się kilku ważnych rzeczy, jednak zagadka Haasgardu nadal nie znalazła rozwiązania. Skomplikowana, misternie ułożona łamigłówka w dalszym ciągu czekała na wyjaśnienie. Drugi Strażnik przybliżył się do celu, choć tylko nieznacznie. Mimo całego dotychczasowego poświęcenia i wysiłku udało mu się zrobić jedynie mały krok do przodu. Aż bał się pomyśleć, czego będzie musiał dokonać, aby wszystkie nurtujące go nieustannie pytania znalazły wreszcie odpowiedzi. Jedno nie ulegało wątpliwości – musiał je poznać bez względu na cenę, jaką przyszłoby zapłacić. Nawet wówczas, gdy ceną za prawdę okazywało się ludzkie życie.

Wbrew temu, co usłyszał kiedyś na krótkim szkoleniu medycznym, nie było ono bezcenne. Wręcz przeciwnie – miało swoją wartość, która zależnie od okoliczności mieściła się w bardzo szerokim przedziale. Doświadczenia zdobyte podczas ostatniego kontraktu jednoznacznie wskazywały na to, że na Haasgardzie ludzkie życie jest śmiesznie tanie. Mimo piętrzących się wciąż przed nim trudności nadal zamierzał sprawdzić, czym było to spowodowane. Żeby się tego dowiedzieć, gotów był zaryzykować nawet następne obrażenia ciała i kolejne bliskie spotkanie z płynem odżywczym. Tajemnica na przemian mglistej i wietrznej planety musiała zostać rozwiązana.

Jeszcze ponad dwie godziny grzebał wśród plików głównego komputera wartowni. Kilka informacji, które dzięki temu uzyskał, uzupełniło misterną układankę faktów. Główne niewiadome w dalszym ciągu pozostawały jednak nieodkryte, rzucając ponury cień na całość problemu. Cień równie nieprzyjemny jak świat na zewnątrz.

Huraganowy wiatr szalał niezatrzymywany przez nikogo i przez nic, władając niepodzielnie powierzchnią planety. Chłostane nim krzaki wrzosów ugięły się w poddańczych ukło-

nach. Jęklliwe, szydercze wręcz zawrozenia, wygrywane na prowizorycznej barykadzie w wejściu do wartowni, trąciły lekko nutą kpiny i lekceważenia z człowieka, który rzucił wyzwanie żywiolowi. Wiatr zmagął się z nim i ostatecznie mocno poturbował. Niecodzienny pojedynek jednak nie został jeszcze zakończony. Drugi Strażnik pożegłował w huraganie i przeżył. Powyższego faktu nie można było w żaden sposób zakwestionować. Mimo to trudno było jednoznacznie wskazać, kto z tej potyczki wyszedł zwycięsko. Haasgardzki wiatr czy człowiek? Ta kwestia pozostawała nierozstrzygnięta.

14.

– Co za szambo! – mruknął Drugi Strażnik i z całej siły walnął pięścią w klawiaturę. Na krótką chwilę na ekranie pojawiły się chaotyczne znaki graficzne, które znikły prawie natychmiast na skutek awaryjnego odcięcia zasilania. Główny komputer wartowni nie dawał się tak łatwo zepsuć. Aby ponownie go uruchomić, należało odczekać pół godziny. Trzydzieści minut miało gwarantować jedno – opanowanie nerwów i uspokojenie się sfrustrowanego operatora systemu.

– Bądź jego jeszcze większe wkurzenie! – W ten sposób męczyczna z sumiastymi wąsami skomentował widok nieaktywnego, pociemniałego ekranu.

Złość przeszła mu jednak dość szybko. Komputer nie posiadał danych, o które mu chodziło. Choćby nie wiadomo jak się starał, nie był w stanie wyciągnąć z niego pożądaných odpowiedzi. Agresja wobec maszyny niczego nie zmieniała. Znów od upragnionego celu dzieliła go bariera niewiedzy i nic nie mógł na to poradzić. W drugiej wartowni pogoń za tajemnicą Haasgardu miała się zakończyć. Tymczasem udało mu się

uszczknąć jedynie jej maleńkiego i mało znaczącego rąbka. Takiego obrotu sprawy nie przewidział.

– I co dalej? – pytał sam siebie, nie bardzo mając pomysł na dalsze postępowanie. Zawodzący wciąż na zewnątrz wiatr nie ułatwiał rozmyślań. Jego świsty i nieustanny szum rozpraszały, sprawiały, że myśli uciekały ku zwykłym, błahym, niezwiązanym ze złowrogą planetą sprawom. Dopóki szalał huragan, nie było pośpiechu. Zaopatrzona spiżarnia gwarantowała wikt, generatory prądu zapewniały ciepło i światło. Prowizoryczna barykada wstawiona w miejsce zniszczonych drzwi spełniała od biedy swoje zadanie. Nie wierzył, że ktoś powtórzy jego wyczyn i odważy się na żeglowanie w wietrze. Na razie nie musiał więc martwić się o własne bezpieczeństwo.

Sytuacja jednak była komfortowa tylko pozornie. Po pierwsze, siedział w nie swojej wartowni. Po drugie, żeby dostać się do niej, złamał mnóstwo zakazów i zlekceważył porównywalną ilość rozkazów, o zabiciu Strażników nie wspominając. Jawnie i świadomie pogwałcił Regulamin Służby Wartowniczej. Dla Gildii była to rzecz święta. Wzruszył ramionami.

– I co z tego? – zapytał własne odbicie w panoramicznej szybie. Czy miał dać się zabić w imię reguł zamieszczonych w jakimś niemożliwym do strawienia opasłym tomie? Czy honor Strażnika ważniejszy był od życia? Z pewnością nie, choć zdawał sobie sprawę, że spora część członków Gildii, zwłaszcza jej zarząd, nie zgodziłaby się z tą opinią.

Długo zastanawiał się, czy nie stawić czoła huraganowi po raz drugi. Wiedział, jak to zrobić, i małe, bo małe, ale posiadał jakieś doświadczenie w tej kwestii. Ostatecznie jednak nie zdecydował się na ten krok. Najbliższe wartownie położone były prostopadle do kierunku wiatru. Poza tym zlokalizowano je zbyt daleko, a na ewentualnej trasie przelotu roiło się od dużych cuchnących jezior. Wiązało się to ze zbyt dużym ryzy-

kiem wpadnięcia do któregoś ze zbiorników z gęstą breją. Byłoby to zdecydowanie bardziej miękkie lądowanie w porównaniu z tym, które niedawno wykonał, ale to marne pocieszenie. Wpadnięcie do haasgardzkiego jeziora równało się niechybnej śmierci, a Drugi Strażnik na taki los nie był gotowy. Nie potrafiąc w żaden sposób wyeliminować powyższego ryzyka lub choćby zredukować jego poziom, zrezygnował ostatecznie z powtórzenia niedawnego wyczynu.

O jego desperacji mógł świadczyć fakt, że przez moment rozważał sens udania się do sąsiedniej wartowni pieszo. Ostatecznie jednak to rozwiązanie także nie wchodziło w rachubę. Podczas szalejącego huraganu nie miał szans, aby w jakikolwiek sposób utrzymać się na powierzchni. Mógł poczekać na mgłę. Na pierwszy rzut oka sprawa wyglądała nawet prosto i zachęcająco. Przy głębszym zastanowieniu wychodziła jednak na jaw jej druga natura, a ta nie zostawiała wątpliwości co do tego, że pomysł jest wyszukany sposobem popełnienia samobójstwa. Główny problem stanowiła odległość. Do najbliższej wartowni, nie licząc swojej macierzystej, miał ponad sto dwadzieścia kilometrów, co oznaczało brak szans na pokonanie tego odcinka w ciągu jednego dnia. Gdyby wyruszył, musiałyby w którymś miejscu przenocować. Spędzenie nocy na nieznanym terenie w towarzystwie morderczych tarczaków nie było miłą perspektywą.

Przez moment myślał, że wpadł na genialne rozwiązanie. Dlaczego by nie użyć antygrawitacyjnej maty w innych niż dotąd warunkach? Zerwał się jak oparzony i szybko pobiegł do gospodarczego pomieszczenia. Jego zapal został jednak gwałtownie ostudzony w kontakcie z brutalną rzeczywistością. Maty wykorzystywano do transportu ciężkich ładunków na krótkie odległości. Ich akumulatory miały ograniczoną moc i pojemność. W myślach dokonał niezbędnych obliczeń i nie wypadły

one korzystnie. Uwzględniając wszystkie parametry, z masą ciała na pierwszym miejscu, stwierdził z rozczarowaniem, że korzystając z nietypowego środka lokomocji, pokona w tym samym czasie odległość porównywalną do tej, którą pokonałby pieszo. Co innego lecieć z napędzanym przez wiatr żaglem, co innego zaś przemieszczać się przy bezwietrznej pogodzie. To rozwiązanie także wiązało się z koniecznością noclegu gdzieś pośród niebezpiecznych wrzosowisk. Po ciemku nie odważyłby się postawić na powierzchni Haasgardu nawet jednego kroku. Zbyt mocno bał się jego naturalnych mieszkańców. Pomysł, choć początkowo atrakcyjny, nie nadawał się do realizacji. Znów trzeba było wrócić do punktu wyjścia.

Na miejscu nie potrafił zdziałać niczego więcej, być może mógł się ruszyć z wartowni, ale nie wiedział jak. Nie mógł dobrać się do tajemnicy Haasgardu, Haasgard zaś nie mógł jak dotąd dobrać się w żaden sposób do niego. Sytuacja nosiła cechy klasycznego impasu. Chwilowo nie pozostawało mu nic innego, jak biernie czekać na dalszy rozwój wypadków. Cały czas nie tracił nadziei, że może wreszcie uda mu się coś wymyślić. W przypadku gdyby jednak nie, musiał przygotować się na wizytę nieproszonych gości.

Nie łudził się, że w wartowni będzie pozostawiony sam sobie. Był w stu procentach przekonany o tym, że gdy tylko huragan ustanie, ktoś zawita w jego skromne progi. Gość przyjdzie z pewnością, ale bynajmniej nie po to, żeby po przyjacielsku porozmawiać. Już dwukrotnie próbowano go zabić i następna, trzecia w kolejności próba była tylko kwestią czasu. Musiał przedsięwziąć jakieś działania, aby przynajmniej uspokoić swoje sumienie. Miał sporo wątpliwości w kwestii tego, czy jest w stanie wystarczająco się zabezpieczyć. Z drugiej jednak strony wychodził z założenia, że lepiej zabezpieczyć się w jakikolwiek sposób, niż w ogóle tego nie robić.

Po wymuszonej gwałtownym uderzeniem pięści półgodzinnej przerwie w pracy ekran komputera ożył ponownie. Jego niebieskawa poświata przygłnęła skwapliwie do każdego miejsca w głównym pomieszczeniu wartowni. Drugi Strażnik zasiadł za klawiaturą i patrząc spode łba na różne przejawy aktywności systemu, zabrał się do jego modyfikacji. W pierwszej kolejności odszukał systemy alarmowe. Skopiował moduł odpowiedzialny za rozpoznawanie tarczaków i wprowadził do kopii nowe zmienne. Od tej chwili podwójny sprzężony układ miał głośno ostrzegać zarówno przed rdzennymi mieszkańcami Haasgardu, jak i przed człowiekiem. Gdyby ktoś zbliżył się do wartowni na odległość mniejszą niż dwieście metrów, rozległby się charakterystyczny brzęczyk. W ten sposób choć trochę zmniejszył ryzyko całkowitego zaskoczenia. Wiedział jednak, że system alarmowy nie jest doskonały. Osobiście bez większych trudności potrafiłby sobie z nim poradzić, nie mógł więc całkowicie mu zaufać.

Kilka godzin spędził nad umacnianiem prowizorycznej barykady, która zastawiała wejście do budynku. Ewentualny szturm na nią był bardzo prawdopodobny. Postarał się, aby przyszli napastnicy mieli nieco trudniejsze zadanie niż on. Po zakończeniu pracy przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu. Prawdę mówiąc, nie pokładał zbytnej nadziei w tym, że sklecona naprędce zaporą spełni swe zadanie. W ten sposób tylko nieznacznie opóźnił wtargnięcie agresorów do środka. Całkowicie uniemożliwić tego raczej nie mógł.

Co jeszcze należało zrobić? Jak powinien przygotować się na spodziewany szturm? Czy w ogóle do niego dojdzie? Przecież równie dobrze transportowce Gildii mogły mimochodem przelecieć tuż nad jego wartownią i najzwyczajniej w świecie zbombardować ją. Kilka zrzuconych bomb burząco-zapalających z pewnością skutecznie pozbawiłoby go życia, a

mury placówki zostałyby w jednej chwili zrównane z ziemią. Proste i precyzyjne rozwiązanie problemu, którego był głównym źródłem, miało jednak pewną wadę. Ewentualny nalot był cholernie drogi, a zraszający Strażników cech nie słynął z rozrzutności. Mężczyzna z sumiastymi wąsami uczeplił się kurczowo tej myśli i im dłużej zastanawiał się nad powyższą kwestią, tym bardziej był przekonany, że nie zginie w bombowym nalocie. Aż tak kosztochłonne kroki ze strony pracodawców raczej mu nie groziły.

W dalszym ciągu stał jednak wobec perspektywy nieco mniej gwałtownych i zakrojonych na dużo mniejszą skalę, ale równie niebezpiecznych działań, które miały za zadanie pozbawić go życia. Nie znał ich natury, nie mógł więc w żaden sposób zabezpieczyć się przed nimi. Miał pewne podejrzenia co do sposobów, jakimi mogła posłużyć się Gildia w celu likwidacji niewygodnego pracownika, ale brak pewności w tej kwestii mocno ograniczał ewentualne działania.

W kilku strategicznie ważnych punktach rozmieścił laserowe promienniki i zapasowe ogniwa energetyczne. Przygotował też parę niemiłych niespodzianek dla ewentualnych intruzów. Wszystkie zastawione pułapki były pomysłowe i łączyła je jedna cecha wspólna – po wejściu w nie żadna z potencjalnych ofiar nie miała najmniejszych szans na przeżycie. W tej bitwie nikt nikomu nie okazywał litości i Drugi Strażnik nie zamierzał odstąpić od narzuconych odgórnie reguł. Przeciwnicy byli twardzi, ale on również do miękkich nie należał. Dotychczasowe próby targnięcia się na jego życie nie powiodły się, a zaskoczeni tym faktem zamachowcy w bolesny sposób przenieśli się do krainy wiecznych łowów. Należało zatroszczyć się o to, aby dobra passa trwała nadal.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami stanął w rozkroku w głównym pomieszczeniu wartowni i trzymając w jednej z rąk

naładowany promiennik, sparafrazował jedną z najbardziej znanych w historii teatralnych sekwencji:

– Przeżyć czy nie przeżyć? Oto jest pytanie!

Nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią. Postanowił zrobić wszystko, aby przy życiu pozostać. A kiedy już to zrobił, dokładnie sprawdził efekty swoich przygotowań. Potem jeszcze raz. Zaczynał zdradzać pewne objawy paranoi, ale doszedł do wniosku, że skoro jest świadom tego faktu, to przynajmniej chwilowo wszystko jest w miarę pod kontrolą. Przynajmniej miał jakieś zajęcie, a to było lepsze od bezowocnego bicia się z niewesołymi myślami.

Był w pełni świadom tego, że wdepnął w gówno aż po szyję. Nie miał odwrotu, musiał więc brnąć dalej, starając się nie utopić. I brnął, choć chwilowo bardzo wolno. W zasadzie bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że mimo usilnych starań dreptał w miejscu. Wiedział jednak, że wystarczy, aby wiatr na zewnątrz przestał szaleć. Kiedy tylko groźny żywioł uspokoi się i zaniknie, tempo wydarzeń z pewnością przyspieszy. Bał się tylko, czy za nim nadąży. Do tej pory udawało mu się to, lecz mógł mówić przy okazji o dużym szczęściu. Obecnie miał pewne podejrzenia, że przydziałowy limit udało mu się już wykorzystać, a kto wie, czy nie zaciągnął przy tym sporego kredytu na poczet przyszłych działań. Czy mógł jeszcze liczyć na kolejny uśmiech losu, korzystny obrót koła fortuny, fart, czy jak by tego ostatecznie nie nazwać? Musiał uczciwie przyznać sam przed sobą, że gdyby był postronnym, niezaangażowanym w konflikt obserwatorem, nie zazdrościłby osobie będącej na jego miejscu. Nie postawiłby złamanego grosza na to, że jej się powiedzie. Taka była brutalna prawda o sytuacji, w jakiej się znalazł.

Trzymał się jednak bardzo ważnej myśli. Gildia Strażników od samego początku długiego szkolenia wpajała swym

pracownikom zasadę, w myśl której nie istniały sytuacje bez wyjścia. Zawsze była choć nikła szansa na wydostanie się z pozornie beznadziejnej matni i w pierwszej kolejności należało zrobić wszystko, aby tę szansę w miarę możliwości zwiększyć. Potem zaś należało ją bez wahania i skrupułów wykorzystać. Mężczyzna z sumiastymi wąsami postępował dotychczas wbrew wielu zasadom Gildii. Tej jednej akurat zamierzał ściśle przestrzegać. Z ponurym uśmiechem na twarzy pogroził pięścią niewidocznym wrogom.

– Nie ułatwię wam zadania za żadną cholere! – mruknął z nieco lepszym niż przed chwilą humorem. Pokręcił się jeszcze trochę po wartowni bez bliżej sprecyzowanego celu, sprawdzając kolejny raz linię prowizorycznych umocnień, pułapek, punktów wsparcia i dróg ewentualnej ewakuacji. Robił to jednak mechanicznie, bardziej dla zabicia czasu niż z konieczności, błądząc myślami gdzieś daleko. Zrobił, co mógł. Teraz pozostawało tylko cierpliwie czekać na ruch przeciwnika.

Do kąta głównego pomieszczenia wartowni przeniósł z jednego z pokoi poślanie i położył się spać. Długo jeszcze leżał wpatrzony w sufit zabarwiony na bladoniebieski kolor światłem głównego ekranu. Ledwo słyszalny, uspokajający szum komputera nadzorującego zdublowane systemy alarmowe był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał tego wieczoru.

15.

Patrzył i nie wierzył własnym oczom. Takiej mgły jeszcze nie widział. Z reguły gęsty całun spowijał szczelnie powierzchnię aż po horyzont. Biały opar unosił się zazwyczaj na wysokości kolan, trwając w jednym miejscu, bez ruchu. Gdzieniedzie

sporadycznie jakiś kłęb lekko zawirował lub wybrzuszył się. Pomijając te nieliczne miejsca, cała reszta po prostu stała niewzruszenie, będąc idealnym przykładem stoickiego spokoju. Tym razem było jednak inaczej.

Po pierwsze, mgła sięgała przynajmniej pasa. Nie stanowiła też takiego monolitu, jak to bywało do tej pory. Co jakiś czas widać było przerzedzenia, przez które nieśmiało przeierały głównie skały, rzadziej kępy wrzosów. Na przemian z nimi pojawiały się obszary, gdzie opar był tak gęsty, że sprawiał wrażenie ciała stałego. Przypominał pianę lub watę – coś, co prawie dawało się kroić nożem. Poza tym mgła była czerwona. Z niewiadomych przyczyn znikła gdzieś typowa biel, a na jej miejsce wtargnął i zadomowił się przejmujący niepokojem kolor krwi.

Spowijający powierzchnię Haasgardu szkarłat był w ciągłym ruchu. To chyba najbardziej zaskoczyło Drugiego Strażnika. Mgła nieustannie falowała, a po jej typowej statyce nie było najmniejszego śladu. Każdy kłęb kołysał się, unosił i opadał, drgał lub trząsł się. Całość robiła niesamowite wrażenie, przypominając wyglądem niespokojne morze. Morze, którego kolor przyprawiał o ciarki na plecach.

Mężczyzna z sumiastymi wąsami obserwował nietypowe zjawisko z szeroko otwartymi oczami, stojąc bez słowa, w całkowitym bezruchu. Można było powiedzieć, że niezwykle widok wprost go замуrował, wprawił w całkowite osłupienie. Przez głowę przelatywały mu setki myśli, ale z ich chaotycznej momentami gonitwy nie wynikało nic konkretnego. To, co widział, wymykało się ze sztywnych ram logiki i w żaden sposób nie poddawało się próbom zdefiniowania. Nie miał bladego pojęcia, czego właśnie był świadkiem. Gdzieś w głębi świadomości coraz bardziej natarczywie dzwonił alarm. Wiedział, że czerwona mgła to nic dobrego, lecz nie potrafił określić dlaczego.

Mimo wypełniającego go, stale rosnącego niepokoju nie był w stanie oderwać od niej wzroku, odkładając moment ewentualnej ucieczki na później.

Jakby mało było niespodzianek, zerwał się wiatr. Kolejne, coraz mocniejsze poddmuchy wzburzyły jeszcze bardziej niespokojne szkarłatne morze. Kłęby czerwieni spiętrzyły się na wzór fal i pognały przed siebie, pchane z niezwykłą siłą. Owiejające człowieka smugi były jednak lekkie, delikatne, kołysały się uwodzicielsko. Widok wręcz hipnotyzował. Drugi Strażnik wpatrywał się jak urzeczony w niezwykły taniec wiatru i mgły. W tamtej chwili gotów był stwierdzić, że ponura i nieprzyjazna planeta ma jednak swoje uroki, nieznane dotąd walory, którymi można się zachwycić. Jak okazało się chwilę później, to były tylko pozory.

Kiedy odprowadzana wzrokiem ostatnia smuga czerwonego oparu znikła w oddali, mężczyzna z sumiastymi wąsami spojrzął przed siebie. Dokładnie na wprost czaił się tarczak. Był olbrzymi. Ostra jak brzytwa zębata piła rogowa na jego grzbiecie sięgała ludzkich ramion. Wodniste, pełne okrucieństwa oczy patrzyły z nienawiścią, a pazury krępych i potężnie umięśnionych łap wysuwały się i chowały na przemian, skrobiąc nieprzyjemnie po kamieniach. Z rozwartej paszczy, spomiędzy ostrych, żółtych kłów kapła lepka ślina. Zamiary bestii były łatwe do przewidzenia. Potwór sprężył się i błyskawicznie skoczył ku bezbronnemu człowiekowi.

– Nie! – wrzasnęła przerażona ofiara, odruchowo zasłaniając się uniesionymi rękoma.

W tym momencie senny koszmar się skończył. Drugi Strażnik zerwał się ze swego posłania cały zlany zimnym potem. Siedział, ciężko dysząc, z plecami opartymi o zimną ścianę, z twarzą ukrytą w dłoniach. Jego ciałem raz za razem wstrząsał nieprzyjemny dreszcz. Wspomnienie sennego maja-

ku było jak żywe, a widok szarżującej wściekle bestii wypełniał umysł bezgranicznym strachem.

Dobry kwadrans zajęło mu dojście do siebie. Ubierał się powoli, wciąż jeszcze lekko dygocząc. Z pewną obawą podszedł do panoramicznego okna i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Zlustrował całą okolicę i dopiero wówczas odetchnął z ulgą. Nie było czerwonej mgły. Nie było w ogóle żadnej mgły. Doskonale widoczną powierzchnię Haasgardu chłostał zaciekle huraganowy wiatr. Taki widok był mu dobrze znany. Trąc bolące skronie, skierował się do małej kuchni. Dopiero tam uświadomił sobie, jak bardzo sucho ma w ustach. Mijał ranek dziesiątego dnia od wtargnięcia do wartowni. Pierwsze trzy spędził w pomieszczeniu medycznym zanurzony w zbiorniku z płynem odżywczym. Od tygodnia kręcił się w miejscu, bezskutecznie próbując wymyślić coś, co choć trochę zmieniłoby sytuację na jego korzyść. Według wskazań przyrządów meteorologicznych huragan szalał na zewnątrz od ośmiu dni. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, że jego siła zmniejszy się w najbliższym czasie. Jak długo by jednak nie wiało, Drugi Strażnik tkwił ciągle w punkcie wyjścia. Impas trwał w najlepsze i jak na razie na horyzoncie nie było widać niczego, co doprowadziłoby do zachwiania jałowej równowagi w którąkolwiek stronę. Tajemnica Haasgardu nadal wymykała się niemal z rąk.

Chciało mu się wyc z bezsilności i nawet narzucony ponownie rytm ćwiczeń fizycznych i medytacji nie wpływał zbyt mocno na poprawę nastroju. Dotychczas jakoś radził sobie z okresami przymusowej beczynności podczas wielodniowych wiatrów. Miał wówczas jednak dużo mniejszy bagaż doświadczeń. Przeżycia ostatniego okresu mocno zakłóciły jego wewnętrzną równowagę i zburzyły spokój, powodując, że był na granicy nerwowego załamania. Jadł, spał, chodził z kąta w kąt, gapił się na świat na zewnątrz i zaciskał zęby, z trudem powstrzymu-

jąc narastającą z dnia na dzień frustrację. Brak jakiegokolwiek konstruktywnej pracy doprowadzał go wręcz do szału.

Wiatr świszczący w szczelinach tarasującej drzwi barykady naigrawał się z niego nieustannie jęklivymi dźwiękami. Zawodził przeciągle, śmiejąc się z bezsilności uwięzionego w jednym miejscu człowieka.

– A żeby cię szlag jasny trafił! – warknął mężczyzna z sumiastymi wąsami pod adresem złośliwego żywiołu, który, jakby w odpowiedzi, jeszcze mocniej przygiął do ziemi kępy karłowatych wrzosów. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko cierpliwie czekać. Huragan nie mógł przecież trwać wiecznie. Problem polegał na tym, że pokłady cierpliwości Drugiego Strażnika wyczerpywały się w szybkim tempie, a szalejący na zewnątrz żywioł nic sobie z tego nie robił, nie słabnąc nawet na moment.

Monotonia takich samych dni przerwana została po dwóch tygodniach od chwili wtargnięcia do wartowni. Wysoki pisk alarmu był tak niespodziewanym odgłosem, że żujący właśnie kostkę koncentratu spożywczego właściciel sumiastych wąsów zakrztusił się. Kiedy atak kaszlu minął, pognął do głównego pomieszczenia, ocierając wierzchem dłoni załzawione oczy. Pulsujące na ekranie dane meteorologiczne wskazywały na zmianę siły wiatru. Huragan wreszcie słabł. Na razie nie było to jeszcze widoczne gołym okiem, jednak wartości wskazań czulej aparatury pomiarowej wyraźnie spadały w dół. Czas decydujących rozstrzygnięć zbliżał się wielkimi krokami.

Drugi Strażnik odetchnął z nieskrywaną ulgą. Rychły kres przymusowej bezczynności był jak balsam na jego targaną skrajnymi emocjami duszę. Świadomość, że być może wreszcie odgadnie tajemnicę cholernego Haasgardu, wlała w niego nowe siły oraz spokój, bezpowrotnie wypędzając marazm i zwątpienie. W żyłach szybciej popłynęła krew, w spojrzeniu

szarych oczu pojawił się dawno nieobecny błysk, a opanowane na nowo palce pozbyły się nerwowego drżenia, skacząc lekko i precyzyjnie po klawiaturze.

– Koniec przerwy! – mruknął Drugi Strażnik. – Czas zacząć następną rundę!

Zrobił wszystko, co mógł, aby dobrze przygotować się do nierównych zmagania. Najbliższy czas miał pokazać, czy wszystkie te przygotowania były wystarczające. Po niecałych czterech godzinach od uaktywnienia się alarmu meteorologicznego wiatr wreszcie całkowicie ucichł. Panująca cisza aż dzwoniła w uszach. Przygniecione dotąd silnymi podmuchami kępy wrzosów zaczęły się nieśmiało podnosić, jakby nie do końca wierząc, że huragan w końcu przeminął. W przeciągu kolejnej godziny wszystko jak okiem sięgnąć utonęło – najpierw w obfitym deszczu, potem we mgle. Biała, gęsta, sięgająca kolan poświata niczym nie przypominała złowrogiego, szkarłatnego oparu z sennego koszmaru.

Trzy godziny po tym, jak mgła objęła w swe niepodzielne panowanie całą okolicę, rozbrzmiał sygnał kolejnego alarmu. Ktoś zbliżał się do wartowni. Mężczyzna z sumiastymi wąsami doczekał się wreszcie od dawna spodziewanej, choć nieproszonej wizyty. Gość, a co bardziej prawdopodobne – goście – nawet nie starali się ukrywać faktu, że nadchodzą. Skomplikowana, bezlitosna rozgrywka, której stawką była tajemnica Haasgardu, wchodziła w decydującą fazę.

– Oby poświęcenie okazało się warte tego wszystkiego! – westchnął Drugi Strażnik, sprawdzając broń i zatykając za pas zapasowe ogniwa energetyczne. Był spokojny jak nigdy dotąd i równie mocno zdecydowany doprowadzić wreszcie sprawę do końca. Czekał w pełnej gotowości, ze spokojem rejestrując kolejne powiadomienia alarmu. Intruzi powoli zbliżali się do jego twierdzy.

– Kici, kici... – szepnął, a w jego szarych oczach pojawił się ponury błysk.

16.

W niezmałconej niczym ciszy pokoju rozbrzmiał niespodziewanie świdrujący dźwięk komunikacyjnego łącza. Zaskoczył on mężczyznę czytającego wyświetlaną na suficie książkę, ale było to raczej miłe zaskoczenie. Łącze wykorzystywane było rzadko, tylko w wyjątkowych sytuacjach. Najwyraźniej taka właśnie miała miejsce, a to oznaczać mogło jedno – od dawna wyczekiwane zlecenie. Coś, co przerwie wreszcie obecną stagnację i pozwoli ponownie poczuć adrenalinę we krwi. Jeżeli szczęście uśmiechnie się do niego tak jak ostatnim razem, to może znów będzie miał możliwość kogoś zabić. Z narastającym z każdą sekundą podnieceniem kliknął klawisze uaktywiające wizję i fonię.

Niebieskawy ekran migotał przez moment, po czym rozjaśnił się pełną mocą, ukazując okrągłą twarz zwierzchnika. Starszy Naczelnik Gildii bez żadnych widocznych emocji wysłuchał regulaminowej formułki powitania i meldunku o pełnej gotowości do służby. Szare, nieco wodniste oczy nieprzyjemnie świdrowały podwładnego.

– Witam, Podsetniku! – Właściciel wodnistych oczu przewalał wreszcie przedłużającą się, niezręczną ciszę, jaka zaplanowała po zakończeniu regulaminowych formalności. – Przeglądałem pańskie akta. Przebieg dotychczasowej służby miał pan nienaganny i nie zawaham się użyć stwierdzenia, że pańskie dokonania dla Gildii Strażników są imponujące.

Chwalony mężczyzna nie odezwał się słowem, jedynie nieznacznie skinął głową w podziękowaniu. Był bardzo dumny z tego, co przed momentem usłyszał, nie zamierzał jednak przerywać przełożonemu. Starszy Naczelnik kontynuował zaś wypowiedź równie beznamiętnym głosem jak na samym początku:

– Jest pan jednym z naszych najlepszych ludzi do zadań specjalnych. Wszystkie powierzone dotychczas misje wykonał pan bezbłędnie, minimalnym nakładem kosztów, w założonym odgórnie terminie oraz bez żadnych strat własnych. Automatycznie jest więc pan najlepszym kandydatem do kolejnego zadania, które zamierzam właśnie przydzielić.

I tak już szybko bijące serce Podsetnika zwiększyło tempo swej pracy. A więc miał dobre przeczucia! Nie pomylił się ani trochę i po okresie stagnacji znów czekała go wytęskniona od długiego czasu praca. Wreszcie opuści Cerber, macierzystą planetę Gildii, poleciał na jakiś obcy świat i posprząta panujący tam bałagan. A na sprzątanym znalazł się jak mało kto. W tej specyficznej dziedzinie był wybitnym fachowcem.

– Zamelduje się pan niezwłocznie w Dziale Szkoleń. Mamy mało czasu, więc niezbędną wiedzę o docelowej planecie uzyska pan podczas krótkiego seansu hipnotycznego. W Dziale Logistyki czeka już gotowe odpowiednie wyposażenie specjalne. Może pan dobrać do niego wszystko, co tylko uzna za stosowne. Przydzielam pod pańskie rozkazy trzech wszechstronnie wyszkolonych Strażników. Na lądowisku będzie czekać standardowa podróżna jednostka podprzestrzenna. Za akcję odpowiadamy osobiście, pan dowodzi wszystkimi działaniami na miejscu. Zadanie ma najwyższy z możliwych priorytet, automatycznie od tej chwili przysługują więc panu najwyższe uprawnienia wykonawcze. Sytuacja jest, po pierwsze, wyjątkowo napięta, po drugie, bardzo delikatna. Wymaga precy-

zyjnej, chirurgicznej wręcz interwencji. Czy wszystko jest w tej kwestii jasne?

Podwładny regulaminowo zameldował, że tak. W duchu kolejny raz uśmiechnął się z powodu jeszcze jednego, wieloznacznego zwrotu. Precyzyjna interwencja... Bardzo lubił to określenie. Dawało mu praktycznie gwarancję tego, że realizując misję, będzie mógł zabijać. Tego typu zadania lubił najbardziej.

– W takim razie, Podsetniku – głos Starszego Naczelnika Gildii nie uległ zmianie w ciągu całej rozmowy ani na jotę – proszę wykonać zadanie najszybciej, jak to jest możliwe!

Chwilę później łącze komunikacyjne pociemniało, a na ekranie pojawił się krótki, jaskrawy komunikat o przerwaniu ciągłości sygnału.

– Się robi! – mruknął, tym razem zupełnie nieregulaminowo, podwładny, a na jego ustach pojawił się szeroki złowieszczy uśmiech. Zwierzchnik nie słyszał go ani nie widział, więc jedynie dzięki tym okolicznościom mógł bezkarnie sobie na to pozwolić.

Kwadrans później stawił się w pełnym umundurowaniu bojowym w Dziale Szkoleń. Wraz z przydzielonymi mu uprzednio trzema Strażnikami odbył krótki, zaledwie godzinny seans hipnotyczny. Po zdjęciu z głowy wirtualnych hełmów czteroosobowy oddział do zadań specjalnych posiadał już podstawową wiedzę o planecie Haasgard. Pobranie niezbędnego wyposażenia trwało zaledwie dziesięć minut. Tyle samo zajęło załadowanie go do jednostki podprzestrzennej czekającej na lądowisku, zgodnie z obietnicą Starszego Naczelnika Gildii. Niepełna dwie godziny od otrzymania rozkazu Podsetnik i jego mały oddział opuszczali atmosferę Cerbera, kierując się w linii prostej ku docelowej planecie.

„Szybko się uwinęliśmy...” – pomyślał siedzący za sterami dowódca terenowej części misji. „Biorąc pod uwagę przydziałowy limit czasu, który wynosi cztery godziny, można stwierdzić, że nawet błyskawicznie!”. Potraktował powyższy fakt jako dobry prognostyk. Ani przez chwilę nie wątpił w szybkość i skuteczną realizację powierzonego mu delikatnego zadania.

Pełen optymistycznych myśli oddalił się od Cerbera na wymaganą przepisami bezpieczeństwa odległość, po czym wprowadził podróżną jednostkę w podprzestrzeń. Kiedy manewr zakończył się, zaprogramował i uruchomił autopilota, a następnie odchylił się w fotelu, zaplatając ręce na zagłówku. Jego towarzysze zajęci byli własnymi sprawami. Każdy w inny sposób radził sobie z chwilowym brakiem konstruktywnych zajęć.

Pierwszy coś czytał. Blask wyświetlacza, umieszczonego na wewnętrznej powierzchni specjalnych okularów, nadawał jego skórze ziemistoszary odcień. Drugi siedział wygodnie rozparty w fotelu. Miał zamknięte oczy i wydawał się pogrążony w głębokiej zadumie. Równie dobrze mógł właśnie spać. Trzeci spał w najlepsze na tyłach sterowni, a jego ciche, spokojne chrapanie przebijało się od czasu do czasu ponad szum sterujących jednostką systemów komputerowych. Podsetnik mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Już pierwszy rzut oka podczas spotkania w Dziale Szkoleń Gildii wystarczył, aby stwierdzić, że dowodzi dobrymi Strażnikami. Od razu widać było ich profesjonalizm i właściwe podejście do rzeczy. Zdawał sobie sprawę, że nie przydzielono mu nowicjuszy, dla których akcja miała być chrztem bojowym. Oszczędne ruchy, skąpe, konkretne odpowiedzi i całkowite opanowanie świadczyły niezbićie o tym, że byli to doświadczeni w boju starzy wyjadacze. Z

pewnością znali się na swojej robocie i mógł im w tej kwestii całkowicie zaufać.

Od samego początku był więc dobrej myśli. Nie przewidywał żadnych, najmniejszych nawet komplikacji. Skoro szef chciał, aby była to precyzyjna interwencja, to będzie taką miał.

„Dziwna planeta ten cały Haasgard” – pomyślał, mechanicznie śledząc rzadko zmieniające się wskazania wyświetlaczy. „Mgła, huragany, tarczaki... A przy tym jedno wielkie zadupie”.

Wzruszył ramionami. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w Dziale Szkoleń na Cerberze uraczono go jedynie fragmentem wiedzy na temat mglisto-wietrznego świata. Z pewnością nie była to całość. Miał mnóstwo pytań i wątpliwości w powyższej kwestii, ale nie przeszkadzało mu to zbytnio. Swą postawą wszystkim dookoła dawał do zrozumienia jedno – to nie była jego sprawa. Odkąd pamiętał, opierał się na założeniu, że o niektórych problemach pracodawców oficjalnie lepiej było nie wiedzieć. Do tej pory w miarę dobrze sobie radził, trzymając się tej prostej zasady. Gdyby Starszy Naczelnik Gildii uznał, że jego podwładny powinien wiedzieć coś więcej, z pewnością by mu o tym powiedział. Ani przez chwilę nie wątpił w profesjonalizm przełożonego, choć nie był aż tak naiwny, aby pozostać przy tak skąnym zakresie wiedzy, którą mu łaskawie ofiarowano.

Pracował w Gildii od dwunastu lat. Po przejściu wszystkich niezbędnych szkoleń poleciał na swój pierwszy kontrakt na Orchideę. Piękno tej turystycznej perełki zapierało dech w piersiach i wielu kolegów jawnie zazdrościło mu tego przydziału. Słynna w całym cywilizowanym wszechświecie planeta była na celowniku wielu grup przestępczych, wyspecjalizowanych w dwóch procederach – okradaniu przybywających na wymarzony wypoczynek zamożnych turystów lub porywaniu najbogact-

szych z nich dla bajońskich okupów. Podsetnik był wtedy najmniej doświadczonym, Trzecim Strażnikiem. Mimo iż ówczesni towarzysze lubili żartować sobie z jego, jak to określali, nieopierzenia, tylko dzięki niemu przeżyli pewne upalne popołudnie. Wyłącznie jego zimna krew i brak jakichkolwiek skrupułów sprawiły, że niespodziewany atak na wartownię zmienił się w dotkliwą porażkę napastników. Wyszedł wówczas obronną ręką z poważnych tarapatów, ratując życie reszcie załogi, chroniąc skutecznie powierzonych opiece turystów i likwidując ponad połowę dziesięcioosobowej bandy porywaczy.

Ten niecodzienny wyczyn otworzył mu drogę do szybkiej kariery w Gildii. Chęć i gotowość do zabijania oraz łatwość, z jaką tego dokonywał, zostały zauważone i zaowocowały przeniesieniem do oddziału zajmującego się zadaniami specjalnymi. Był członkiem zespołu od mokrej roboty, a kolejne akcje, w których miał okazję się wykazać sprawiły, że wspinał się błyskawicznie po szczeblach kariery. Obecnie był Podsetnikiem Gildii Strażników. Z dużym prawdopodobieństwem mógł przyjąć, że gdy tylko upora się z aktualnym delikatnym zadaniem, otrzyma kolejną promocję. Awans na stopień Setnika po dwunastu latach służby był nie lada osiągnięciem.

„Tym bardziej muszę przyłożyć się do tej misji!” – postanowił i ponownie wrócił myślami do mglisto-wietrznej planety. Krótki seans hipnotyczny teoretycznie zapewniał niezbędną do przeprowadzenia akcji wiedzę i nic poza tym. Poznał naturę Haasgardu w stopniu umożliwiającym sprawne i szybkie wykonanie zadania. W kwestiach technicznych niczego więcej nie potrzebował. Docelowy świat jawił mu się jako ponure, nieprzyjemne i nieprzyjazne miejsce. Dziwna, niedająca się w żaden sposób przewidzieć pogoda, a zwłaszcza przewlekłe huragany, które udaremniały jakąkolwiek aktywność, wydawały się mało pociągające. Równie odpychające wrażenie budziła

gęsta mgła panosząca się na powierzchni w okresach bezwietrznych. Mlecznobiały opar, który skrywał w sobie dosłownie wszystko, z norami tarczaków włącznie, przyprawiał o nieprzyjemny, zimny dreszcz biegnący wzdłuż środka pleców w dół.

Podsetnik szczególnie uważnie przeanalizował uzyskane dane dotyczące naturalnych mieszkańców planety. Bezlitosne małe maszynki do zabijania były jedynym elementem Haasgardu, który choć trochę mu się spodobał. Zabijanie było bliskie jego naturze. W życiu tarczaków i w ich morderczym w każdym calu popędzie potrafił dostrzec pewnego rodzaju kunszt, a nawet piękno. Krwiożercze bestie stanowiły jednak zagrożenie dla misji i mimo sympatii żywionej do podziemnych stworzeń nie zamierzał pozwolić im na podejście na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów. Zadanie było najważniejsze, nic nie mogło zakłócić jego realizacji. Wizja szybkiego awansu na Setnika Gildii Strażników i związanego z tym prestiżu niezwykle motywowała.

Oprócz widocznej na pierwszy rzut oka siły mięśni i braku skrupułów w zabijaniu, Podsetnik cechował się jeszcze inteligencją. I to taką, o którą nie podejrzewali go zwierzchnicy. Przez lata pracy dla Gildii zorganizował na własny użytek całą sieć informatorów. Miał ukryte kontakty w praktycznie każdej strukturze i dziale cechu. Utrzymywał z nimi stałą współpracę kosztem części własnych poborów, ale jak już wielokrotnie się okazywało, było to przedsięwzięcie wielce opłacalne. Dzięki znajomej obracającej się na najwyższych szczeblach władzy Gildii jeden krótki telefon wystarczył, żeby dowiedzieć się na temat Haasgardu wszystkiego, co pominięte zostało podczas godzinnej hipnozy. Wiedza była czymś, co w krytycznej sytuacji mogło uratować życie. Dlatego też lecąc na misję, przygotowywał się do niej tak starannie, jak to było

możliwe. Za każdym razem wypytywał skrupulatnie swoich szpiegów o interesujące go kwestie i tą właśnie drogą wszedł w posiadanie informacji, które sprawiły, że ostatecznie planeta przestała być tajemnicza.

Jeszcze raz przeanalizował w myślach krótki plan działania. Miał wylądować i sprawdzić, co się dzieje w jednej wartowni. Wartowni, która miała być punktem zbiorczym dla dowódców okolicznych placówek. Brak możliwości nawiązania z nią łączności jednoznacznie wskazywał na to, że coś poszło nie tak. Z jakiegoś powodu precyzyjne rozkazy nie zostały wykonane. Miał sprawdzić ten powód, wyeliminować go, a następnie pozbyć się wszystkich ewentualnych świadków interwencji. W Gildii Strażników mogły służyć wyłącznie osoby całkowicie lojalne i oddane. Jeżeli ktoś nie wykonał rozkazu, był z niej zwyczajnie usuwany. Podsetnik nie mógł wprost doczekać się momentu owego usunięcia.

Pilotowana przez niego podróżna jednostka wyłoniła się z podprzestrzeni w okolicy Haasgardu i po krótkim locie w zwykłej przestrzeni weszła w jego atmosferę. Pchany konwencjonalnym już napędem pojazd skierował się ku celowi. Lądowanie okazało się trudne ze względu na szalejący huragan. Mimo skrajnie niesprzyjających warunków pogodowych przebiegło jednak w miarę sprawnie, choć nie obyło się bez gwałtownych przechyłów i turbulencji. Dowódca misji osadził niewielki kosmolot w odległości niecałej godziny marszu od wartowni, którą zamierzał sprawdzić. Ucichły atomowe silniki, systemy komputerowe przeszły w stan uśpienia. Ekipa sprzątająca przybyła na miejsce.

Pozostawało jej tylko jedno – musiała cierpliwie zaczekać, aż ustanie wiatr. Nie wiadomo, ile to mogło potrwać, ale Podsetnik był dobrej myśli. Wierzył, że szczęście mu sprzyja i

że aktualna, przymusowa bezczynność skończy się lada moment. Jego nadzieje wkrótce się spełniły.

Zapisały meteorologiczne czujniki, meldując, że siła wiatru słabnie. Dowódca misji wydał odpowiednie komendy, przygotowując mały oddział do opuszczenia pojazdu. Niedługo potem cała czwórka postawiła swe pierwsze kroki na powierzchni Haasgardu. Zdecydowanie, ale bardzo ostrożnie, oddział do zadań specjalnych ruszył gęsiego ku docelowej wartowni. Oczy idących uważnie śledziły wewnętrzne wyświetlacze hełmów, ale jak dotąd żadnego zagrożenia nie dało się stwierdzić. Jak na razie tarczaki zostawiały ich w spokoju. Ostatnie podmuchy wiatru ucichły zupełnie, nieznacznie wzrosło tempo marszu.

W połowie drogi padła cicha, krótka komenda. Szyk z gęsiego zmienił się w tyralierę. Kiedy surowe ściany wartowni znalazły się w zasięgu wzroku, przełączniki laserowej broni ustawione zostały w pozycji ognia ciągłego. Nikt nikomu nie musiał przypominać o szczególnej ostrożności. Delikatna misja wchodziła w decydującą fazę realizacji.

„Żeby tylko czegoś nie spieprzyć!” – pomyślał Podsetnik, dając na migi znak towarzyszom, aby kontynuowali marsz i że za chwilę ich dogoni.

Wartownia z zabarykadowanymi drzwiami zbliżała się z każdym krokiem. Dowódca żałował, że poziom mgły nie był trochę wyższy. Lubił, gdy przyroda, nawet tak dziwna jak tutaj, stawała po jego stronie. Mleczny opar dawał oddziałowi bardzo dobre schronienie, choć aby mówić o idealnej pomocy z jego strony, powinien być wyższy przynajmniej o jakieś pół metra. Gęstszy natomiast już nie musiał być.

Widząc zatarasowane byle czym wejście do budynku, podejrzewał, że czekają go kłopoty. Nie pomylił się w swoich przypuszczeniach.

17.

Alarm zabrzmiał jeszcze dwukrotnie w krótkich odstępach czasu, zgodnie zresztą z przewidywaniami. Właściciel sumiastych wąsów spodziewał się, że nie będzie to pojedyncza wizyta. Nie wątpił także w to, że przybywający Strażnicy będą bardzo ostrożni. Nie mogli mieć stuprocentowej pewności co do wydarzeń, które rozegrały się w wartowni. Sporej ich części z pewnością się domyślali, poza tym dysponowali istotną przewagą w postaci wiedzy. Na ich miejscu przedsięwzięłoby wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa i uważał dosłownie na wszystko. Powolne tempo przybliżania się nieproszonych gości do jego małej twierdzy zdawało się potwierdzać słuszność powyższych założeń. Przysłowiowa kropka nad i postawiona została w momencie, kiedy intruzi zatrzymali się na granicy pola skutecznego rażenia promienników. Laserowa broń miała swoje ograniczenia, a oni doskonale wiedzieli jakie. W końcu dysponowali taką samą.

Drugi Strażnik czuł na sobie ich uważne, przenikliwe spojrzenia lustrujące budynek i jego bezpośrednie otoczenie. Był gotów założyć się, że porozumiewali się krótkimi zakodowanymi, praktycznie niemożliwymi do wykrycia impulsami. Nie ruszali się jednak z miejsca już od dłuższego czasu i Drugi zaczął się tym niepokoić. Czy to był jakiś manewr taktyczny? Celowo na coś czekali? Jeżeli tak, to na co? Dlaczego tak raptownie przerwali swój pochód? A może coś ich zaniepokoiło? Dziesiątki pytań mnożyły się w jego głowie, na żadne nie potrafił jednak znaleźć odpowiedzi. Nie miał bladego pojęcia, jaka była przyczyna zwłoki i czy to dla niego dobry prognostyk,

czy wręcz przeciwnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać dalej. W porównaniu z dwoma ostatnimi, przeraźliwie dłużącymi się tygodniami, kwadrans czy godzina więcej nie robiły znaczącej różnicy.

Wkrótce rozbrzmiał kolejny brzęczyk alarmu. Drugi Strażnik, mimo iż czuwał cały czas, i tak wzdrygnął się nieprzyjemnie, gdy wysoki pisk przerwał dotychczasową ciszę. W monitorowanym przez system obszarze pojawił się czwarty człowiek. Jakby na daną komendę napastnicy jeszcze bardziej rozeszli się na boki. Po chwili znów znieruchomieli, po połączeniu linii zajmowanych przez nich pozycji powstałoby dość rozległe półkole. W dalszym ciągu każdy z intruzów pozostawał poza zasięgiem strzału z promiennika. Wszystko wskazywało na to, że czekają na kolejnego lub kolejnych towarzyszy. Robiło się coraz bardziej gorąco. Obie strony zdawały sobie sprawę z tego, że z następną dochodzącą osobą stosunek sił dynamicznie zmieniał się na niekorzyść otoczonej ofiary. Co za tym idzie, miała też jej szansa na przeżycie nierównych zmaganiań.

Z drugiej strony posiadacz sumiastych wąsów i tak nie miał innego wyjścia. Zamierzał walczyć do samego końca, bez względu na ilość przeciwników. Oczywiście wolałby zmierzyć się z jednym, góra dwoma, co nie oznaczało, że nie będzie walczył z większą ich liczbą. Niestety w tej sytuacji myślenie życzeniowe mógł wyrzucić do kosza i zupełnie o nim zapomnieć.

Niespodziewanie panującą w wartowni ciszę przerwał jeszcze jeden wysoki pisk. W porównaniu z poprzednimi był głośniejszy i wyraźnie wyższy. W ten sposób zasygnalizowane zostało pojawienie się na arenie wydarzeń tarczaków. Alarmowe obwody ukierunkowane na detekcję naturalnych mieszkańców planety rozmieszczone były w promieniu stu metrów wokół wartowni. W pasie utwardzanej gleby pomiędzy

nimi a murami placówki krwiożercze bestie nie ryły swych podziemnych korytarzy, więc w normalnych warunkach przenikliwy dźwięk ostrzeżenia nie bywał słyszalny. Tym razem jednak warunki daleko odbiegały od normalnych, a uprzednia manipulacja plikami systemów alarmowych umożliwiła Drugiemu Strażnikowi powiększenie obszaru detekcji o kolejne sto metrów. Na jego twarzy zagościł ponury uśmiech.

– Zbyt długo w jednym miejscu... – mruknął, komentując popełniony przez intruzów karygodny błąd. Nawet jeżeli nie przedsięwzięłyby wcześniej odpowiednich środków ostrożności i do chwili obecnej nie miałyby bladego pojęcia o niespodziewanej wizycie, jaskrawe błyski laserów, które licznie rozcięły mgłę i przestrzeń tuż ponad nią, zdemaskowały całkowicie nieproszonych gości. Gwałtowna, zażarta strzelanina zakończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Populacja naturalnych mieszkańców Haasgardu zmniejszyła się o kilka, może kilkanaście osobników, intruzi jednak najwyraźniej nie doznali szwanku. Równocześnie ruszyli w stronę wartowni, wiedząc, że na ewentualny element zaskoczenia nie mogą już liczyć. Wkrótce dotarli do pasa specjalnie utwardzanego terenu i ponownie się zatrzymali. Zabezpieczyli się w ten sposób przed tarczakami, znaleźli się jednak w polu rażenia broni laserowej ofiary.

Drugi Strażnik nie otworzył jednak ognia. Jak wytrawny pokerzysta z niewzruszoną miną czekał na kolejny ruch przeciwnika. Mimo opanowania i spokoju, jaki widoczny był na pierwszy rzut oka na jego obliczu, krople zimnego potu spływały mu po plecach jedna za drugą. Wojna nerwów trwała w najlepsze. Czas miał pokazać, kto był bardziej odporny na stres.

Dopiero po kolejnym kwadransie zaczęło się coś dziać. Nieproszeni goście znów ruszyli do przodu, skracając dystans dzielący ich od wartowni o jedną czwartą. Mężczyzna z sumia-

stymi wąsami przynajmniej dwóch z nich mógłby zastrzelić bez większych trudności. Oparty o przełącznik palec drgał nieznacznie, jakby nie mogąc doczekać się impulsu nerwowego do jego wciśnięcia. Nie padł jednak żaden strzał. Zamiast tego zakłócona została dotychczasowa cisza radiowa. Drugi Strażnik wysłał w eter na całej długości fal jedno krótkie pytanie:

– Czego chcecie, pedały?

Intruzi zatrzymali się gwałtownie, co dobitnie świadczyło o tym, że odebrali niekonwencjonalny przekaz. Sprawca ich konsternacji z satysfakcją wyobrażał sobie zaskoczone, a być może także przestraszone miny. Nie doczekał się odpowiedzi. Prawdę mówiąc, żadnej się nie spodziewał. Jego pytanie miało choć trochę zachwiać dotychczasową pewność siebie przeciwników. Wszystko wskazywało na to, że przyniosło pożądany skutek. Zgodnie też z przewidywaniami napastnicy po chwili otrząsnęli się ze zdziwienia i ruszyli do zdecydowanego szturmu.

Ich skomasowany laserowy ogień skupił się na stojącej w miejscu drzwi prowizorycznej barykadzie. Skwierczały polimery, z głośnym pykaniem gotował się plastik, jarzyły się rozgrzane do czerwoności metalowe składniki zapory. W przeciwieństwie do wielkiego natężenia ognia atakujących, mężczyzna z sumiastymi wąsami strzelił tylko dwa razy, ale za to za każdym razem celnie. Nieludzkie wrzaski bólu przerwały na moment laserową kanonadę.

W chłodnym powietrzu znad stopionych fragmentów barykady unosiła się cuchnąca para. Szybko mieszała się z otaczającą budynek mgłą, nadając jej brudnoszare zabarwienie. Wkrótce krzyki rannych ucichły. Trudno było powiedzieć, czy poszkodowani w natarciu przeciwnicy stracili tylko przytomność, czy też w ostatecznym rozrachunku życie. Mimo bolesnej, być może tragicznej w skutkach nauki towarzyszy po-

zostali dwaj napastnicy uparcie kontynuowali szturm. Lufy ich promienników ponownie wycelowane zostały w to samo, co uprzednio, miejsce, a mgłę rozcięły czerwone smugi.

Ukryty za załomem ściany Drugi Strażnik czuł stopniowo narastające gorąco, gdy wyparowywały kolejne fragmenty utworzonej własnoręcznie przez niego zapory. Miał coraz mniej czasu. Kiedy barykada ostatecznie przestanie istnieć, będzie musiał schronić się w innych pomieszczeniach wartowni. W ten sposób wejście do budynku przestanie być chronione, a intruzi wtargną do środka. Wówczas zacznie się walka wewnątrz, a tu, mimo że zabezpieczył się tak, jak tylko potrafił, w stosunku sił dwóch na jednego miał marne szanse wyjść z opresji bez szwanku. Napastnicy byli w tej komfortowej sytuacji, że mogli ubezpieczać wzajemnie swe poczynania. To była przewaga, która w istotny sposób mogła wpłynąć na wynik finałowej rozgrywki. W zasadzie męczyzna z sumiastymi wąsami zmieniał się w ruchomy cel na strzelnicy. Przez jakiś czas mógł unikać trafienia, ale nie miał dokąd uciec. Polujących na niego strzelców było zaś dwóch i tylko kwestią czasu było to, kiedy któryś z nich trafi. W to, że w końcu trafi, raczej trudno było wątpić. Wiedział, że Gildia nie wysłałaby tu amatorów.

Mając przed oczyma tak nieprzyjemną perspektywę, Drugi Strażnik postanowił wyrównać siły walczących. Wychylił się z za dającej mu schronienie, coraz bardziej gorącej płyty ceramicznej, która kiedyś stanowiła dno kabiny natryskowej, i strzelił w kierunku napastników. Nie mając dobrej widoczności, nie celował w nic konkretnego. Nastawiona na ogień ciągły laserowa broń rzygnęła czerwienią, na krótką chwilę skutecznie rzucając atakujących na ziemię. To był decydujący moment.

Właściciel sumiastych wąsów przeturlał się błyskawicznie w bok, odrzucając byle gdzie zużyty promiennik. Bez namysłu

chwycił za drugi, przygotowany zawczasu w odpowiednim miejscu, i ponownie strzelił. Tym razem precyzyjnie i celnie. Trafiony przeciwnik aż wyskoczył ponad skrywającą go do połowy mgłę i z szeroko rozłożonymi rękoma poleciał do tyłu, upadając na plecy z głuchym łoskotem.

Pozostający wciąż przy życiu ostatni intruz nie próżnował jednak w tym czasie. Domyślił się, że ofiara kolejny raz zmienia ogniwa energetyczne w promienniku i nie czekał ani chwili dłużej. Wykorzystał krótką przerwę w ostrzale na odbezpieczenie granatu, a potem go rzucił. Obły, gruszkowaty kształt pomknął w stronę wartowni, lądując tuż za resztkami zniszczonej barykady.

– Kurwa! – wrzasnął Drugi Strażnik i zerwał się jak oparzony. Wpadł błyskawicznie do pokoju medycznego i zatrzasnął za sobą drzwi. W dwóch susach dotarł do zbiornika z płynem odżywczym i bez zastanowienia wskoczył do niego, kryjąc się całkowicie pod powierzchnią cieczy.

Wybuch granatu był ogłuszający. Cały budynek zadrżał w posadach, a wejście zmieniło się w wielką stertę gruzu. Masynna wanna i wypełniająca ją ciecz zamortyzowały falę uderzeniową. Czas na podziwianie dzieła zniszczenia nie był jednak najbardziej odpowiedni. Ociekający lepką cieczą mężczyzna przyczaił się tuż za fragmentem nieuszkodzonej ściany. Zakładał, że intruz był przekonany, że granat ostatecznie rozwiązał jego problem. I nie pomylił się. Napastnik, nie kryjąc się już zupełnie, zbliżał się do częściowo zniszczonej wartowni swobodnym, niespiesznym krokiem.

I wówczas zdarzyło się coś niezwykłego. Od wstrząsu spowodowanego niedawnym wybuchem w głównym pomieszczeniu wartowni zniszczeniu uległo kilka monitorów i przestała działać spora część systemu komputerowego. Nadal jednak pracowały czujniki meteorologiczne, które zasygnalizowały

zbliżający się wiatr. Po krótkim, zaledwie kilkugodzinnym okresie spokoju rodził się kolejny huragan.

Drugi Strażnik doznał olśnienia. W jednej chwili nie miał najmniejszego nawet pomysłu na rozwiązanie zagadki Haasgardu, w drugiej wiedział już, jak ma zdobyć wszystkie pożądane odpowiedzi. Mglisto-wietrzna planeta była nieprzewidywalna i zdecydowanie zasługiwała na miano nieprzyjaznej człowiekowi. Właśnie przechodziła samą siebie. Mężczyzna z sumiastymi wąsami nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej kolejny huragan następował tak szybko po poprzednim. Co by jednak na ten temat nie sądzić, było mu to cholernie na rękę.

Wychylił się błyskawicznie zza osłony i strzelił. Czerwona smuga trafiła w ziemię kilka metrów przed zbliżającym się człowiekiem. Napastnik stanął, niepomiernie zdumiony tym faktem. Nie spodziewał się, że ofiara jeszcze żyje, a już tym bardziej, że ma się na tyle dobrze, żeby strzelać. Kolejny strzał również trafił w ziemię. Laserowy promień z wściekłym sykiem wniknął w jej głąb znacznie bliżej nóg intruza niż poprzedni. Niedawna pewność siebie i nonszalancja napastnika znikły bez śladu. Rzucił się błyskawicznie w tył i czołgając się pod osłoną mgły, rozpoczął pospieszny odwrót.

Drugi Strażnik uśmiechnął się mimowolnie, widząc ten manewr. Jeszcze szerszy uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy zauważył, że mgła zafalowała kołysana pierwszymi, słabymi jak na razie podmuchami wiatru. To było niezwykle, ale w zaistniałej sytuacji musiał przyznać, że Haasgard był po jego stronie. Napastnik wycofał się na granicę stu metrów. Zatrzymał się, odwrócił i oddał kilka strzałów. Zrobił to jednak bez przekonania, więc żaden z nich nie okazał się celny. Wszystko wskazywało na to, że stracił niedawny animusz i chęć do walki. Nie było czemu się dziwić. Trzech jego towarzyszy zostało

wyeliminowanych z potyczki szybko i w niezwykle skuteczny sposób. Być może odnieśli tylko poważne rany, ale bardziej prawdopodobne było, że nie żyli. Ofiara natomiast w niewiadomy sposób przeżyła wybuch szturmowego granatu i wydawała się niezniszczalna. Wobec powyższych faktów obniżenie morale walczącego po przeciwnej stronie człowieka było całkiem zrozumiałe.

Jakby tego było jeszcze za mało, całości dopełniał nasilający się wiatr. Jego podmuchy zdążyły już przegonić większą część mgły. W ten sposób intruz stracił swą główną osłonę. Aby nie narazić się na trafienie laserowym promieniem, musiał wycofać się jeszcze bardziej. Szczęśliwie dla niego mógł to zrobić bez obaw o bliskie spotkania z tarczakami. Ryjące w ziemi stworzenia unikały jak dotąd wiatru i podczas huraganu schodziły do głębszych partii swych tuneli. Niebezpieczeństwo z ich strony w jednej chwili zmieniło się z dużego w minimalne.

O wiele większy problem stanowił teraz wiatr. Coraz mocniej kołysał kępami wrzosów, coraz silniej szarpał ubranie leżącego na ziemi człowieka. Wielkimi krokami zbliżał się bezlitosny huragan. Do macierzystego statku było za daleko, więc jedynym ratunkiem dla intruza stała się wartownia. Jej nadwątlone wybuchem granatu, ale wciąż solidne mury dawały schronienie i zapewniały bezpieczeństwo przez szalejącym żywiołem. Jak jednak miał się do niej dostać? Wiatr pozbawił go mgielnej osłony, przez co widoczny był jak na dłoni.

Ofiara okazała się cholernie sprytna i choć to zakrawało na cud, wszystko wskazywało na to, że wyjdzie cało z nieprawdopodobnie groźnej opresji.

„Kim jest ten niezniszczalny Strażnik?” – zastanawiał się Podsetnik, z całych sił Ignąc do ziemi. Porywisty wiatr sypnął mu złośliwie piaskiem w twarz. „Co robić?” – coraz bardziej

ulegał panice. W głowie nieustannie kołatało mu się jedno i to samo pytanie: „Co robić?”.

W końcu instynkt samozachowawczy wziął górę. Odrzucił na bok nieprzydatny już w tej chwili promiennik i starając się trzymać głowę jak najniżej, popelzł do przodu. Wiatr przybierał wciąż na sile, wyjąc upiornie w zniszczonym wejściu wartowni. Tarmosił kombinezon czołgającego się człowieka, próbując oderwać go od ziemi za wszelką cenę. Niedawny napastnik stał się teraz ofiarą. Wydarzenia diametralnie zmieniły bieg, a w roli myśliwego występował tym razem bezrozumny żywioł. Ostatkiem sił, bombardowany gradem kamieni i zasypywany tumanami piasku, mężczyzna podczepił się do jednej ze stalowych linek, rozmieszczonych promieniście wokół wartowni. W ten sposób zabezpieczył się przed porwaniem przez wiatr. Całkowicie bezpieczny jednak nie był.

Trzymając oburącz przejmująco chłodną linkę, zdał się na łaskę niedoszłej ofiary. Pozostawało mu mieć nadzieję, że niespodziewany zwycięzca tych nierównych zmagających okaże litość i wciągnie go do środka. Gotów był na wszystko, aby tak właśnie się stało. Inne sposoby, nawet jeśli wymyśliłby jakieś na poczekaniu, nie gwarantowały zachowania życia. Szalejący wiatr wył ogłuszająco, ciskając nim raz po raz o ziemię. Nie pamiętał, ile razy tak uderzał o boleśnie twardą powierzchnię. Był bliski utraty przytomności, kiedy poczuł, że stalowa linka, do której przypiął się zawczasu, naprężyła się. Chwilę potem rozpoczął powolną podróż w kierunku wartowni oddalonej zaledwie o sto metrów. Biorąc jednak pod uwagę skrajnie niekorzystne warunki pogodowe, było to aż sto metrów. Pomyślał, że ma cholerne szczęście, ponieważ wybuch granatu nie uszkodził wyciągarki. To była jego ostatnia, w miarę klarowna myśl. Bezlitośnie obijany o utwardzane podłoże stracił przytomność w połowie drogi.

Niespodziewany zwycięzca morderczych zmagania z ponurą miną obserwował, jak bezwładne, zaczepione klamrą u pasa ciało sunie powoli w jego stronę. Wyciągarka buczała cicho. Pracując systematycznie bez większych trudności, przewyciężała zarówno ciężar wciąganego człowieka, jak i opór wiatru. Huragan, jakby wyczuwając, że bezbronna ofiara wymyka mu się z wietrznych objęć, zdwoił swe wysiłki. Wył przeraźliwie, świszcząc i gwizdał. Wszystko to jednak okazało się daremne.

Nieprzytomny człowiek dotarł wreszcie do wartowni. Silne ramiona wciągnęły go do środka i odczepiły od stalowej linki. Drugi Strażnik długo i w milczeniu przyglądał się swojemu niedoszłemu zabójcy. Jego twarz była jednak zupełnie nieprzenikniona. Można by stwierdzić, że na zmęczonym, pooranym bruzdami obliczu nie malowały się żadne uczucia. Z pewnością zaś czegoś takiego jak litość czy współczucie próżno było w nim szukać. Drugi Strażnik patrzył na pokonanego z przejmującym do szpiku kości chłodem.

– Pogadamy sobie później – mruknął, wciągając ciało głębiej i zatraskując jedne z niezniszczonych wybuchem wewnętrznych drzwi.

18.

Drugi Strażnik ponownie wrócił myślami do szkolenia medycznego z początków swej kariery w Gildii. Oprócz zasad udzielania podstawowej pomocy medycznej w warunkach polowych poznał wówczas bardzo interesującą receptę. Prowadzący kurs lekarz dał się wciągnąć w nieoficjalną, luźną rozmowę podczas jednej z przerw. Zdradził wówczas kilka mocno

niekonwencjonalnych sposobów na przetrwanie w niesprzyjających warunkach.

Zaskoczeni kursanci dowiedzieli się między innymi o sposobach usuwania ze skóry wszelkiego rodzaju pasożytów przy użyciu na przykład giętkiej gałązki lub słomki. Na ich oczach pocięte na drobne paski elementy garderoby zaplatane były w wymyślne pułapki, w które ponoć niezawodnie łapały się ryby oraz ich najróżniejsi kuzyni zamieszkujący wodne środowisko. Później prawie cała godzina poświęcona została omówieniu różnorodnych metod przyrządzania czegoś, co z grubsza nadawało się do jedzenia. Źródło wiktuałów stanowiły wówczas między innymi przeraźliwie cuchnące, przypominające galaretkę mięczaki z Oberona, jadowite stawonogi z Arentii, łuskowce z Klimungu oraz dziesiątki dziwacznych roślin i ich owoców. Wielu degustujących niezwykle potrawy cierpiało później na dokuczliwą sraczkę, ale ostatecznie każdy z nich przeżył. Na przeżyciu zaś zależało w końcu wszystkim, bez względu na okoliczności.

Wśród niekonwencjonalnych rozwiązań przedstawionych na nieoficjalnej części kursu znalazł się także niezwykle cenny przepis na oczyszczenie skażonego alkoholu. Przez wiele lat dotychczasowej służby mężczyzna z sumiastymi wąsami nie miał okazji sprawdzić jego skuteczności. W końcu przyszedł jednak ten dzień i metoda cynicznego, łysiejącego lekarza z rudą bródką wcielona została w życie. W każdej wartowni zapasy skażonego spirytusu były duże. Płyn wykorzystywano do konserwacji i czyszczenia wielu urządzeń pomiarowych oraz czujników. Ponieważ kontraktowano patrole na okres pięciu lat, materiału wyjściowego nie mogło więc zabraknąć.

Drugi Strażnik sprawnie skrępował i zakneblował swoją ofiarę. Przez następnych kilka godzin nie poświęcił jej żadnej uwagi. W tym czasie pełną parą ruszył proces destylacji, sku-

piał się więc na bulgoczących i parujących naczyniach. W ich wnętrzach przelewał się, parował, skraplał i ostatecznie tracił toksyczne właściwości stężony alkohol. Lekarz miał rację, a jego niezwykle przepis sprawdził się w stu procentach.

Plastikowy kanister, do którego nakapała charakterystycznie pachnąca ciecz, miał pojemność dziesięciu litrów. Cała jego zawartość została wlana do zbiornika z płynem odżywczym w pomieszczeniu medycznym. O tego rodzaju sposobie wykorzystania destylatu lekarz z rudą bródką nie wspomniał ani słowem. Tym razem Drugi Strażnik sam był autorem pomysłu. Wątpił w to, czy schwytany dzięki niezwykłym zbiegom okoliczności napastnik zgodzi się dobrowolnie powiedzieć prawdę. Nie był też pewien, czy zdoła go do tego zmusić. Oczywiście był zdolny do zabijania, ale jak dotąd robił to wyłącznie w obronie własnej. Czym innym było strzelanie do osoby, która odpowiada ogniem, a czym innym znęcanie się nad związanym, pozbawionym możliwości obrony człowiekiem. Poza tym pozostawała jeszcze sprawa wiarygodności dobrowolnych lub wymuszonych zeznań, których nie mógł w żaden sposób zweryfikować. Szczęśliwie dla obu stron konfliktu jakiegokolwiek tortury okazały się zbędne.

Zbiornik w pomieszczeniu medycznym jeszcze dwukrotnie uzupełniony został zawartością plastikowego kanistra. Wypełniający go płyn odżywczy stracił w wyniku tych działań swoją charakterystyczną lepkość, ale mężczyzny z sumiastymi wąsami ani trochę to nie obchodziło. Bez zbędnych ceregieli przeciągnął niedoszęłego zabójcę i mało delikatnie oparł o krawędź zbiornika. Mocno poturbowany przez wiatr przeciwnik odzyskał wreszcie przytomność. Szybko zorientował się, że jest całkowicie zdany na łaskę swego pogromcy, zaniechał więc zbytecznego oporu i nie szamotał się. Pełnym nienawiści wzrokiem przyglądał się czynionym przygotowaniom.

– Ty zatwardziały skurwysynu! – powiedział Drugi Strażnik, widząc jego hardą minę. – Powinieneś być mi wdzięczny za uratowanie życia.

Nie doczekał się żadnej słownej odpowiedzi. Zamiast niej związany mężczyzna wypluł najpierw niefachowo założony knebel, a następnie ostentacyjnie strzyknął śliną przez zaciśnięte zęby. Dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie. Niedoszły zabójca szarpnięty został gwałtownie za kombinezon na wysokości klatki piersiowej i pociągnięty w górę. W ten sposób zmuszony został do powstania. Skrępowane z tyłu ręce uniemożliwiły mu złapanie równowagi. Najpierw mocno popchnięty, a potem podcięty poleciał do tyłu, wpadając w chłodne objęcia specyficznie wzbogaconego płynu odżywczego. Drugi Strażnik przelał resztę cieczy z kanistra do małego kubka i uniósł go nieznacznie w górę.

– Twoje zdrowie! – Wzniesiony toast był cichy i krótki. Wkrótce po nim połknął wysokoprocentowy alkohol dwoma szybkimi łykami, a całą ceremonię zakończyło głośne kaszlenie.

Zanurzony w zbiorniku mężczyzna szarpał się przez moment, szybko jednak zorientował się, że bez czyjejś pomocy nie zmieni obecnego, niekorzystnego położenia. Na pomoc kogokolwiek w tej sytuacji nie mógł raczej liczyć. Zaprzestał bezowocnych prób uwolnienia się ze specyficznej matni, wciąż nie bardzo rozumiejąc, dlaczego został w niej umieszczony. Pozornie spokojny, unosił się na powierzchni cieczy, obserwując swego przeciwnika z niezmienną nienawiścią w oczach.

Drugi Strażnik wyszedł z pomieszczenia medycznego. Miał trochę czasu, zanim dodany do płynu odżywczego alkohol wchłonie się przez skórę i zacznie działać. Czekał długo na rozwiązanie tajemnicy Haasgardu, poczeka jeszcze trochę. Raptem pół godziny. Tyle potrafił wytrzymać.

Trzydzieści minut później rozpoczęło się nietypowe przesłuchanie. Zanurzony w zbiorniku mężczyzna był kompletnie pijany. Język plątał mu się co chwila, wiele z wypowiedzianych słów było niewyraźnych, często też w udzielanych odpowiedziach brakowało gramatycznej poprawności. Przesłuchujący szybko zorientował się, że aby móc cokolwiek z nich wywnioskować, powinien zadawać proste pytania. Sporą ich część należało także powtórzyć. Dostosował się więc do poziomu odurzonego przesłuchiwanego. Po kolejnych trzydziestu minutach stężenie alkoholu we krwi niedoszłego zabójcy wzrosło do poziomu, który go skutecznie uśpił. Drugi Strażnik i tak nie miał już ochoty na dalszą, coraz bardziej bezsensowną i bełkotliwą gadaninę. Wreszcie dowiedział się wszystkiego o Haasgardzie. Wywłókł nieprzytomne ciało ze zbiornika i bezceremonialnie zostawił na podłodze.

„Ktoś tu za jakiś czas będzie miał gigantycznego kaca” – pomyślał, ale daleki był od współczucia.

Wrócił do głównego pomieszczenia wartowni i stojąc przy olbrzymim, pękniętym teraz na skos oknie, w zadumie patrzył na chłostany wiatrem świat. Wiedział o nim to, co chciał. Mimo że poznał wreszcie przyczynę obecności Gildii Strażników na Haasgardzie, nieprzyjazna planeta nie zyskała w jego oczach. Nadal była zimna, ponura i złowroga. W dalszym ciągu każdy stawiany na jej powierzchni krok niósł za sobą ryzyko gwałtownej śmierci nie tylko ze strony bezrozumnych tarczaków, ale też i ludzi, o czym dopiero co miał okazję dobitnie się przekonać.

Niespodziewany sygnał alarmu meteorologicznego przerwał niewesołe rozmyślenia. Wiatr wyraźnie słabł, co kolejny raz było wielce zaskakujące. Jego ostatni zryw okazał się krótkotrwały, zaledwie kilkogodzinny. Drugi Strażnik wzruszył ramionami. To był jedyny komentarz, na jaki się zdobył. W zasa-

dzie przestał już dziwić się anomaliiom pogodowym na tym świecie. W końcu czego innego mógł się spodziewać? Przecież Haasgard był całkowicie nieprzewidywalny.

Poza tym szybkie ucichnięcie huraganu było mu bardzo na rękę. Mógł zdecydowanie wcześniej, niż się spodziewał, opuścić wartownię i planetę. Mógł też zostawić kompletnie pijanego mężczyznę samemu sobie. Gdyby huragan szalał przez kilka dni, musiałby go karmić, a problem z załatwianiem potrzeb fizjologicznych więźnia też z pewnością nie byłby łatwy do rozwiązania. Coś by z pewnością wymyślił, ale cieszył się, że nie będzie musiał zawracać sobie głowy tak krępującym problemem. W aktualnej sytuacji ograniczył się jedynie do rozcięcia więzów, uwalniając związane dotąd na plecach nadgarstki.

Godzinę później zatknął za pas kombinezonu dwa zapasowe ogniwa energetyczne. Z odbezpieczonym promiennikiem w rękę, żując kostkę koncentratu spożywczego, opuścił bez żalu zniszczoną częściowo wartownię. Uaktywnił płaszcz maskujący, włączył systemy ostrzegania przed tarczakami i ostrożnym, choć zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku wskazanym przez niekonwencjonalnie przesłuchanego mężczyznę. Według jego bełkotliwych słów niecałą godzinę drogi na wschód znajdowała się podróżna jednostka podprzestrzena, którą czterej niedoszli zabójcy dostali się na planetę. Godzina drogi, zaledwie kilka kilometrów do przejścia. Ostatni, powiedzmy, patrol. Znów choć przez chwilę był chodzącym we mgle.

Na miejsce dotarł bez większych trudności. Tylko raz musiał użyć laserowej broni, aby odegnać szarżującego tarczaka. Wystrzelił kilkakrotnie, celując starannie tuż przed jego krępe, zakończone wielkimi pazurami łapy. Zmusił w ten sposób bestię do ucieczki. W każdej chwili mógł ją bez trudu uśmiercić,

podnosząc nieco lufę promiennika. Jednak tego nie zrobił. Miał już dość zabijania.

Gildia szkoliła swych pracowników bardzo wszechstronnie. Umiejętności zdobywane podczas licznych kursów obejmowały również pilotaż jednostek podprzestrzennych. Mężczyzna z sumiastymi włosami usiadł za sterami pojazdu, zdecydowanie chwycił je w dłonie i uruchomił procedury startowe. Ostatni raz spojrzął na zasnutą gęstą mgłą powierzchnię nieprzyjaznej planety. Planety, która, niewiele brakowało, a stałaby się jego grobem.

– Pies ci mordę lizał! – mruknął.

Chwilę później narastające przyspieszenie wgniotło go w fotel, wyciskając gwałtownie powietrze z płuc. Haasgard został w tyle. Drugi Strażnik wprowadził pilotowaną jednostkę w podprzestrzeń, nie oglądając się za siebie ani razu. Pozostała mu jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia. Musiał w odpowiedni sposób zabezpieczyć się przed odwetem ze strony niedawnych pracodawców. Sposób na zapewnienie sobie bezpieczeństwa był bardzo prosty. Wystarczyło publicznie ujawnić tajemnicę Haasgardu.

Zaledwie kwadrans zajęło mu napisanie i zredagowanie krótkiego komunikatu. W prostych, oszczędnych zdaniach opisał nielegalne przedsięwzięcia Gildii Strażników, która za niemałe sumy utykała po różnych światach wysoce toksyczne odpady przemysłowe. Jej niczego nieświadomi pracownicy pilnie strzegli takich miejsc, nieustannie monitorując poziom ewentualnego skażenia.

Tak działo się między innymi na Haasgardzie. Zakopane głęboko pod wrzosowiskami toksyczne związki chemiczne spowodowały najprawdopodobniej mutację tarczaków, które w przeciągu zaledwie kilku lat znacząco zwiększyły swe rozmiary i przestały obawiać się światła słonecznego.

CHODZĄCY WE MGLE

W sytuacjach, gdy z różnych powodów wydarzenia zaczynały wymykać się spod kontroli, wtajemniczeni w problem, odpowiednio wyselekcjonowani dowódcy wartowni mieli za zadanie likwidację pozostałych członków załogi. Potem zbierali się w ustalonych z góry miejscach, nieświadomi tego, że zatrudniający ich cech dla nich również przewidział szybki, bolesny niestety koniec. Do takich wyznaczonych uprzednio miejsc wysyłano czteroosobowe oddziały zabójców, którzy likwidowali ostatnich świadków nielegalnego procederu. Tajemnica planet-wysypisk musiała zostać zachowana.

Krótki komunikat demaskujący działania Gildii wysłany został do przedstawicielstw największych mediów w cywilizowanej części Drogi Mlecznej. Na jego końcu zamieszczona została prośba o zapewnienie bezpieczeństwa nadawcy w miejscu, w którym zamierzał wyłonić się z podprzestrzeni. Mężczyzna z sumiastymi wąsami gotów był założyć się o cokolwiek, że komitet powitalny będzie bardzo liczny i że w jego skład nie wejdzie żaden statek należący do jego niedawnych pracodawców.

Rozwikłał zagadkę Haasgardu. Był z siebie dumny, ale nie miał sił na radość. Dopiero teraz dopadło go potworne zmęczenie. Ciężkie jak ołów powieki opadały raz za razem. Ustawił odpowiednie koordynaty przestrzeni i włączył automatycznego pilota. Westchnął ciężko, przeciągnął się i ułożył wygodniej w fotelu. Chwilę później chodzący jeszcze do niedawna we mgle właściciel sumiastych wąsów najzwyczajniej w świecie zasnął. Tym razem nie śniło mu się nic.

Niepozorna mglisto-wietrzna planeta krążyła wokół bladoego słońca, jak gdyby nic nigdy nie wydarzyło się na jej powierzchni.

MGŁY PARSIFALA

„Pieprzona pustynia!” – pomyślał Roy i upadł. Ciężkie jak ołów nogi odmówiły posłuszeństwa. Oślepiająco żółty piasek zamortyzował bezwładny upadek, ale nawet gdyby tak się nie stało, Roy najprawdopodobniej i tak by go nie odczuł. Nieustanny ból odbierany przez każdy nerw jego ciała skutecznie wytlumiłby wszelkie inne bodźce związane z gwałtowną zmianą pozycji. Kręciło mu się w głowie, szumiało w uszach, a tętno waliło niemiłosiernie w obolałych skroniach. Jego spierzchnięte sinoczerwone usta wykrzywiły się w grymasie udręki, gdy próbował przyjąć wygodniejszą pozycję. Natężenie bólu na krótko wzrosło, by po chwili powrócić do poprzedniego stanu. Na moment przestało mu się kręcić w głowie. Leżał teraz na plecach z szeroko rozrzuconymi rękoma i podkurczonymi nogami. Nadal było mu niewygodnie, ale nie miał już siły się poruszyć. Upiorny żar lejący się z nieba palił całe ciało, nasilając jeszcze jego cierpienie. Spieczona i pokryta pęcherzami skóra na twarzy i rękach znowu zaczęła niemiłosiernie szczypać.

Roy na moment otworzył oczy i chwilę później mocno pożałował tej decyzji. Wiszące prawie idealnie nad jego głową oślepiające słońce przygwoździło go bezlitośnie parzącymi promieniami, zsyłając kolejną falę bólu. Żałował tego tym bardziej, że nie zauważył żadnej, nawet najmniejszej chmury, która mogłaby zasłonić choć na chwilę morderczą, żarzącą się białą kulę. Na niebie nie było nic, co przyniosłoby mu choć niewielką, krótkotrwałą ulgę. Zesztywniałe palce odruchowo powędrowały do manierki przypiętej z boku do pasa, by zaraz potem zatrzymać się w połowie wędrówki. Roy przypomniał sobie, że manierka od bardzo dawna była pusta. Jak przez mgłę pamiętał chwilę, gdy po raz ostatni zrobił z niej użytek.

„Mgła!” – przemknęło mu nagle przez myśl. – „Muszę strzec się mgły!” – ożywił się na moment.

CHODZĄCY WE MGLE

Był to jednak bardzo krótki moment. Słoneczne promienie systematycznie wysysały z niego resztki i tak już skrajnie nadwątlonych sił. Roy słabł z minuty na minutę. Jego oddech stopniowo zwalniał, stawał się coraz cięższy, przerywany. Tępy, pulsujący ból w kończynach zastąpiło teraz równie nieprzyjemne mrowienie. Powieki stały się tak bezwładne, że nie potrafiłyby ich podnieść. Zresztą i tak nie było po co otwierać oczu. Widok, jaki by zobaczył, byłby taki sam jak poprzednio.

– Wody! – wyszeptał chrapliwym głosem i chwilę potem stracił przytomność.

Odzyskał ją kilka godzin później. To, że udało mu się przeżyć tyle czasu na piaskowej wydmie bez żadnej osłony i choćby jednej kropli wody, zakrawało na cud. Walka z pragnieniem i z lejącym się zewsząd żarem była nierówna i z góry skazana na porażkę, jednak w jakiś niewyjaśniony sposób Roy jeszcze trzymał się przy życiu. Otworzył oczy. Ołowiane powieki z trudem uniosły się do góry, odsłaniając rozmyte kontury pograżonego w półmroku świata. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że właśnie zapada zmierzch, ale zmęczenie nie powalało w jakikolwiek sposób na to zareagować. Było mu w zasadzie wszystko jedno. Przez kilka minut leżał bez ruchu, patrząc bezmyślnie w ciemniejące stopniowo niebo i walcząc z ciężarem nieustannie opadających powiek.

„Jeszcze trochę tak poleżę i będę musiał iść dalej” – pomyślał, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w takim stanie nigdzie się stąd nie ruszy. Próbował przypomnieć sobie, co robił bez wody w samym sercu pustyni, ale przekraczało to jego możliwości. Widział przed oczami jakieś poważne twarze, słyszał jakieś równie poważne głosy, jednak nic z tego nie układało się w choć trochę logiczną całość. Był zbyt słaby, żeby przypomnieć sobie cokolwiek więcej. Wiedział, że długo szedł w tym piekielnym morzu wydm i gorąca, pokonując w

nieskończoność jego sypkie, piaszczyste fale. Szedł i upadł. I musi wstać, żeby iść dalej. Wiedział, że musi iść dalej, że nie wolno mu tu pozostać. Nie wiedział tylko dlaczego.

„Mgła!” – przemknęło mu przez myśl i przez moment szybciej zamrugał powiekami. – „Co mgła?” – napłynęło zaraz potem pytanie. – „Muszę strzec się mgły!” – przypomniał sobie z trudnością. – „Ale dlaczego? Co może być niebezpiecznego we mgle?”.

Przez krótki czas zastanawiał się, dlaczego musi przed nią uciekać, ale było to dla jego wycieńczonego organizmu zbyt dużym wysiłkiem. Ponownie odpląnął w niebyt.

Ocknął się po raz drugi mniej więcej w środku nocy. Otworzenie oczu było tym razem jeszcze trudniejsze niż poprzednio, w końcu jednak udało mu się. Spojrzał na rozgwieżdżone niebo. Próbował odszukać Lavatię, wokół której krążyła jego rodzinna planeta, ale szybko dał sobie spokój. Po pierwsze, był kiepski z astronomii, po drugie, nie wiedział, czy stąd, z Parsifala, Lavatia w ogóle była widoczna. Po trzecie zaś, obraz dwoił mu się i rozmywał przed oczami. Był bardzo słaby. Przestał odczuwać ból i mrowienie w kończynach. W zasadzie nie czuł ich w ogóle. Jego ciało było całkowicie bezwładne.

Spróbował poruszyć głową. Udało mu się, chociaż przypłacił to falą nudności i zawrotów. Kiedy jego żołądek powrócił do swojego poprzedniego położenia i gdy obraz przed oczami przestał wirować, Roy dostrzegł prawą rękę. Największy księżyc Parsifala zdążył już dawno zejść, a pozostałe dwa maleńkie satelity dawały niezbyt dużo światła. Mimo to było go wystarczająco, żeby mógł zobaczyć dłoń. Na tle jasnego piasku była nienaturalnie ciemna. Kilkugodzinna ekspozycja na bezlitosne słońce przyniosła wiadome efekty. Nie próbował nawet poruszyć palcami. Wiedział, że są martwe. W zasadzie cały był martwy i tylko dzięki jakimś niewyjaśnionym prawom jego

serce uparcie biło, a mózg nadal pracował. Pokonując kolejne nudności i zawroty głowy, Roy spojrzął w drugą stronę. Nie interesowała go jego lewa ręka. Doskonale wiedział, że wygląda tak samo jak prawa. Odwrócił głowę w tym kierunku, ponieważ chciał coś zobaczyć. Nie wiedział co. Może wiedział, ale zapomniał. Leżał teraz i z trudną do uzasadnienia fascynacją obserwował niebieskawy obłok.

Obłok zaś systematycznie powiększał się, zmieniając w majestatycznie powolnym tempie fantazyjne kształty. Jego lekka, błękitnawa fluorescencja była dobrze widoczna na tle ciemnego nieba. Stopniowo przybliżał się, sunąc płynnie po wydmach i wyginając się na wszystkie strony pod dyktando lekkich smagnięć suchego i gorącego wiatru. Wprost urzekął swoim pięknem i gibkością, a jego niebieskawe zabarwienie hipnotycznie przyciągało wzrok. Przez chwilę swoim kształtem przypominał piękną kobietę, by za moment płynnie przejść w olbrzymie, rozłożyste drzewo, a jeszcze później przeistoczyć się z gracją w równie wielkiego ptaka. Zmienność kształtów tego obłoku była wręcz niewiarygodna.

„*To jest mgła!*” – uświadomił sobie Roy, obserwując widok z niekłamanym podziwem. Przez krótki czas miał wrażenie, że powinien uciekać. Nie mógł jednak biec, mając bezwładne ciało. Poza tym co mogło mu grozić ze strony mgły? Była taka zwiewna, taka delikatna i ulotna, taka... piękna. Patrzył dalej z fascynacją, jak niebieski opar przybliżyła się do niego, spływając z kolejnej wydmy. Ponownie przybrał kształt pięknej kobiety, która z niebywałą wprost gracją kołysała biodrami, sunąc ku niemu tanecznym, naładowanym erotyzmem krokiem.

Niecały kwadrans później Roy otoczony został niebieską poświatą. Zamknął na moment oczy, rozkoszując się cudownym zapachem, który dotarł do jego nosa. Wziął głęboki oddech i nagle ustąpił mu, wydawać by się mogło, że odwieczny,

szum w uszach. Powieki stały się lekkie, powróciło czucie w kończynach.

Zdziwiony spojrzął na dłonie. Nadal były nienaturalnie ciemne na tle jasnego piasku, ale nie czuł już w nich bólu ani drętwienia. Nie mógł im też nic zarzucić, jeżeli chodzi o sprawność. Z wyjątkiem koloru były takie jak zawsze. Usiadł bardzo powoli, bojąc się, że zbyt gwałtowna zmiana pozycji spowoduje kolejne fale nudności i zawrotów głowy. Nic takiego jednak nie nastąpiło i Roy, pocieszony tym faktem, już nieco szybciej podniósł się na nogi. Kaskady piasku spływały bezszelestnie z jego ubrania, a on stał oniemiały, otoczony niebieską, mgielną poświatą, nie potrafiąc zrozumieć natury tego cudownego uzdrowienia. To przekraczało jego granice pojmowania. Z jednej strony był wystraszony i oszołomiony, z drugiej zaś szczęśliwy. Chciało mu się jednocześnie krzyczeć i płakać ze szczęścia .

Nagle w niebieskim obłoku zamajaczył jakiś kształt i bez żadnego ostrzeżenia z głuchym warczeniem skoczyła ku niemu dzika bestia. Zaskoczony mężczyzna zareagował całkowicie instynktownie. Padł na piasek i przeturlał się w bok. Ponad jego głową przemknął biały, tygrysi brzuch, a ostre jak brzytwa pazury tylko o włos minęły jego ramię. Wystraszony przykucnął, walcząc z chęcią natychmiastowej ucieczki. Instynkt nakazywał mu brać nogi za pas. Logika podpowiadała mu jednak, że takie posunięcie nie ma sensu. Człowiek nie ucieknie przed tygrysem, zwłaszcza na środku pustyni. Skąd śnieżnobiały tygrys wziął się na tej pustyni, było już zupełnie innym problemem. Zagadka ta, jeżeli w ogóle miała swoje rozwiązanie, będzie musiała poczekać.

Bestia z gracją i zaskakującą lekkością wylądowała po chybionym skoku, błyskawicznie odwróciła się i już szykowała się do powtórnego ataku. Roy gorączkowo rozglądał się za ja-

kąś ewentualną bronią, za czymkolwiek, co mógłby wykorzystać w tej nierównej walce, choć nadzieja na znalezienie czegoś przeciw kłom i pazurom tygrysa na piaszczystym pustkowiu wydawała się absurdalnie naiwna. W wąskiej pochwie na jego biodrze tkwił długi sztylet. Roy nie miał pojęcia, skąd się tam wziął, wiedział natomiast, że jest bardzo ostry i że właśnie wybiła ostatnia godzina śnieżnobiałej bestii. Chwycił mocno za przejmująco zimną rękojeść morderczej broni i skoczył do przodu jednocześnie z przeciwnikiem. Zanim opadły wzbite gwałtownie w górę fontanny piasku, wbił sztylet głęboko w gardło zwierzęcia, a jego czarna jak noc krew sparzyła mu dłonie.

Stał teraz nad truchłem dzikiej bestii i miał wrażenie, że słyszy oklaski i głosy podziwu, że jest wojownikiem na arenie, nagradzanym przez niewidzialną publiczność za to, że pokonał groźnego rywala. Było to bardzo ulotne doznanie i zanim zdążył się nad nim dłużej zastanowić, w niebieskiej poświacie znów coś zamajaczyło. Spodziewając się drugiego śnieżnobiałego tygrysa, Roy przykucnął, gotowy do skoku i do zadania kolejnego morderczego ciosu. Niespodziewanie na wysokości swojej twarzy zobaczył ohydny łeb olbrzymiego węża. Była to królewska kobra. Bez chwili zastanowienia rozciął przestrzeń przed sobą zamaszystym ruchem prawej ręki. Trzymany w dłoni sztylet w trakcie zataczania tego łuku wydłużał się stopniowo, aż tuż przed celem, w który miał ugodzić, zmienił się ostatecznie w miecz. Odcięty łeb węża z nieprzyjemnym pląśnięciem upadł na piasek u stóp Roya, a pozbawione głowy długie cielsko zaczęło rzucać się w śmiertelnych konwulsjach. Wykorzystując nową broń, Roy rąbał je na mniejsze kawałki tak długo, aż wszystkie zamarły w bezruchu.

Znowu miał wrażenie, że słyszy owacje zgotowane mu przez publiczność w nagrodę za ten wyczyn. Miecz w jego dłoni

zmienił się niespodziewanie w ciężką, drewnianą pałkę. Z boku z głośnym krzykiem skoczyła na niego zamaskowana, ludzka postać. Po raz trzeci Roy dzięki odruchowym reakcjom uniknął morderczego ciosu. Jego przeciwnik stał na lekko ugiętych nogach, ściskając oburącz taką samą drewnianą pałkę. Spod czarnej maski na jego twarzy widać było jedynie płonące nienawiścią oczy.

– Kim jesteś? – zapytał Roy z przestraszeniem, ale nie oczekiwał się odpowiedzi. Przeciwnik skoczył do przodu, wymachując morderczą bronią. Nie można było mieć wątpliwości co do tego, że nie ma ochoty na jakąkolwiek konwersację. Roy sparował jego potężne uderzenie i w odpowiedzi uderzył go swoją pałką w głowę. Takiego ciosu normalny człowiek nie byłby w stanie przeżyć, ale w tym fosforyzującym na niebiesko mgielnym obłoku wszystko było możliwe. Zamaskowany człowiek, mimo że na chwiejnych nogach, podniósł się jednak bardzo szybko, gotów do dalszej walki. Roy powtórzył cios sprzed chwili. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Dopiero wtedy przeciwnik padł martwy u jego stóp. Tym razem owacje od niewidzialnej publiczności były zdecydowanie lepiej słyszalne.

Roy uklęknął nad ciałem zabitego przed momentem mężczyzny i gwałtownym szarpnięciem zerwał mu z głowy maskę. Zobaczył wtedy swoją własną twarz i zapłakał. Trzymana ciągle w prawej dłoni ciężka drewniana pałka zaczęła zmieniać swój kształt, by uformować się ostatecznie w czarny, lśniący, sześciopalcowy rewolwer. Gdzieś na prawo niebieska mgła zaczęła gęstnieć, wyłaniając stopniowo kolejnego rywala. Roy podniósł rewolwer i przyłożył go do skroni. Zawahał się przez moment, ale jego wzrok powędrował ku znajomej twarzy leżącego u jego stóp człowieka. W końcu już raz się dzisiaj zabił. „Dlaczego nie zrobić tego po raz drugi?”. Zaciskając zęby, pociągnął za spust. Niebieska mgła wytłumiła huk wystrzału.

CHODZĄCY WE MGLE

Nad olbrzymią pustynią powoli i nieśmiało wstawał świt. Pierwsze promienie wschodzącego słońca przegnały precz ostatnie macki ciemności i niepodzielnie zapanowały nad morzem żółtego piasku. Początkowo słabo, potem coraz mocniej zaczęły ogrzewać wyschnięte na wiór ludzkie zwłoki. W ich pobliżu widać było odcisnięte w piasku liczne, bardzo różne ślady. Tylko ktoś z dużą wyobraźnią mógłby domyślić się, że zostawili je śnieżnobiały tygrys, królewska kobra i człowiek. Nikt jednak ich nie zobaczył, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie podróżuje za dnia przez pustynie Parsifala. Tym bardziej w nocy. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, boi się niebieskiej mgły.

* * *

Przygnębiony George Henning siedział w swojej kajucie przy niewielkim składanym biurku i podpierał obiema dłońmi ciężącą mu głowę. Był zmęczony. Jego siwe włosy drgały nieznacznie pod wpływem lekkiego prądu powietrza płynącego z cicho szumiącego wentylatora. Nieświadomy tego mężczyzna wpatrywał się niewidzącymi oczyma w leżący przed nim otwarty dziennik pokładowy, a jego myśli krążyły gdzieś bardzo daleko. W miarę upływu czasu w kapitańskiej kajucie gęstniał mrok. Niezmałą ciszę przerwało niespodziewanie ciche pukanie w drzwi. George ocknął się z zadumy, przetarł szybko dłońmi zaczerwienione oczy i powiedział:

– Proszę!

Do zajmowanego przez niego pomieszczenia wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Jego sylwetka świadczyła o tym, że jest silny i wysportowany, jednak już na pierwszy rzut oka widać było, że on również jest zmęczony i wyraźnie przygnębiony.

– Siadaj, Tom! – powiedział George do pierwszego oficera, pomijając regulaminowe formalności. – Masz jakieś krępujące wiadomości?

Zapytany przecząco pokręcił głową.

– Tak myślałem – odparł smutno Henning. – Od samego początku nasza wyprawa była pechowa, prawda?

W pokoju zapanowała cisza. Obaj mężczyźni pograżyli się w niewesołych rozmyślaniach. Rzeczywiście, ich misja w pełni zasługiwała na miano pechowej. Najpierw ich statek Queen Elizabeth miał problemy ze startem. Nieszczelna ładownia, za mała moc jednego z sześciu atomowych silników czy wreszcie niedostateczna sprawność urządzeń oczyszczających powietrze... Wszystko to dało się naprawić i, choć z dwudniowym opóźnieniem, Queen Elizabeth wystartowała. Już pierwszego dnia zepsuł się układ odpowiedzialny za termoregulację. Zanim zlokalizowano i usunięto usterkę, wewnątrz statku przypominało olbrzymią saunę. Potem kucharz ze skrucną w głosie oznajmił, że w przedstartowej gorączce zapomniał uzupełnić zapasy soli. Począwszy od trzeciego dnia lotu, serwowane przez niego potrawy były mdłe i mało smaczne. Jednak wszystko to dało się jakoś znieść i można powiedzieć, że były to mało istotne problemy w porównaniu z wydarzeniami, jakie rozegrały się później. Queen Elizabeth była statkiem kolonizacyjnym. Leciała na Horizzię, wioząc kolonistów wraz z całym dobytkiem. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zdecydowana większość pionierów to nieodpowiedzialni i niepoprawni romantycy, mający zwyczajnie nierówno pod sufitem. Jednak najwięksi nawet pesymiści nie podejrzewali, że ich lekkomyślność osiągnie szczyty właśnie na Queen Elizabeth.

Dziesiątego dnia podróży jeden ze znudzonych pionierów chciał urozmaicić trochę monotonię lotu i podłączył się do komputera głównego. Prawie każdy z podróżujących zabrał ze

sobą dyski zawierające obrazy i wspomnienia z ich macierzystych, na zawsze opuszczonych planet. Pech chciał, że umieszczony w stacji infonośny dysk był zainfekowany. Znajdujący się na nim wirus błyskawicznie zainstalował się w głównej sieci, sprawiając, że komputer pokładowy po prostu zwariował.

Statek całkowicie stracił funkcjonalność. Nie reagował na żadne komendy, przestawały działać kolejne systemy, a obwodów awaryjnych w ogóle nie udało się uruchomić. Najgorsze zaś w całej sytuacji było to, że zainfekowany wirusem komputer dążył do samounicestwienia. Nakierował Queen Elizabeth na najbliższą planetę i leciał ku niej na kursie kolizyjnym. W ostatniej chwili udało się uniknąć totalnej katastrofy, choć przymusowe lądowanie trudno było nazwać miękkim czy spokojnym. Szczęśliwie dla wszystkich Parsifal okazał się planetą z atmosferą tlenową o takich proporcjach składników, które umożliwiały człowiekowi swobodne oddychanie bez aparatów tlenowych.

Jak się niedługo później okazało – było to szczęście w nieszczęściu. Parsifal należał do kategorii C, co oznaczało, że można tu żyć, ale warunki są tak niesprzyjające, że koszty ewentualnego zasiedlenia zdecydowanie przekroczyłyby zyski. Planeta krótko po odkryciu i tylko częściowym zbadaniu została opuszczona. Nikt nie chciał pracować pośród milionów mil kwadratowych piasku, w dodatku w temperaturze, w której niemal gotowała się woda. Poza tym wzięwszy pod uwagę jedyne bogactwo naturalne tego świata, czyli wszechobecny piasek, można było myśleć wyłącznie o produkcji szkła. W epoce powszechnego zastosowania najróżniejszych, wysoko przężnych polimerów szkło nie było już nikomu potrzebne.

Wśród ekip badających Parsifala pojawiła się nagle epidemia dziwnych i niezrozumiałych samobójstw. Według zeznań naocznych świadków ich przyczyn należy upatrywać w

CHODZĄCY WE MGLE

niebieskiej, halucynogennej mgle pojawiającej się najczęściej w nocy. Nikt nigdy dokładnie nie zbadał tego zjawiska. Mocno uszczuplone liczebnie ekipy badawcze opuściły Parsifala i nigdy już na niego nie powróciły, pozostawiając go samemu sobie. Zresztą nie było po co wracać.

Kapitan George Henning zmuszony był jednak do tego, aby awaryjnie lądować na pustynnej i gorącej planecie. Kapsuła ratunkowa miała własny, niezależny system sterujący, więc szczęśliwie nie został on zainfekowany fatalnym wirusem. Mimo usilnych starań całej załogi Queen Elizabeth w dalszym ciągu nie reagowała na żadne komendy, dlatego kapitan wydał rozkaz ewakuacji. Odłączenie kapsuły ratunkowej odbyło się szczęśliwie bez żadnych komplikacji. I znów było to szczęście w nieszczęściu. Oba statki – większy, dopiero co opuszczony, z całkowicie nieobliczalnym w swoich poczynaniach komputerem pokładowym, oraz mniejszy, całkowicie poddający się ludzkiej kontroli, weszły jednocześnie w atmosferę Parsifala i wylądowały na jego powierzchni niecałą godzinę później. Queen Elizabeth bez żadnej gracji rąbnęła w piaskową wydnię i zaryła się w niej, wzbijając w górę olbrzymie gejzery piasku. Kapsuła ratunkowa sterowana wprawną ręką kapitana Henninga wylądowała na innej wydmi dwadzieścia pięć mil dalej.

George w ciągu kilku dni po wylądowaniu wielokrotnie zastanawiał się, co spowodowało, że zdecydował się posadzić kapsułę w takiej właśnie odległości. Wielokrotnie analizował całą sytuację i wszystkie podjęte wówczas decyzje, ale nie mógł znaleźć logicznego uzasadnienia tego faktu. Dwadzieścia pięć mil... W porównaniu z odległościami pokonywanymi przez kosmiczne statki był to maleńki odcinek, niewart nawet wspomnienia. Na Parsifalu był to jednak dystans nieskończenie długi. Na Ziemi i na setkach innych skolonizowanych przez

człowieka planet nie stanowiłby większej trudności nawet dla osoby poruszającej się pieszo. Tutaj była to odległość nie do przebycia. Nie bez powodu Parsifal sklasyfikowany został jako planeta kategorii C. Dwadzieścia pięć mil pustynnego żaru połączonego z halucynogenną niebieską mgłą stanowiły razem wyjątkowo morderczą mieszankę, która skutecznie oddzielała rozbitków od ich macierzystego statku. Był to tym większy dla nich pech, bo nie mogli się bez niego obejść.

Radiostacja z kapsuły ratunkowej, ich jedyna szansa nawiązania łączności ze światem i wysłania w próżnię wołania o pomoc, uległa uszkodzeniu w czasie lądowania. Wielce złośliwy zbieg okoliczności sprawił, że całkowicie sprawny nadajnik znajdował się na zarytej w piasku dwadzieścia pięć mil dalej Queen Elizabeth. Równie dobrze statek mógłby znajdować się o całą wieczność stąd.

Drugiego dnia po wylądowaniu dwóch śmiałków wyruszyło, aby zmagać się z piaskiem, żarem i własną słabością. Obaj nie dotarli do celu. Małe nadajniki zamocowane na ich plecach emitowały sygnał do kapsuły ratunkowej tak długo, jak długo biły ich serca. Mniej więcej w połowie drogi, w środku nocy, sygnały te raptownie się urwały. Niebieska mgła dała znać o sobie po raz pierwszy. Trzeci ochotnik dotarł niewiele dalej od poprzedników. Złowrogi niebieski opar dał o siebie znać po raz drugi. Kapitan Henning zakazał dalszych prób. W normalnych warunkach nie mógłby zasnąć, mając świadomość, że wyraził zgodę na to, żeby troje ludzi wyruszyło na z góry skazaną na niepowodzenie wyprawę. Tutaj jednak, na Parsifalu, jedyną ucieczką przed halucynogennym nocnym oparem były tabletki nasenne. Z kwaśną miną łykał każdego wieczoru jedną pigułkę i spał mocno, choć nie pamiętał swoich snów. Może to i lepiej...

Dwa dni temu przyszedł do niego Roy O'Halloran – młody, bystry i odważny chłopak. Był najsympatyczniejszym kolonistą, jakiego George zdążył poznać. Opisał kapitanowi sposób, w jaki chce zabezpieczyć się przed słonecznym żarem, pokazał buty z plastikowymi płytami przylepionymi do podeszew, dzięki którym miał nie zapadać się w piasku, i jeszcze kilka innych mniejszych udoskonaleń swojego stroju. Jeżeli komuś mogło się udać pokonać te ponad dwadzieścia piekielnych mil, to tylko jemu. Pełen obaw i złych przeczuć, z bólem serca pozwolił iść chłopakowi w sam środek morderczej pustyni. Zgodnie z przewidywaniami Roy dotarł najdalej ze wszystkich śmiałków. Do Queen Elizabeth było wciąż jednak daleko. Niebieska mgła dała znać o sobie po raz trzeci.

George wiedział, że jeżeli nie wyślą w przestrzeń sygnału SOS, nikt sam z siebie nie przyleci na Parsifala, żeby ich uratować. Zapasy wody, żywności i energii zgromadzone w kapsule ratunkowej miały ograniczoną wydajność. W oczy pechowych rozbitków powoli zaczynała zaglądać śmierć.

– Tak, Tom... – westchnął smutno George, przerywając długą ciszę. – Mieliliśmy cholernego pecha! – Spojrzał na przygnębioną twarz pierwszego oficera i zapytał: – Co cię tak naprawdę do mnie sprowadza?

– Skończyły się środki nasenne. Straciliśmy ostatnią ochronę przed niebieską mgłą – odpowiedział Tom.

– A niech to szlag! – zaklął George i zamilkł. Podeszedł do okrągłego okienka w swojej kajucie i wyjrzał przez nie na zewnątrz. Pogłębiający się z każdą chwilą mrok coraz bardziej ograniczał widoczność. Zacierały się kontury wydm, a wrogi i śmiertelnie niebezpieczny świat z minuty na minutę stawał się coraz bardziej szary i bezkształtny. Na niebie nabierał blasku największy z trzech księżyców Parsifala. Daleko na zachodzie dało się też zauważyć powiększającą się stopniowo, charakte-

CHODZĄCY WE MGLE

rystyczną poświatę z równie charakterystycznym, niebieskawym zabarwieniem. George Henning dobrze wiedział, co to jest. To była niebieska mgła. W bezsilnym gniewie zacisnął pięści.

– A niech to szlag! – zaklął ponownie.

Mgła w powolnym hipnotycznym pląsie zbliżała się do kapsuły ratunkowej, aby ostatecznie objąć ją w swoje niepodzielne posiadanie.

KONIEC